

Tracy Chevalier
SPADAJĄCE
ANIOŁY



Kolejna książka autorki bestsellerowej *Dziełaczynie z perłą*

Chevalier Tracy

Spadające anioły

Niezwykła atmosfera nowej książki Tracy Chevalier sprawia, że czytelnik przekracza granicę czasu i porusza się po Londynie początku XX w., gdzie po śmierci królowej Wiktorii Angliki wkraczają w edwardiańską wiosnę, kwestionując dziewiętnastowieczną hierarchię wartości. Widzimy to w domach dwóch rodzin, hołdujących przeciwstawnym wartościom. W momencie historycznego przełomu dwie dziewczynki, z rodzin o zupełnie różnych przekonaniach, na modnym londyńskim cmentarzu - wciągając w to także zabloconego syna grabarza - przyrzekają sobie przyjaźń... a wszystkiemu przygląda się anioł...

To poruszająca opowieść, w której splatają się ze sobą wątki dotyczące dzieciństwa, przyjaźni, budzenia się sfery zmysłowej i nietrwałości ludzkiego życia.

styczeń 1901 roku

KITTY COLEMAN

Obudziłam się dziś rano z obcym mężczyzną w łóżku. Blond włosy z całą pewnością nie należały do mego męża. Nie wiedziałam, czy mam czuć się zgorszona czy rozbawiona.

Cóż, pomyślałam, oto nowość na początek wieku.

A potem przypomniałam sobie wieczór poprzedniego dnia i zrobiło mi się niedobrze. Zastanawiałam się, gdzie może być Richard w tym ogromnym domu i jak mamy do siebie wrócić. Wszyscy tutaj, włączając śpiącego obok mężczyznę, wydawali mi się znacznie bardziej doświadczeni w tych sprawach niż ja. Niż my. Richard jedynie blefował, a tak naprawdę wiedział nie więcej ode mnie. Tyle że miał na to większą ochotę. To dało mi do myślenia.

Zaczęłam szturchać mężczyznę łokciem, najpierw łagodnie, a potem mocniej, aż w końcu obudził się z sapnięciem. — Idź sobie — powiedziałam.

Posłuchał bez mrugnięcia. Na szczęście nie próbował mnie całować. Sama nie wiem, jak zniosłam tę jego brodę — pewnie pomogło mi wino. Policzki wciąż mam czerwone od zadrapań.

Kiedy parę minut później pojawił się Richard, ściskając w dłoni swoje rzeczy, nie mogłam na niego patrzeć. Byłam zła i zażenowana — zła, że jestem zażenowana i że on nie czuje tego samego. Niemal się wściekłam, kiedy mnie po prostu pocałował, mruknął: „Witaj, kochanie” i zaczął się ubierać. Czulałam zapach kobiecych perfum na jego szyi.

Jednak nic nie mogłam powiedzieć. Tyle razy się przechwalałam, że jestem pozbawiona uprzedzeń. Szczyciłam się tym, a teraz to boli. Leżałam, patrząc, jak się ubiera, i myślałam o swoim bracie. Harry zawsze drażnił się ze mną, twierdząc, że za dużo myślę.

Nie chciał przyznać, że to on jest odpowiedzialny za zachęcanie mnie do tego. Twierdził, że powtarza ze mną wieczorami to, czego nauczył się w ciągu dnia, żeby lepiej pamiętać, ale pozwoliło mi to myśleć i wyrażać siebie. Być może żałował tego później. Nigdy się nie dowiem. Już skończyłam żałobę, chociaż czasami czuję się tak, jakbym wciąż trzymała ten telegram w dłoni.

Harry przeraziłby się, widząc, do czego doprowadziły jego nauki. Nie znaczy to, że do takich poczynań potrzebny jest żywy umysł — większość ludzi w tym domu to głupcy, nie wyłączając mojego blondyna. Z nikim nie mogłam porozmawiać. Musiałam zająć się bordo.

Szczerze mówiąc, cieszę się, że nie należę do tego środowiska.

Wystarczy, że czasami będę mogła stwierdzić, jak jest płytkie. Wydaje mi się, że Richard chciałby czegoś innego, ale znalazł sobie nieodpowiednią żonę, jeśli ma ochotę na takie życie. A może to ja źle wybrałam — chociaż nigdy bym tak nie pomyślała w czasach, kiedy za sobą szaleliśmy.

Teraz sądzę, że to Richard mnie do tego skłonił, żeby pokazać, że nie jest tak konwencjonalny, jak się obawiałam. Ale przyniosło to wręcz odwrotny skutek. Nigdy bym nie przypuszczała w dniu ślubu, że stanie się właśnie taki. Trywialny.

Czuję się dziś tak pozbawiona energii. Tata i Harry pewnie by się ze mnie śmiali, ale naprawdę sądziłam, że nowy wiek przyniesie nam jakąś zmianę; że Anglia zrzuci swój wytarty, czarny strój, aby pokazać coś nowego i lśniącego. Minęło zaledwie jedenaście godzin dwudziestego wieku, ale już wiem, że zmieniły się tylko cyferki.

Wystarczy. Dzisiaj wszyscy wybierają się na przejażdżkę, na którą nie mam ochoty. Zaszyję się z kawą w bibliotece. Z całą pewnością będzie pusta.

RICHARD COLEMAN

Myślałem, że jeśli pójdę do innej, to odzyskam Kitty, że zazdrość znowu otworzy mi drzwi jej sypialni. Jednak po dwóch tygodniach sytuacja się nie zmieniła.

Nie chcę twierdzić, że znalazłem się w rozpaczliwej sytuacji, ale nie rozumiem, dlaczego moja żona zrobiła się taka trudna. Zapewniłem jej godziwe życie, a mimo to nie jest szczęśliwa, chociaż nie może — lub nie chce — powiedzieć dlaczego.

Każdy mężczyzna na moim miejscu zmieniłby żonę, choćby na jedną noc.

MAUDE COLEMAN

Kiedy tata zobaczył anioła na sąsiednim grobie, wykrzyknął: „Co za diabeł?!“

Mama się tylko zaśmiała.

Patrzyłam i patrzyłam, aż zaczęła mnie boleć szyja. Anioł wisiał nad nami, z jedną stopą wysuniętą do przodu, ręką wskazując niebo. Miał na sobie długą suknię z wycięciem w karo, a jego długie włosy opadały na skrzydła. Patrzył w dół na mnie, ale choćbym nie wiem jak się starała, i tak wydawał się mnie nie zauważać.

Mama i tata zaczęli się sprzeczać. Tacie nie podobał się ten anioł. Nie wiem, jakie jest zdanie mamy, bo nic nie powiedziała. Chyba bardziej przejmuje się urną, którą tata umieścił na naszym grobie.

Chciałam usiąść, ale się nie odważyłam. Było zimno, zbyt zimno, żeby siadać na kamieniu, a poza tym umarła królowa, co chyba znaczy, że nikt nie może siadać, bawić się ani robić nic przyjemnego.

Wczoraj w nocy, kiedy poszłam do łóżka, usłyszałam dzwony. Kiedy rano zjawiała się niania, powiedziała mi o tym, że królowa umarła poprzedniego wieczoru. Jadłam owsiankę bardzo wolno, żeby sprawdzić, czy smakuje inaczej niż przed śmiercią królowej. Nic się jednak nie zmieniło — była zbyt słona. Pani Baker zawsze ją tak gotuje.

Wszyscy, których widzieliśmy po drodze na cmentarz, byli ubrani na czarno. Ja włożyłam szarą wełnianą sukienkę i biały fartuszek, który i tak noszę, ale niania wyjaśniła, że doskonale nadaje się na takie okazje.

Dziewczynki nie muszą nosić czerni. Niania pomogła mi się ubrać.

Pozwoliła mi włożyć czarno-białe paletko i takiż kapelusik, ale zawahała się przy mufce z futerka królika. Musiałam zapytać mamę, która powiedziała, że wszyst-

ko jedno. Sama włożyła suknię z niebieskiego jedwabiu i pelerynę, co nie spodobało się tacie.

Kiedy rodzice rozmawiali o aniele, schowałam twarz w mufkę. Futerko jest bardzo miękkie. A potem usłyszałam dźwięki, jakby ktoś pukał w kamień, i zobaczyłam wpatrzone we mnie błękitne oczy tuż nad sąsiednim pomnikiem. Spojrzałam w nie, a wtedy za grobem pokazała się twarz chłopca. Włosy miał pełne błota, a na policzkach ciemne smugi brudu. Mrugnął do mnie, a potem zniknął za pomnikiem.

Spojrzałam na rodziców, którzy przeszli nieco dalej, żeby popatrzeć na anioła z innego miejsca. Nie widzieli chłopca. Cofnęłam się między groby, wciąż ich obserwując. Kiedy upewniłam się, że nic zwracają na mnie uwagi, dałam nura za nagrobek.

Chłopiec siedział w kucki, opierając się o pomnik.

— Dlaczego masz błoto we włosach? — spytałam.

— Bo byłem w grobie — odpowiedział.

Przyjrzałam mu się uważniej. Cały był umazany błotem, łącznie z marynarką, spodniami i butami. Drobiny błota przyczepiły się nawet do jego rzęs.

— Mogę dotknąć tego futerka? — zapytał.

— To mufka — wyjaśniłam. — Moja mufka.

— Mogę dotknąć?

— Nie. — Ale po chwili poczułam wyrzuty sumienia, więc wyciągnęłam do niego mufkę.

Chłopiec napluł sobie na palce i wytarł je o marynarkę. Potem wyciągnął rękę i pogłaskał futerko.

— Co robiłeś w grobie? — spytałam.

— Pomagałem naszemu tacie.

— A co robi twój tata?

— No, kopie groby. A ja mu pomagam.

A potem usłyszeliśmy dźwięk przypominający miauczenie kota.

Wyjrzelśmy zza grobu, a stojąca w alejce dziewczynka spojrzała mi prosto w oczy, jak ja przed chwilą w oczy chłopca. Miała czarny strój i była bardzo ładna, z błyszczącymi, brązowymi oczami, długimi rzęsami i cerą jak mleko. Brązowe loki

opadały jej aż na plecy i w niczym nie przypominały moich, które wiszą jak strąki i mają nieokreślony kolor. Babcia mówi, że jestem mysią blondynką, co może jest zgodne z prawdą, ale niezbyt miłe. Babcia zawsze mówi to, co myśli.

Dziewczynka przypominała mi moje ulubione czekoladki nadziewane kremem orzechowym i patrząc na nią, od razu pomyślałam, że chciałabym, żeby została moją najlepszą przyjaciółką. Nie mam najlepszej przyjaciółki, ale zawsze się o nią modliłam. Często zastanawiałam się, marznąc w kościele św. Anny (dlaczego w kościołach zawsze jest tak zimno?), czy to ma sens, ale okazało się, że Bóg mnie w końcu wysłuchał.

— Livi, kochanie, wytrzymaj nosek w chusteczkę. — Matka dziewczynki właśnie nadchodziła alejką, trzymając za rączkę jej młodszą siostrę. Za nimi szedł rudobrody mężczyzna. Młodsza dziewczynka nie była aż tak ładna. Chociaż przypominała siostrę, to nie miała wysuniętej brody, dużych ust i wijących się włosów. Oczy miała raczej orzechowe niż ciemnobrązowe i wyglądała tak, jakby nic nie mogło jej zdziwić.

Natychmiast też zauważyła mnie i chłopca.

— Lavinio, *Maman* — powiedziała starsza dziewczynka, wruszając ramionami i odrzucając głowę tak, że jej włosy zatańczyły w powietrzu.

— Chcę, żebyście mówili do mnie Lavinio, nie Livi.

Zdecydowałam, że nigdy nie zwrócę się do niej Livi.

— Nie odzywaj się niegrzecznie do mamy, Livi — powiedział mężczyzna. — Dla nas jesteś Livi i koniec. To ładne imię. Jak dorośniesz, będziemy mówić Lavinio.

Zachmurzona Lavinia spojrzała pod nogi.

— A teraz przestań już płakać — ciągnął. — Królowa Wiktoria panowała nam długo i mądrze, ale to nie powód, żeby opłakiwała ją pięcioletnia dziewczynka. Przestraszysz Ivy May. — Wskazał jej siostrę.

Znowu spojrzałam na Lavinie. Wcale nie wydawało mi się, żeby płakała, chociaż ścisnęła w rękę chusteczkę. Dałam jej znak, żeby przysła.

Na ustach dziewczynki pojawił się uśmiech. Kiedy rodzice się odwrócili, skierowała się między groby.

— Ja też mam pięć lat — powiedziałam, kiedy się zbliżyła. — Ale w marcu będę miała sześć.

— Naprawdę? — rzuciła. — Ja skończę sześć w lutym.

— Dlaczego mówisz do mamy *Maman*'? Ja mówię do swoich rodziców po prostu mamó i tato.

— Słowa *Maman* i *Papa* są bardziej eleganckie — wyjaśniła, a potem spojrzała na klęczącego przy grobie chłopca. — Powiedz, proszę, jak masz na imię.

— Maude — odparłam, zanim zorientowałam się, że mówi do chłopca.

— Simon.

— Jesteś bardzo brudny.

— Przestań — powiedziałam. Lavinia popatrzyła na mnie.

— Co mam przestać?

— On kopie groby, dlatego jest ubłocony. Lavinia cofnęła się o krok.

— Ucze się na grabarza — wyjaśnił Simon. — Przedtem byłem żałobnikiem w zakładzie pogrzebowym, ale nasz tatko mnie zabrał, jak tylko mogłem unieść szpadeł.

— Na pogrzebie mojej babci było trzech chłopców żałobników — powiedziała Lavinia. — Jednego oćwiczono, bo się śmiał.

— Mama mówi, że teraz nie urządza się już takich pogrzebów — wtrąciłam. — Są zbyt drogie i lepiej przeznaczyć te pieniądze na coś innego.

— Nasza rodzina zawsze miała żałobników. Ja też ich będę miała na swoim pogrzebie.

— To znaczy, że masz umrzeć? — spytał Simon.

— Na nieba, nie!

— Czy twoja niania też została w domu? — spytałam, nie chcąc, żeby się obraziła i odeszła.

Zarumieniła się trochę.

— Nie mam niani. *Maman* doskonale może się nami zająć. Nie znałam żadnych dzieci, które nie miałyby niani. Lavinia patrzyła na moją mufkę.
— Podoba wam się mój anioł? — spytała. — *Papa* pozwolił mi go wybrać.

— Nie podoba się mojemu tacie — rzuciłam, chociaż wiedziałam, że nie powinnam powtarzać jego słów. — Powiedział, że to sentymentalna bzdura.

Lavinia zmarszczyła brwi.

— A *Papa* aż wstrząsa się na widok waszej urny. Ale co jest złego w moim aniele?

— Mnie się podoba — stwierdził Simon.

— Mnie też — skłamałam.

— Myślę, że jest bardzo śliczny — westchnęła Lavinia. — Kiedy pójdę do nieba, chcę, żeby moją duszę zaniósł właśnie taki anioł.

— To najładniejszy anioł na cmentarzu — dodał chłopiec.

— Znam je wszystkie. Jest ich trzydzieści jeden. Chcecie, to wam pokaże.

— Trzydzieści jeden to liczba pierwsza — powiedziałam.

— Dzieli się tylko przez jeden i przez siebie.

Tata opowiadał mi niedawno o liczbach pierwszych, chociaż nie wszystko zrozumiałam.

Simon wyjął kawałek węgla z kieszeni i zaczął coś rysować z tyłu pomnika. Najpierw czaszkę, a potem skrzyżowane piszczele — okrągłe oczodoły, czarny trójkąt zamiast nosa, kwadratowe zęby i cień na jednej stronie twarzy.

— Nie rób tego — powiedziałam, ale mnie nie posłuchał. — Nie wolno.

— Ale już to zrobiłem. I to dużo. Popatrzcie dookoła. Spojrzałam na grób naszej rodziny. Na dole cokołu, na którym stała urna, dostrzegłam niewielką trupią czaszkę. Tata wściekłby się, gdyby ją zobaczył. A potem stwierdziłam, że takie same rysunki znajdują się na innych grobach. Nigdy wcześniej ich nie zauważyłam.

— Chce narysować trupie główki na wszystkich grobach — dodał Simon.

— Po co je rysujesz? — spytałam. — I czemu właśnie czaszki?

— Przypominają to, co jest pod ziemią. Jeśli na dole są same kości, to co mam rysować?

— Ale z ciebie łobuz — powiedziała Lavinia. Simon wstał.

— Tobie też narysuję — zaproponował. — Z tyłu anioła.

— Ani mi się waż — syknęła dziewczynka. Simon natychmiast wyrzucił węgielek.

Lavinia rozejrzała się tak, jakby miała zamiar odejść.

— Znam jeden wiersz — powiedział nagle Simon.

— Jaki wiersz? Tennysona?

— Sam nie wiem, czy tenisa, czy nie. To idzie tak:

Pewien młody Niemczyn z Osaki

W trumnie zbudził się i kłopot miał taki:

„Jest tu miło, przytulnie

i wygodnie ogólnie, Ale czemu mnie gryzo robaki? ”

— Fe, obrzydliwe! — obruszyła się Lavinia. Roześmiałam się razem z Simonem.

— Nasz tato mówi, że wielu ludzi pochowano żywcem — dodał. —

Mówi, że słyszy, jak się grzebio w trumnach, kiedy rzuca na nie ziemię.

— Naprawdę? Moja mama boi się, że ją pochowają żywą —

powiedziałam.

— Nie chcę dłużej tego słuchać! — krzyknęła Lavinia, zasłaniając uszy.

— Idę sobie!

Pospieszyła między grobami do rodziców. Chciałam iść za nią, ale Simon znowu zaczął:

— Nasz dziadek też jest tutaj pochowany.

— Nieprawda.

— Prawda.

— To pokaż mi jego grób.

Simon wskazał rząd drewnianych krzyży po drugiej stronie alejki. Groby biedaków — mama opowiadała mi o nich kiedyś i wyjaśniła, że część ziemi przeznaczono dla tych, którzy nie mogli zapłacić za normalne kwatery.

— Który to jego krzyż? — spytałam.

— Nasz dziadek nie ma krzyża. Szybko by przegnił i się rozwalił.

Zasadziliśmy mu na grobie krzak róży, żeby wiedzieć, gdzie leży.

Ukradliśmy go z jakiegoś ogrodu tam, pod wzgórzem.

Zobaczyłam krzak przycięty na zimę. Mieszkamy niedaleko, a przed domem mamy mnóstwo róż. Może ten krzak należał do nas.

— Nasz dziadek też tu pracował — ciągnął Simon. — Tak jak ja i nasz tatko. Zawsze mówił, że to najlepszy cmentarz w Londynie. Chciał leżeć tylko tutaj. O innych opowiadał różne historie. Że wszeździe walają się kości. Że ledwie przykrywają nieboszczyków ziemią. I ten smród. — Simon powachlował się dłonią. — A jeszcze w nocy kradną ciała. Tu przynajmniej mamy porządny mur zakończony kolcami.

— Muszę już iść — powiedziałam. Nie chciałam, żeby uznał, że się przestraszyłam jak Lavinia, ale wołałam nie słuchać o rozkładających się ciałach.

Simon wzruszył ramionami.

— Mógłbym ci sporo pokazać.

— Może innym razem.

Musiałam biec, żeby dogonić nasze rodziny, które szły alejką. Lavinia wzięła mnie za rękę i ścisnęła moją dłoń. Tak się z tego ucieszyłam, że ją pocałowałam.

Kiedy tak szliśmy ramię w ramię na wzgórze, kątem oka zobaczyłam postać, która niczym duch przeskakiwała od grobu do grobu. Simon najpierw szedł za nami, a potem pobiegł do przodu. Zaczęłam żałować, że go zostawiłyśmy.

Szturchnęłam Lavinie.

— Miły z niego chłopiec, prawda? — Wskazałam cień, który zaraz skrył się za obeliskiem.

— Tak, lubię go — powiedziała Lavinia. — Nawet wtedy, kiedy mówi o różnych okropnościach.

— Nie chciałabyś móc tak biegać jak on? Lavinia uśmiechnęła się do mnie.

— No to biegnijmy!

Nie spodziewałam się, że to zaproponuje. Spojrzałam na pozostałych — tylko siostra Lavinii zwracała na nas uwagę.

— To raz — szepnęłam.

Ścisnęła mocniej moją dłoń i pobiegłyśmy, żeby poszukać Simona.

KITTY COLEMAN

Nikommu tego nie powiem, bo oskarżyliby mnie o zdradę stanu, ale bardzo stę ucieszyłam na wieść o śmierci królowej. Pustka, którą czułam od sylwestra, ustąpiła i musiałam bardzo uważać, żeby nie zdradzić się ze swoim podnieceniem. Nowy wiek to wprawdzie jedynie zmiana cyferek, ale teraz możemy oczekiwać też zmiany w stylu rządzenia. Poza tym wydaje mi się, że Edward znacznie lepiej nas rozumie niż jego matka. Jednak, jak na razie, nic się nie zmieniło. Powszechnie oczekuje się, że udamy się czwórkami na cmentarz, gdzie wylejemy stosowną ilość łez, chociaż ani nie leży tam nikt z rodziny królewskiej, ani nie pochowają tam samej królowej. Wystarczy chyba, że jest tam śmierć.

Ten przeklęty cmentarz. Nigdy go me lubiałam.

Prawdę mówiąc, nie jest to wina samego miejsca, które ma swój żałobny czar, z rzędami niemal wchodzących na siebie grobów, granitowymi pomnikami, egipskimi obeliskami, gotyckimi iglicami, cokołami z rzędami kolumn, płaczącymi aniołami i kobietami i, oczywiście, z urnami. A wszystko to pnie się na wzgórzu zwieńczone wspaniałym cedrem libańskim. Gotowa jestem nawet pominąć co bogaciej zdobione grobowce, które mają świadczyć o statusie rodziny. Jednak uczucia, które to miejsce wzbudza u odwiedzających, wydają mi się nieco przesadne. Co więcej, jest to miejsce pochówku Colemanów, a nie mojej rodziny.

Brakuje mi małego cmentarzyka w Lincolnshire, gdzie leżą moi rodzice i gdzie stoi cenotaf Harry'ego, chociaż jego ciało znajduje się gdzieś w południowej Afryce.

Panująca tu przesada — do której dołączyliśmy z naszą urną — sprawia, że mam dosyć tego miejsca. Ta urna zupełnie nie pasuje do otoczenia.

Gdyby tylko Richard wcześniej zapytał mnie

o zdanie. To przecież do niego niepodobne - mimo wad ma sporo zdrowego rozsądku i musiał zauważyć, że urna jest za duża. Podejrzewam, że przyłożyła się do tego jego matka. Zawsze miała upodobanie do przesady.

Richard rozbawił mnie dzisiaj, narzekając na anioła, którego postawiono na sąsiednim grobie (zresztą zdecydowanie za blisko urny — oba pomniki wyglądają tak, jakby lada chwila miały się zderzyć). Jedyne, co mogłam zrobić, to zachować powagę.

— Jak śmieli narzucać nam swoje upodobania — mówił. — Pomyśl, że będziemy widzieć tę sentymentalną bzdurę za każdym razem, kiedy przyjdziemy na cmentarz.

— Anioł jest sentymentalny, ale nikomu nie robi nic złego — odparłam.

— Przynajmniej użyli włoskiego marmuru.

— Wszystko mi jedno, co to za marmur! Nie chcę, żeby ten anioł stał obok!

— Nie sądzisz, że oni mogą mówić to samo o naszej urnie?

— W urnie nie ma nic złego!

— A oni to samo powiedzą o aniele.

— Ten anioł wygląda idiotycznie koło urny. Przede wszystkim stoi za blisko.

— Właśnie — zauważyłam. — Nie zostawiłeś im miejsca.

— Jasne, że zostawiłem. Druga urna doskonale by tam pasowała. No, może nieco mniejsza...

Uniosłam brwi, jak zwykle to robię, kiedy Maude powie coś niemądrego.

— Albo nawet tej samej wielkości — dodał. — Tak, dwie urny wyglądałyby wspaniale. A teraz mamy totalną bzdurę.

I tak dalej, i tak dalej. Chociaż nie podobają mi się poustawiane na cmentarzu anioły o pozbawionych wyrazu twarzach, to bardziej niepokoją mnie urny, które wydają się tu czymś dziwnym, kiedy się wie, że Rzymianie używali ich do przechowywania ludzkich prochów.

Pogański symbol chrześcijańskiej wspólnoty. Ale to samo dotyczy elementów egipskich, których również tu nie brakuje. Kiedy powiedziałam o tym Richardowi, zaczął się złościć, ale nie znalazł kontrargumentów.

— Ta urna dodaje dostojności i powagi grobowcowi Cole-manów — stwierdził tylko.

Czy ja wiem? Jest to raczej banalny i źle dobrany symbol. Miałam jednak tyle zdrowego rozsądku, żeby nic nie powiedzieć.

Richard wciąż narzekał na anioła, kiedy nagle pojawili się jego właściciele w pełnej żałobie. Albert i Gertrudę Waterhouse 'owie, ale nie spokrewnieni z malarzem, jak podkreślili. (I bardzo dobrze — chce mi się wyć, kiedy widzę jego przejrzałe obrazy w Tate Gallery. Pani z Chał lot wygląda tak, jakby paliła opium). Nigdy wcześniej ich nie spotkaliśmy, chociaż mają ten grób od paru lat. Są raczej bezbarwni — on ma rudą brodę i ciągle się uśmiecha, a ona to jedna z tych niedużych kobiet, których talia nigdy nie wróciła do poprzedniego stanu po kolejnych porodach, więc trudno jej znaleźć dopasowaną do Figury suknię. Włosy pani Waterhouse raczej falują, niż się kręcą, i trudno je upiąć w jakąś fryzurę.

Jej starsza córka, Lavinia, która wyglądała na rówieśniczkę Maude, ma śliczne, brązowe loki. Jest zepsuta i nawykła do rządzenia — okazało się, że pan Waterhouse kupił anioła pod jej naciskiem. Richard niemal się udławił, kiedy to usłyszał. Lavinia miała na sobie czarną suknię oblamowaną krepą — co wydało mi się w złym guście i niepotrzebne u tak małego dziecka.

Oczywiście dziewczynka natychmiast spodobała się Maude. Kiedy mszyliśmy razem na przechadzkę wokół cmentarza, Lavinia zaczęła wycierać oczy chusteczką z czarną lamówką, płacząc nad grobem chłopczyka zmarłego pięćdziesiąt lat temu. Mam tylko nadzieję, że Maude nie zacznie jej naśladować. Nie zniosłabym takiego zachowania. Maude jest bardzo wrażliwa i zauważyłam, że patrzyła na dziewczynkę z wyraźną aprobatą. Wkrótce obie zniknęły wśród grobów — Bóg jeden wie, co tam robiły. Wróciły jako najlepsze przyjaciółki.

Nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek zaprzyjaźniły się z Gertrudę Waterhouse. Kiedy po raz kolejny powiedziała, jak jej przykro z powodu śmierci królowej, nie mogłam powstrzymać się od uwagi, że Lavinia chyba bardzo cieszy się z żałoby.

Gertrudę Waterhouse milczała przez chwilę, a potem stwierdziła:

— Jaka piękna suknia. Co za niezwykle niebieski odcień. Richard chrząknął. Pokłóciliśmy się z jej powodu. Prawdę

mówiąc, teraz wstydziałam się trochę — wszyscy dorośli, których spotkaliśmy po drodze, mieli czarne stroje. Moja suknia była ciemnoniebieska, ale i tak wyróżniała się bardziej, niż zamierzałam.

Postanowiłam szarżować.

— Tak, wydawało mi się, że czerń nie pasuje w tej sytuacji

— zaczęłam. — Po śmierci królowej Wiktorii wiele się przecież zmieni. Jestem pewna, że Edward potrafi dobrze nami rządzić. Długo czekał na tron.

— Moim zdaniem, zbyt długo — wtrącił pan Waterhouse.

— Biedak, najlepsze lata ma już za sobą.

Trochę się zmieszał, jakby zdziwiło go to, że wyraził własną opinię.

— Ale nie jeśli idzie o panie — zauważyłam. Wprost nie mogłam się od tego powstrzymać.

— Och! — Gertrudę Waterhouse wyglądała na zaszokowaną.

— Kitty, na miłość boską! — syknął Richard. — Moja żona zawsze mówi to, czego nie powinna — zwrócił się do Waterhouse'a, który zachichotał niepewnie.

— Nieważne, na pewno ma wiele innych zalet — powiedział.

Zapanowała cisza, w której wszyscy zastanawiali się nad tą uwagą.

Zrobiło mi się słabo, kiedy pomyślałam, że Waterhouse'owi chodzi o sylwestra. Ale z całą pewnością nic o tym nie wiedział. Nie należy do tego towarzystwa. Sama starałam się

o tym zapomnieć. Richard też nic nie mówił, ale czuję, że jakaś część mnie umarła tamtej nocy i nic już nie będzie takie samo, z nowym królem czy bez.

A potem wróciły zdyszane dziewczynki, co odwróciło naszą uwagę.

Waterhouse'owie szybko podziękowali za towarzystwo

i odeszli, ku radości — tak sędzę — wszystkich poza dziew-

czynkami. Lavinia miała łzy w oczach i bałam się, że Maude też się rozpłacze. Później wciąż paplała o nowej przyjaciółce, aż w końcu obiecałam, że ją odwiedzimy. Mam nadzieję, że wkrótce o tym zapomni, ponieważ w towarzystwie Waterhouse'ów zaczynam gorzej myśleć o sobie.

LA VINIA WATERHOUSE

Dzisiaj na cmentarzu spotkałam moją nową przyjaciółkę i pewnego łobuziaka. Bywałam tam dosyć często, ale nigdy do tej pory nie mogłam oddalać się od *Maman*. Dzisiaj jednak rodzice spotkali państwa Colemanów, którzy są właścicielami sąsiedniego grobu. I kiedy oni rozmawiali o jakichś dorosłych sprawach, wymknęłyśmy się z Maude do Simona, chłopca, który pracuje na cmentarzu. Najpierw przebiegłyśmy egipską alejką aż do grobowców, okrążając libański cedr. Tam jest tak bardzo ślicznie, że omal nie zemdlałam z podniecenia.

A potem Simon zabrał nas na oglądanie aniołów. Pokazał nam cudownego aniołka koło katakumb Terrace. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Miał krótką tunikę, z której wystawały małe skrzydełka; jego głowa była odwrócona, jakby przed chwilą tupnął nóżką i bardzo się rozzłościł. Aniołek jest tak śliczny, że zaczęłam żałować, iż nie wybrałam go na nasz grób. Ale nie było go w katalogu u kamieniarza. Zresztą *Maman* i *Papa* zapewne zgodzą się, że i tak mamy najlepszego.

Simon pokazał nam też inne anioły w pobliżu, a potem powiedział, że chce, żebyśmy zobaczyły grób, który właśnie wykopał z ojcem. Cóż. Nie chciałam tam iść, ale Maude chętnie się zgodziła, a ja wolałam, żeby nie myśleli, że się boję. Więc poszłyśmy i zajrzałyśmy do jego wnętrza. Chociaż się bałam, poczułam jednocześnie, że chciałabym położyć się w tym grobie. Oczywiście nie mogłam tego zrobić, nie w mojej ślicznej sukience.

A potem, kiedy miałyśmy już odejść, pojawił się ten okropny człowiek. Miał bardzo czerwoną twarz, szczecinę na brodzie i śmierdział alkoholem. Nie mogłam powstrzymać się od krzyku, chociaż doskonale wiedziałam, że to ojciec Simona — mają takie same niebieskie oczy, które przypominają pogodne niebo.

Zaczął krzyczeć na Simona, używając przy tym okropnych wyrazów. Chciał wiedzieć, gdzie Simon się podziewał i co my robimy przy grobie. *Papa* zbiłby mnie i Ivy May, gdybyśmy użyły choćby jednego z tych słów. A przecież nie lubi bić dzieci. To tylko świadczy o tym, co to były za słowa.

Następnie ten człowiek zaczął gonić Simona, aż w końcu chłopiec wskoczył do grobu! Nie czekałam na dalszy ciąg — uciekłyśmy z Maud ze wzgórza, jakby to nas ścigał. Maude zastanawiała się, czy powinnyśmy wrócić i sprawdzić, czy Simonowi nic się nie stało, ale powiedziałam, że rodzice zaczną się

o nas niepokoić. Jednak tak naprawdę bałam się, że znowu zobaczę tego człowieka. Łobuziak sobie poradzi. Nie wątpię, że spędza w grobach większą część czasu.

Więc ja jestem teraz naj lepszą przyjaciółką Maude, a ona moja, chociaż nie rozumiem, dlaczego tak zwyczajna dziewczynka ma taką piękną mufkę i na dodatek nianię, a ja ani tego, ani tego.

I jeszcze śliczną, szczupłą matkę z wielkimi, ciemnymi oczami. Kiedy patrzyłam na *Maman*, czułam się zawstydzona. To wszystko jest takie niesprawiedliwe.

GERTRUDE WATERHOUSE

Kiedy dotarły do nas najnowsze wieści, nie mogłam zasnąć w nocy, bo martwiłam się o ubrania. Albert mógł włożyć czarny surdut, który nosi do pracy, ze spinkami do mankietów z gagatu i czarną wstążką do kapelusza. Mężczyźni zawsze mają lepiej w czasie żałoby. A Ivy May jest jeszcze za mała, żeby przejmować się jej strojem.

Ale Livy i ja musiałyśmy być odpowiednio ubrane na tę okoliczność. Mnie samej jest wszystko jedno, co włożę, jednak Livy jest tak wybredna i oporna, jeśli, nie czuje się zadowolona! Nie znoszę, jak robi mi sceny — czuję się wtedy jak w tańcu, którego kroków nie znam. To Livy mnie prowadzi i dlatego na koniec jestem tak skołowana — a przecież ona ma dopiero pięć lat! Albert twierdzi, że jestem dla niej zbyt miękka, a przecież sam kupił jej anioła, chociaż wie, jak bardzo musimy oszczędzać, zwłaszcza teraz, kiedy chcemy się przeprowadzić. Cóż, nie mogę go za to winić. Chodzi o to, żeby grób rzeczywiście odzwierciedlał nasze uczucia względem zmarłych. Livy doskonale to wie i dlatego miała rację, że trzeba było coś z nim zrobić, zwłaszcza po tym, jak tuż obok stanęła ta monstrualna urna.

Wstałam bardzo wcześnie i odszukałam kawałki krepy, które zachowałam po pogrzebie ciotki. W zasadzie powinnam je spalić. Livy byłaby przerażona, gdyby je zobaczyła. Skrawków nie wystarczyło na obie suknie, więc oblamowałam tylko sukienkę Livy, a resztą ozdobiłam swój kapelusz. Zanim skończyłam, Livy wstała z łóżka. Tak się ucieszyła ze swojej sukienki, że nawet nie spytała, skąd wzięłam krepe.

Po niemal bezsennej nocy i wczesnym wstaniu byłam tak zmęczona, że prawie się rozplakałam na widok niebieskiej jedwabnej sukni Kitty Coleman. Stanowiła ona obrazę dla oczu —

jak rozpostarty ogon pawia w trakcie pogrzebu. Poczułam się szaro i wstydziałam się nawet stanąć obok niej, bo porównania same się narzucały, a ja zrozumiałam boleśnie, że nie mam już dawnej figury. Jedyłą pociechę — aż mi wstyd z tego powodu i będę się modliła do Boga o wybaczenie — stanowiło to, że Maude jest taka zwyczajna. Czułam dumę, widząc, że moja Livy wygląda przy niej jak piękny kwiat przy krzaku porzeczki.

Staralam się, oczywiście, być bardzo grzeczna, ale Kitty Coleman nie kryła swego znudzenia. A potem odniosła się z ironią do Livy i mówiła obraźliwe rzeczy może nie o samej zm arłej, ale czułam, że nie okazuje należnego szacunku królowej Wiktorii. A poza tym mój biedny Albert tak się przy niej zmieszał, że powiedział coś, co zupełnie do niego nie pasuje. Później bałam się nawet spytać, o co mu chodziło.

Nieważne, już więcej się z nią nie spotkam. Przecież nasze groby sąsiadują od wielu lat, a zobaczyliśmy się po raz pierwszy. I — przy odrobinie szczęścia — ostatni, chociaż zawsze będzie nade mną wisiała ta groźba. Obawiam się, że ten cmentarz straci dla mnie część swego uroku.

ALBERT WATERHOUSE

Piekielnie ładna kobieta. Sam nie wiem, jak to się stało, że powiedziałem to, co powiedziałem. Muszę to wynagrodzić Trudy i jutro kupić jej ulubione słodycze.

Cieszę się, pomimo tej urny, że poznałem Richarda Colemana. (Co się stało, to się nie odstanie. Wyjaśniłem Trudy, że skoro ją tam postavili, to nic nie możemy zrobić). Ma dobrą pracę w banku. Mieszkają u stóp wzgórza i z tego, co mówił, wynikało, że moglibyśmy się tam przeprowadzić z Islingtonu. Jest tam dobra miejscowa drużyna krykieta, do której mógłby mnie wprowadzić. Użyteczny facet.

Mimo urody, nie zazdroszczę mu żony. Wygląda na taką, co sprawia dużo kłopotów. Wystarczy mi nasza Livy.

SIMON FIELD

Zostaje w grobie po tym, jak dziewczyny uciekły. Nie ma powodów, żeby wychodzić. Nasz tatko nie schodzi na dół ani nie krzyczy nad grobem. Jakby co, wie, gdzie mnie znaleźć.

— Ten cmentarz ma wysoki mur — czensto powtarza. — Możesz przez niego przejść, ale w końcu i tak tu wrócisz... nogami do przodu.

Niebo ładnie wyglonda z głębokości ośmiu stóp. Ma kolor futerka tej dziewczyny. Mufka, powiedziała. Futerko było tak mienkie, że chciałem wtulić w nie twarz, tak jak ona.

Leże na plecach i patrzę w niebo. Czasami gdzieś w górze przeleci ptak. Od ścian grobu odrywają się grudki ziemi i spadają na mnie. Nie boję się, że ziemia się zawali. Przy głębszych grobach używamy desek do wzmocnienia ścian, ale ten jest płytki. A poza tym kopany w mokrej glinie, która dobrze się trzyma. Zdarzało się już, że grób się zawalił, ale zwykle był kopany w piasku albo glina zdołała obeschnąć. Niektórych zasypało na śmierć. Nasz tatko mówi, żeby w takich razach jedno renko zakryć twarz, a drugo wystawić do góry. Bende miał wtedy powietrze, a pozostali szybko zobaczo, gdzie jestem.

Ktoś podchodzi i zaglonda do grobu. Widzę tylko ciemno sylwetkę na tle nieba, wienc nie wiem, kto to taki. Ale to nie nasz tatko — nie czuć od niego butelko.

— Co tam robisz, Simon? — pyta ten człowiek.

Wiem już, kto to. Skacze na równe nogi i otrzepuje ziemię z marynarki i spodni.

— Odpoczywam, panie.

— Nie płaco ci za odpoczywanie.

— Nic mi nie płaco, panie - mówię, zanim zdołam się powstrzymać.

— A myślałem, że nauka to dostateczna zapłata. Uczysz się fachu, chłopcze.

— Ale nie napełnię tym sobie żołądka, panie.

— Dostyc już tego, Simon! Jesteś tylko czeladnikiem Londyńskich Zakładów Pogrzebowych. Za bramą czekają inni, którzy chętnie zajmą twoje miejsce. Pamiętaj o tym. Skończyłeś już ten grób?

— Tak, panie.

— Wienc zakryj go i poszukaj ojca. Powinien odłożyć na-rzeńdzia. Widać, że nie można go zostawić samego. Doprawdy nie wiem, dlaczego go tu trzymam.

Ale ja wiem. Nasz tatko zna cmentarz lepiej niż ktokolwiek. Doskonale wie, kogo i kiedy pochowano w takim a takim grobie i czy trzeba kopać w glinie czy piachu. Dowiedział się tego od naszego dziadka. Jak trzeba, potrafi też szybko kopać. Ma mieśnię jak stal. Najlepiej mu idzie, jak się trochę napije, byle nie za dużo. Wtedy kopio razem z Joem, a ja wyciongam kubel za kubłem. Ale jak już nasz tatko sobie popije, to musimy odwalać cało robotę sami z Joem.

Rozglondam się, szukajonc długiej gałęzi z senczkami, po których można wyjść z grobu, ale jej nie widzę.

— Panie Jackson! — - krzyczę, ale już go nie ma. Krzyczę jeszcze, ale nie wraca. Nasz tatko pomyśli, że wyszedłem i przykryłem grób. On też nie przyjdzie.

Próbuje wykopać dziury, po których mógłbym wyjść, ale nie mam szpadla, a ziemia jest zbyt twarda. Poza tym chociaż ściany są mocne, boje się, żeby się na mnie nie zawaliły.

Teraz kiedy tu utkwilem na dobre, robi się coraz zimniej. Kucam i obejmuję renkami kolana. Co jakiś czas wołam. Na cmentarzu kopio jeszcze cztery groby i robio parę pomników, ale żadnego w pobliżu. Może usłyszy mnie ktoś przypadkowy albo wróco dziewczyny. Czasami słyszę jakieś głosy i krzyczę: „Ratunku! Na pomoc! "Nikt nie przychodzi.

Ludzie nie podchodzą do świeżo wykopanych grobów. Boją się, że coś ich tam wciongnie.

Niebo nade mno ciemniej i słyżę dzwonek na zamknięćie cmentarza. To chłopiec, który chodzi z nim po alejkach. Krzyczę, aż zaczyna mnie boleć gardło, ale dzwonek mnie zagłusza.

Chłopiec przestaje dzwonić i robi sie ciemno. Skacze, żeby sie rozgrzać, a potem znowu kucam i obejmuję kolana.

W ciemności grób czuć mocniej glino i wilgocio. Pod ziemio przepływa odnoga Fleet River i teraz czuje, że jest blisko.

Niebo sie wypogadza i pojawiajo sie na nim pierwsze gwiazdy. Po chwili skrawek nade mno jest ich pełny, jakby ktoś rozsypał tam monke, żeby rozwałkować w niej ciasto.

Cało noc patrzę na gwiazdy. W grobie nie ma nic innego do roboty.

Widzę w nich różne rzeczy — konia, motykę i łyżkę. Co jakiś czas odwracam wzrok, a kiedy znowu patrzę do góry, widzę, że sie trochę przesunęły. Widzę też spadajonco gwiazdę i zastanawiam sie, gdzie leci. Myślę też o dziewczynach: tej z mufko i tej drugiej, ładnej. Spio teraz w swoich ciepłych łózkach, przykryte kołdrami. Zazdroszczę im.

Jak sic nie ruszam, nie jest jeszcze tak źle. Ale jak tylko sie ruszę, to czuje sie tak, jakby mnie ktoś walnoł desko. Później nie möge sie już ruszać.

Chyba zamarzła mi krew.

Najgorzej jest nad ranem, kiedy dokoła jest jeszcze ciemno, choć powinno już świtać. Nasz tatko mówi, że właśnie wtedy umiera najwiecej ludzi, bo nie mogo doczekać sie dnia. Patrzę na gwiazdy.

Motyka znika, a ja płacze, a potem chyba zasypiam, bo kiedy znowu patrzę do góry, jest już jasno, a na policzkach mam zamarzniente łyzy.

Robi sie coraz widniej, ale nikt nie przychodzi. Tak chce mi sie pić, że mam sklejone usta.

A potem słyżę hymn *Swienty, Świenty, Świenty*, który nasz tatko gwizdże przy pracy. To śmieszne, bo od lat nie był w kościele. Gwizdanie sie przybliża, a ja chce go zawołać, ale nie pozwala mi na to ból.

Słyżę, jak nasz tatko chodzi wokół, kładzie deski, a potem zielono derkę, co wyglonda jak trawa. Dookoła grobu musi być

porzondek. Potem przecionga przez grób pasy, na których spuszcza się trumnę i jeszcze dwa podkłady, na których ja sta-wiają. Nie patrzy w dół. Wykopał już tyle grobów, że wie, jak wyglondają.

Próbuje otworzyć usta, ale nie mogę. Potem słyszę rżenie koni, skrzypienie skórzanej uprzenży i odgłosy kół w alejce i wiem, że to moja ostatnia szansa. Prostuję nogi, krzyczoncz z bólu, tyle że bezgłośnie, bo nie mogę otworzyć ust. Udaje mi się staność na chwiejnych nogach i rozewrzeć wargi.

— Tat... ko— wołam. — -Tat... ko.

Mój głos brzmi jak krakanie wron. Wołam jeszcze raz, a wtedy nasz tatko wychyla lekko głowę.

— Jezus Maria, synu! Co tam robisz?!

— Do góry, tat... ko. Do góry.

Nasz tatko kładzie się na ziemi i wycionga rence.

— Pospiesz się, synu. Złap mnie za rence.

Ale nie mogę dosięgnąć. Nasz tatko patrzy w kierunku koni i potrzonsa głowo.

— Nie ma czasu, synu. Nie ma czasu.

Skacze na równe nogi i odchodzi, a ja znowu krzyczę.

Potem wraca z panem Jacksonem, który patrzy na mnie z przerażeniem.

Nic nie mówi, tylko odchodzi, a nasz tatko oglonda się za nim. Pan Jackson wraca i rzuca mi line, której używamy do mierzenia grobów. Co stopę jest na niej wenzel. Chwytam jeden z nich, a nasz tatko wycionga mnie z grobu. Londuje na zielonej derce, tej, co przypomina trawę.

Wstaje błyskawicznie, chociaż wszystko mnie boli, i stoję przed pracownikami zakładu pogrzebowego w czarnych cylindrach, chłopcami żałobnikami w czarnych marynareczkach i koźmi, które potrzonasają czarnymi piórami, które przymocowano im do uprzenży. Zza karawanu patrzy na mnie rodzina zmarłego. Ludzie mają takie miny, że chce mi się śmiać, ale widzę, jak pan Jackson krzywi się na mój widok, i uciekam.

Później tatko poi mnie rumem, sadza przed ogniem owinien-tego w koc i zaczyna mi wbijać do uszu:

— Nie rób tego wiecej synu — mówi, jakby to byl mój pomysł. —
Stracę prace i co wtedy?
A potem przychodzi pan Jackson i daje mi lanie, żebym miał nauczkę.
Prawie nie czuje bata. Nic nie kónsa mocniej niż mróz w tamtym grobie.

34 *grudzień 1901 roku*

RICHARD COLEMAN

Powiedziałem Kitty, że mamy zaproszenie na sylwestra od tych samych ludzi co w zeszłym roku. Milczała, patrząc na mnie swymi wielkimi oczami, które kiedyś ranie urzekły, a teraz tylko oceniały. Gdyby tak na mnie nie patrzyła, być może nie powiedziałbym nic więcej.

— Przyjąłem zaproszenie — skłamałem. — I to z radością.

Będziemy tam chodzić co roku, aż w końcu Kitty znowu stanie się moją żoną.

marzec 1903 roku

LAVINIA WATERHOUSK

To był prawdziwy cud. Moja najlepsza przyjaciółka na tyłach naszego ogrodu! Czy może być coś wspanialszego?

Dziś rano czułam się melancholijnie, kiedy rozczesywałam włosy, patrząc na nasz nowy ogród. To prawda, że jest bardzo śliczny, a obie z Ivy May mamy miłą sypialnię z oknami, które na niego wychodzą, ale wciąż tęsknię za naszym starym domem. Był mniejszy, położony przy ruchliwej ulicy w okolicy znacznie brzydszej niż Hampstead Heath, ale właśnie tam się urodziłam i wychowałam. Właśnie z nim wiążą się wszystkie moje wspomnienia. Chciałam nawet wziąć kawałek tapety z holu, na której rodzice zaznaczali, jak rośniemy z Ivy May, ale *Papa* powiedział, że nie wolno i że to byłoby niszczenie mienia. Płakałam, kiedy stamtąd odjeżdżaliśmy.

Nagle kątem oka uchwyciłam jakiś ruch, a kiedy spojrzałam w stronę domu stojącego na końcu sąsiedniego ogrodu, zauważyłam dziewczynkę, która wychylała się z okna i machała w moją stronę! Cóż... Zmrużyłam oczy i po jakimś czasie ją poznałam. To była Maude, dziewczynka z cmentarza! Wiedziałam, że przeprowadziliśmy się w jego okolice, ale nie przypuszczałam, że ona też tu mieszka. Wzięłam chusteczkę i zaczęłam machać, aż rozbolało mnie ramię. Nawet Ivy May, która nigdy na nic nie zwraca uwagi, chyba że ją uszczypnę (a czasami nawet wtedy nie), wstała z łóżka, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Maude zaczęła coś krzyczeć, ale była za daleko, więc nic nie słyszałam. A potem wskazała płot między naszymi ogrodami i wyciągnęła w górę wszystkie palce. Jesteśmy do siebie tak podobne, że zrozumiałam w lot, że mam się tam z nią spotkać za dziesięć minut. Posłałam jej całusa i zaczęłam jak najszybciej się ubierać.

— *Mamon! Maman!*— krzyczałam, zbiegając po schodach. Mama przybiegła z kuchni, myśląc, że jestem chora albo że się skaleczyłam. Powiedziałam jej szybko o Maude, ale nie wyglądała na ucieszoną. Nie chciała, żebym spotykała się z Colemanami, chociaż nigdy nie wyjaśniła mi dlaczego. Być może w ogóle o nich zapomniała. Ale ja nie mogłabym zapomnieć Maude. Wiedziałam, że jesteśmy sobie przeznaczone.

Pobiegłam szybko do płotu, który był zbyt wysoki, żeby cokolwiek widzieć. Zawołałam Maude, a ona mi odpowiedziała. Po chwili zobaczyłam jej twarz nad ogrodzeniem.

— Och, jak się tam dostałaś? — krzyknęłam.

— Stoję na korytku dla ptaków — wyjaśniła i trochę się zachwiała. A potem podciągnęła się i zanim uświadomiłam sobie, co się dzieje, przekoziółkowała na naszą stronę! Biedactwo, cała się podrapała o róże. Objęłam ją i mocno pocałowałam, a następnie zaprowadziłam do *Maman*, która — muszę z radością stwierdzić — była dla niej bardzo miła i przemyślała jej zadrapania jodyną.

A potem zabrałam ją do sypialni, żeby pokazać jej moje lale.

— Nie zapomniałam o tobie — zapewniłam. — Rozglądałam się po cementarzu, kiedy tylko tam byliśmy. Miałam nadzieję, że się spotkamy.

— Ja też — wyznała.

— Ale nigdy cię tam nie widziałam. Czasami tylko tamtego łobuziaka.

— Simona? Tak, pomagał ojcu.

— Teraz będziemy mogli pójść tam razem, a on pokaże nam wszystkie pozostałe anioły. Będzie cudownie!

— Tak.

A potem Ivy May próbowała zepsuć nam zabawę, uderzając głowami lalek o siebie tak mocno, że bałam się, iż je rozbije. Powiedziałam, żeby sobie poszła, ale Maude stwierdziła, że może zostać, bo ona nie ma siostry ani brata, z którymi mogłaby się bawić. Cóż, Ivy May wyglądała na bardzo zadowoloną — jeśli można powiedzieć, że ją w ogóle coś cieszy.

Nieważne. Maude zjadła z nami śniadanie i cały czas gadałyśmy.
To prawdziwy cud, że anioły doprowadziły naszą rodzinę do tego domu,
a mnie do mojej najlepszej przyjaciółki.

MAUDE COLEMAN

Zabawne, jak to wszystko się plecie. Tata zawsze powtarza, że przypadki wcale nie są przypadkami, jeśli im się uważniej przyjrzeć. Dzisiaj okazało się, że ma rację.

Wyglądałam właśnie przez okno, kiedy zobaczyłam jakąś rozczesującą włosy dziewczynkę w domu naprzeciwko. Nigdy wcześniej jej tam nie widziałam. W tym domu mieszkały dwie stare panny, które wyprowadziły się parę tygodni temu. A potem dziewczynka wzruszyła ramionami i odrzuciła głowę, a ja natychmiast poznałam, że to Lavinia. Tak się zdziwiłam, że przez jakiś czas tylko się na nią gapiłam.

Dawno jej nie widziałam — od śmierci królowej ponad dwa lata temu. Parę razy prosiłam mamę, żebyśmy mogły się spotkać, ale ona zawsze znajdowała jakąś wymówkę. Obiecała nawet, że sprawdzi na cmentarzu adres Waterhouse'ów, ale chyba nigdy tego nie zrobiła. W końcu przestałam ją nagabywać, bo domyśliłam się, że mówi mi w ten sposób nie. Nie wiedziałam, dlaczego nie chce, żebym miała najlepszą przyjaciółkę, ale nie mogłam nic zrobić poza baczny rozglądaniem się w czasie nielicznych wizyt na cmentarzu. Nigdy jednak nie zauważyłam Waterhouse'ów. Stwierdziłam nawet, że nigdy nie będę miała najlepszej przyjaciółki. Nie spotkałam też żadnej dziewczynki, która tak jak Lavinia chciałaby ze mną pobiegać po cmentarzu.

A teraz ujrzałam ją tuż koło domu. Zaczęłam do niej machać, a kiedy mnie zauważyła, zrobiła to samo. Ucieszyłam się, widząc, że i ona cieszy się na mój widok. Pokazałam jej, żeby spotkała się ze mną przy ogrodzeniu, a następnie zbiegłam na dół, żeby powiedzieć rodzicom o tym zadziwiającym przypadku.

Jedli właśnie śniadanie i czytali gazety — tata „Mail”, a mama „St Pancras Gazette”. Kiedy powiedziałam im o no-

wych sąsiadach, tata wcale się nie zdziwił i wyjaśnił, że sam poinformował Waterhouse'ów o tym domu. Mama spojrzała na niego jakoś dziwnie.

— Nie wiedziałam, że się z nimi przyjaźnisz — powiedziała.

— Waterhouse zajrzał do mnie do banku, żeby spytać

o domy na sprzedaż w tej okolicy — wyjaśnił tata. — Mówił, że chcą się tu przeprowadzić. To było jakiś czas temu, ale odpowiedziałem mu dopiero, kiedy zwolnił się ten dom naprzeciwko.

— Więc jesteśmy teraz sąsiadami nie tylko na śmierć, ale i na życie — zauważyła mama.

Uderzyła mocno w skorupkę jajka.

— Waterhouse to doskonały rozgrywający — stwierdził tata. — Przyda się naszej drużynie.

Kiedy okazało się, że to nie przypadek, poczułam się dziwnie zawiedziona. Chciałam wierzyć w Przeznaczenie, ale tata udowodnił, że nic takiego nie istnieje.

GERTRUDE WATERHOUSE

Nie chciałabym krytykować decyzji Alberta. To on się zna na tych sprawach, a poza tym nasz nowy dom bardzo mi się podoba. Jest o piętro wyższy niż ten w Islingtonie i ma śliczny ogród z różami zamiast kur sąsiadów grzebiących w błocie.

Ale serce mi się ścisnęło, kiedy stało się jasne, że nie tylko sąsiadujemy z Colemanami, ale mamy wspólne ogrodzenie między posesjami. Poza tym ich dom jest jeszcze o piętro wyższy, a ogród znacznie ładniejszy. Kiedy nikogo nie było w pobliżu, przystawiłam sobie krzesło do płotu, żeby popatrzeć. Jest tam wierzba nad małym stawem, rząd rododendronów i duży trawnik, na którym przez całe lato dziewczynki będą mogły grać w krokiet.

Kitty Coleman sadziła właśnie pierwiosnki. Jej suknia miała ten sam maślany kolor co kwiaty, a śliczny kapelusz z dużym rondem utrzymywał szyfonowy szal, który zawiązała sobie pod brodą. Nawet do pracy ubiera się elegancko. Na szczęście mnie nie widziała, bo ze wstydu chyba spadłabym z krzesła. A tak tylko zeskoczyłam zbyt szybko i nadwreżyłam sobie nogę w kostce.

Nie powiem o tym nikomu, nawet Albertowi, ale irytuje mnie, że jej ogród jest taki ładny. Pomaga jej to, że ma południową ekspozycję i jest bardzo nasłoneczniony. Poza tym ma pewnie ogrodnika — przynajmniej do wyrównywania murawy. Postaram się zadbać o nasze róże, ale nie mam dobrej ręki do roślin. No i nasz ogród wychodzi na północ, a w obecnej sytuacji nie stać nas na ogrodnika. Mam nadzieję, że Kitty Coleman nie będzie chciała przysłać mi swojego, bo inaczej nie wiem, co zrobić. Po tym, jak Maude wskoczyła do naszego ogrodu, uznałam,

że muszę ją odprowadzić do domu. Choćby dlatego, żeby wyjaśnić, skąd się wzięły jej zadrapania. Front ich domu jest taki elegancki — w ogrodzie kwitnie pełno ślicznych róż, a do drzwi prowadzą schody wyłożone czarnymi i białymi płytkami. (Nasze drzwi wychodzą bezpośrednio na chodnik, co nie znaczy, że chcę się z nimi porównywać). Miałam nadzieję, że po prostu zostawię swój bilet wizytowy, ale Kitty Coleman przyjęła nas łaskawie w saloniku. Aż zamrużałam na widok kolorów — musztardowej żółci z ciemnobrązową obwódką. To pewnie ostatni krzyk mody. Kitty Coleman mówiła, że to kolor „złocisty” i „czekoladowy”, co brzmi znacznie lepiej, niż wygląda. Wolę nasze bordo. Salon w tym kolorze wygląda najlepiej. Chociaż z drugiej strony nie mam dodatkowego saloniku. Gdybym miała, może zdecydowałabym się na jaśniejsze kolory.

Jednak wątpię.

Kitty Coleman ma bardzo wyrafinowany gust. Wszędzie tam pełno wyszywanych narzut na sofach, paprotek w doniczkach i wazonów z suchymi kwiatami. Jest nawet dziecięcy fortepian. Na widok jej nowoczesnego serwisu do kawy w drobną czarno-żółtą kratkę omal nie dostałam oczopląsu. Osobiście wolę prosty wzór w różyczki. Ale *chacun a son gout*. Niestety, powiedziałam to głośno, a ona odpowiedziała mi po francusku! Nic z tego nie zrozumiałam! Zostałam ukarana za to, że próbowałam się popisać.

Na pociechę została mi tylko jedna rzecz. Nie, dwie. Dziewczynki są sobą zachwycone, a Livy przyda się rozsądna przyjaciółka. Maude powinna działać na niątonizująco, chyba że podda się czarowi Livy jak my wszyscy — z wyjątkiem małej Ivy May. Jednak Maude bardzo mnie zaskoczyła. Mimo że jest tak cicha, nie pozwoliła, żeby Livy weszła jej na głowę.

I druga pociecha — Kitty Coleman przyjmuje we wtorki po południu, tak jak ja. Kiedy to odkryłyśmy, uśmiechnęła się lekko i powiedziała:

— Ojej, jaka szkoda.

Nie zmienię jednak naszej rodzinnej tradycji, a wiem, że ona też tego nie zrobi. W ten sposób przynajmniej będziemy mogły się rzadziej widywać. Sama dokładnie nie wiem, dlaczego jej nie lubię. Jest grzeczna i dobrze wychowana, a poza tym taka ładna. Ma piękny dom, przystojnego męża i mądrą córkę. Ale nie chciałabym się z nią zamienić. Jest w niej jakiś niepokój, który kładzie się cieniem na wszystkim dookoła. I wiem, że to nie uchodzi, ale wątpię w jej religijność. Przypuszczam, że za dużo myśli, a za mało się modli. Ale Colemanowie są jedynymi sąsiadami, których trochę znamy, no i dziewczynki bardzo przypadły sobie do gustu, więc obawiam się, że nasze kontakty będą dosyć częste.

Kiedy wróciłyśmy do siebie, nie mogłam się powstrzymać, żeby nie patrzeć na ich wspaniały dom. Jego obecność za oknem zawsze będzie mi przypominać o pozycji Colemanów. Kiedy o tym pomyślałam, wypuściłam filiżankę z dłoni, a ta uderzyła o spodeczek i pękła. Zaczęłam płakać i nawet to, że Ivy May mnie objęła (czego zwykle nie robi), nie osłodziło mi tej straty.

czerwiec 1903 roku

MAUDE COLEMAN

Bardzo chcemy pójść z Lavinią na cmentarz. Teraz, kiedy możemy zrobić to razem, na pewno będzie znacznie przyjemniej. Ale od kiedy Waterhouse'owie się przeprowadzili, nie udało nam się tam wybrać. Zawsze coś stawało na przeszkodzie: wyjazd na wieś do cioci Sarah na Wielkanoc, choroba Lavinii albo zobowiązania towarzyskie mamy lub pani Waterhouse. Co za przykrość — mieszkamy tak blisko, a nie możemy się doprosić, żeby ktoś nas tam zabrał. Szkoda, że niania musiała zaopiekować się swoją matką, bo inaczej na pewno by z nami poszła.

Wczoraj spytałam mamę, czy wybierze się z nami na cmentarz.

— Jestem zajęta — powiedziała.

Wcale nie wyglądała na zajętą — po prostu czytała książkę. Oczywiście tego nie powiedziałam. Mama ma się mną zajmować od wyjazdu niani, ale zwykle kręcę się przy Jenny albo pani Baker.

Spytałam ją, czy wobec tego Jenny mogłaby nas tam zabrać.

— Jenny ma za dużo roboty, żeby jeszcze chodzić na cmentarz — odpowiedziała.

— Proszę, mamó. Tylko na chwilę.

— Nie jęcz w ten sposób. Nauczyłaś się tego od Lavinii, a to wcale do ciebie nie pasuje.

— Przepraszam, ale... może masz jakąś sprawę w Village? Wtedy Jenny mogłaby z nami pójść.

— A nie musisz przygotować lekcji?

— Już skończyłam. Mama westchnęła.

— Wobec tego na jesieni pójdziesz do szkoły. Twój nauczyciel za tobą nie nadaża.

Próbowałam podsunąć jej jakiś pomysł.

— Może powinnaś zwrócić książki do biblioteki?

— To prawda. No dobrze, powiedz Jenny, żeby tu przyszła. Może też sprawdzić w Village, czy dotarły już materiały, które zamówiłam.

Pobiegłyśmy na wzgórze z Lavinia, ciągnąc za sobą Jenny, która cały czas narzekała; W końcu, kiedy stanęłyśmy, z trudem łapała oddech, co mogło być wynikiem tego, że ciągle gadała. Nasz pośpiech i tak nie na wiele się przydał. Ivy May nie chciała biec i Jenny powiedziała Lavinii, żeby po nią wróciła. Czasami trudno wytrzymać z jej siostrą, ale pani Waterhouse nalegała, żebyśmy ją wzięły ze sobą. Kiedy jednak dotarłyśmy na cmentarz, Jenny pozwoliła nam robić co nam się żywnie podoba, pod warunkiem, że zajmiemy się Ivy May. Natychmiast zaczęłyśmy szukać Simona.

To wielka uciecha być na cmentarzu, kiedy nikt się nami nie zajmuje.

Gdy przychodzę tu z rodzicami lub babcią, czuję, że muszę zachować ciszę i skupienie, choć tak naprawdę mam ochotę bawić się i poznawać nowe miejsca, tak jak z Lavinia. Szukając Simona, grałyśmy w różne gry — skakałyśmy po pomnikach bez dotykania ziemi (co jest łatwe, ponieważ groby stoją tak blisko siebie), wypatrywałyśmy po swoich stronach alejki obelisków, wspartych o urny kobiet lub zwierząt, za co były punkty, a w końcu grałyśmy w berka w libańskim kręgu. Lavinia piszczy, kiedy ją gonię, i paru dorosłych zwróciło nam uwagę. Potem próbowałyśmy zachowywać się ciszej, ale zabawa była tak pyszna, że przychodziło nam to z wielkim trudem.

W końcu znalazłyśmy Simona na drugim końcu cmentarza, niedaleko północnej bramy. Nie było go widać, ale obok grobu stał jego tata i wyciągał z dołu kubły za pomocą umieszczonego nad grobem bloku.

Ziemię wrzucał do wielkiej skrzyni na kółkach, wysokiej na parę stóp. Zakradłyśmy się bliżej i schowałyśmy się za pomnikiem, nie chcąc, żeby nas zobaczył. Ojciec Simona był brudny, czerwony, zarośnięty i nawet tutaj czułyśmy od niego alkohol. Lavinia

mówi. że przypomina postaci z Dickensa. Pewnie wszyscy grabarze są tacy.

Słyszałyśmy głos Simona dobiegający z grobu. Śpiewał piosenkę, którą Jenny nuci czasami z tłumem na Hampstead Heath w wielkanocny poniedziałek:

Jeżeli, radze, chcesz naprawdę Dawnymi czasy sie nacieszyć, Do Hampstead, wesołego Hampstead, Do Hampstead musisz spieszyć.

Ojciec Simona nie patrzył w naszą stronę, ale skądś wiedział, że jesteśmy za grobem, bo zawołał:

— No, panienki, wyjdźcie już. Cała trójka.

Spojrzałyśmy po sobie z Lavinią, ale zanim zdecydowałyśmy, co robić, Ivy May wyszła zza pomnika, nie pozostawiając nam wyboru.

— Przepraszam, panie. Chciałyśmy się zobaczyć z Simonem. -

Zdziwiło mnie to, że powiedziałam do niego „panie”.

On też wyglądał na zaskoczonego, jakby nie mógł uwierzyć, że przed nim stoimy. A potem krzyknął w głąb grobu:

— Hej, synu! Masz gości!

Po chwili zobaczyłyśmy głowę Simona. Jego oczy zrobiły się okrągłe na nasz widok.

— I co, łobuziaku? — zagadnęła go Lavinia. — Nie przywitasz się z nami?

— Tatko, możemy się zamienić miejscami?

— Mamy tam z Joem za mało miejsca — odparł jego ojciec. Simon milczał, a ojciec zaśmiał się po chwili. — No dobra, zajmij się panienkami.

Simon wygramolił się z dziury, a jego ojciec popatrzył na nas, zaśmiał się jeszcze raz, a potem zniknął w grobie. Chłopiec wyciągnął kubeł i wrzucił jego zawartość do drewnianej skrzyni. Był bardzo zablocony.

— Co to takiego? — spytałam, wskazując skrzynię.

— Skrzynia na ziemi — odparł. — Wrzuca się do niej to, co się wykopie, a potem, kiedy trumna jest na dole, trzeba ją tam podtoczyć i otworzyć bok. Widzicie, tu są zawiasy. Ziemia leci prosto do grobu, więc nic się nie zabrudzi. Mamy tu jeszcze dwie takie, ale już pełne. — Machnął ręką w stronę skrzyń stojących przy murze. — Przy grobie zostawiamy tylko trochę ziemi dla rodziny.

— Możemy zajrzeć do grobu?

Skinął głową, a my wychyliłyśmy się znad krawędzi. Grób był głębszy, niż przypuszczałam. Na dole pracował ojciec Simona z jeszcze jednym mężczyzną. Widziałam tylko czubki ich głów. Ojciec Simona miał stalowosiwe włosy, a drugi był zupełnie łysy. Obaj poszerzali grób. Brakowało im miejsca, żeby się obrócić. Ten drugi spojrzał w górę. Miał długą twarz i nos jak parówka. Pewnie był współpracownikiem ojca Simona, a chłopiec im pomagał.

Simon wyciągnął kolejny kubeł pełen gliny. Zobaczyłam robaka, który wił się na jej szczycie.

— Czy udało wam się wykopać coś innego poza robakami? — spytałam. Simon wyrzucił glinę do skrzyni na ziemię i spuścił kubeł.

— Trochę porcelany, wieczne pióra. Bonka do zabawy. Wcześniej była tu szkoła, a jeszcze przedtem park przy pałacyku.

Ojciec Simona spojrzał w górę.

— Potrzebuje tu więcej wzmocnień, synu.

Simon zaczął podawać mu deski. Zauważyłam, że były one poupychane w regularnych odstępach po bokach grobu.

— Jak głęboko kopiecie? — spytałam.

— Teraz grób ma dwanaście stóp, ale będzie miał siedemnaście, prawda, tato? — Simon zwrócił się do ojca.

Pochyliłam się jeszcze bardziej.

— Aż tak głęboki?

— Przez lata nabiera się nieboszczyków. Trumna ma osiemnaście cali, do tego trzeba dodać stopę ziemi między trumnami. Sześć osób. Cała rodzina.

Policzyłam szybko w pamięci — to było jak zadania, które robiliśmy z moim nauczycielem.

— Zmieści się siedem trumien.

— Nie, na samej górze trzeba zostawić trochę wiecej ziemi.

— Jasne. Sześć stóp.

— Tak się tylko mówi — stwierdził Simon. — Normalnie zostawiamy dwie stopy nad ostatnio trumno.

— O czym wy mówicie? — spytała Lavinia. Ojciec Simona zaczął walić młotkiem w deskę.

— Czy tam jest bezpiecznie? Simon wzruszył ramionami.

— Wystarczajonco. Drewno podtrzymuje ściany. Poza tym glina trzyma się sama. To na piasek trzeba uważać. Łatwiej w nim kopać, ale szybko się obsypuje. Piasek to śmierć.

— Przestańcie już mówić o takich nieprzyjemnych rzeczach! — jęknęła Lavinia. — Miałeś nam pokazać anioły.

— Daj mu spokój, Lavinio — powiedziałam. — Nie widzisz, że jest zajęty?

Uwielbiam Lavinię, jest przecież moją najlepszą przyjaciółką, ale wiem, że interesuje ją co innego niż mnie. Na przykład w ogóle nie chciała popatrzeć przez teleskop, który tata ustawił w ogrodzie, ani przejrzeć ze *mn*[^]*Encyclopaedia Britannica*. Chciałam dowiedzieć się czegoś jeszcze o kopaniu grobów, ale Lavinia na to nie pozwoliła.

— Może później, kiedy skończę — mruknął Simon.

— Jenny powiedziała, że mamy tylko pół godziny — powiedziałam.

— Kto to taki?

— Nasza służąca.

— A gdzie jest teraz?

— W Village. Zostawiła nas przy bramie.

— Spotkała się tam z mężczyzną— dodała Ivy May. Simon spojrzał na nią.

— A to kto?

— Moja młodsza siostra, Ivy May — odparła Lavinia. — Ciagle zmyśla. Tam nie było żadnego mężczyzny, prawda, Maude?

Skinęłam głowę, ale nie byłam tego zbyt pewna.

— Miał taczkę, a ona poszła za nim na cmentarz — upierała się Ivy May.

— Był rudy? — spytał Simon. Ivy May potwierdziła.

— A, ten. No to będzie jo rypał.

— Co takiego?! Ktoś chce bić Jenny? — krzyknęłam. — Musimy ją ratować!

— Nikt nie będzie jej bił — powiedział Simon. — Tylko... — Popatrzył na mnie i na Lavinie i urwał. — Mniejsza z tym.

Z dołu dobiegł do nas śmiech ojca Simona.

— Zaplontałeś się, co, synu? Musisz uważać, jeśli chcesz dalej spotykać się z panienkami!

— Cicho, tatko.

— Pójdziemy już — powiedziałam, trochę teraz niespokojna o Jenny. — Jestem pewna, że pół godziny już minęło. Którędy można najszybciej dojść do głównego wyjścia?

Simon wskazał znajdujący się niedaleko posąg konia.

— Skreńcie przy koniu i dalej prosto.

— Tylko nie tędy! — krzyknęła Lavinia. — Tam leżą od-szczepieńcy.

— No i co? Przecież nie żyją — powiedział Simon. — Na pewno was nie ugryzo.

W alejce odszczepieńców leżą ci wszyscy, którzy nie należeli do Kościoła anglikańskiego — głównie katolicy, a także baptyści, metodyści i inni.

Słyszałam, że na jej tyłach chowa się samobójców, ale wolałam nie mówić tego Lavinii. Byłam tam dwa razy. Alejka nie różni się szczególnie od reszty cmentarza, ale czułam się tam dziwnie. Jakbym nagle wyjechała za granicę.

— Chodźmy, Lavinio — rzuciłam, nie chcąc, by Simon uznał, że potępiamy odszczepieńców. — To nie ma znaczenia. Poza tym czy twoja matka przed ślubem nie była katoliczką?

Znalazłam kiedyś różaniec podjednązpoduszek w salonie Waterhouse'ow i ich służąca, Elizabeth, wszystko mi powiedziała. Lavinia zarumieniła się.

— Niet A jeśli nawet, to co?

— Właśnie mówię, że nic.

— Mam pomysł — wtrącił Simon. — Możecie przecież wrócić koło śpioncego anioła. Widziałyście go? Jest przy głównej alejce.

Pokręciłyśmy przecząco głowami.

— Pokaże wam. To niedaleko. Tatko, ide tylko na chwile! — krzyknął w stronę grobu.

Ojciec Simona chrząknął.

— Chodu! — Simon rzucił się w stronę alejki, a my za nim. Tym razem Ivy May biegła z nami.

Nigdy wcześniej nie widziałyśmy tego anioła. Wszystkie inne idą albo lecą, albo coś wskazują lub przynajmniej kiwają głową. Ten jednak leżał na boku ze zwiniętymi skrzydłami i po prostu spał. Nie wiedziałam, że anioły tak jak ludzie potrzebują snu.

Oczywiście Lavinia się nim zachwyciła. Ja wolałabym porozmawiać jeszcze o kopaniu grobów, ale kiedy chciałam zapytać Simona o coś związanego ze skrzynką na ziemię, już go tam nie było. Wrócił do pracy, nawet się z nami nie pożegnał.

W końcu udało mi się odciągnąć Lavinie od anioła. Kiedy jednak dotarliśmy do głównej bramy, Jenny tam nie było. Nadal nie rozumiałam, co Simon chciał powiedzieć, ale zaniepokoiłam się jeszcze bardziej.

Lavinia niczym się nie przejmowała.

— Chodźmy do kamieniarza, żeby popatrzeć na anioły — zaproponowała. — To zajmie tylko chwilę.

Nigdy tam wcześniej nie byłam. Całe podwórko było zawałone kawałami granitu, pustymi płytami nagrobnymi i częściami cokołów. W jednym kącie podwórka stało nawet kilka obelisków. Wokoło unosił się kurz, a pod nogami chrząścił nam piasek. Zewsząd docierały odgłosy kucia. Lavinia pierwsza weszła do budynku.

— Przepraszam, czy możemy obejrzyć katalog z aniołami? — poprosiła stojącego za kontuarem mężczyznę.

Uznałam to za bardzo odważne z jej strony. Jednak subiekt wcale nie wyglądał na zdziwionego. Wziął katalog z półki i położył na ladzie.

— To tutaj znaleźliśmy naszego anioła — wyjaśniła Lavinia.

— Uwielbiam ten katalog. Są w nim setki aniołów. Czyż nie są śliczne? Zaczęła przewracać strony, na których znajdowały się przeróżne anioły — stojące, klęczące, patrzące w górę lub w dół, z zamkniętymi oczami, dzierżące wieńce, trąbki, zwoje materiału... Były tam aniołki i anioły bliźniaki, a także cherubiny i małe anielskie główki ze skrzydełkami.

— Są bardzo... ładne — bąknęłam.

Sama nie wiem dlaczego, ale nie lubię cmentarnych aniołów. Są bardzo gładkie, o regularnej budowie, z niewidzącymi oczami. Nawet kiedy stoję tuż przed nimi, wydają się mnie nie zauważać. Cóż to za posłaniec, który nie chce cię dostrzec?

Tata nie znosi aniołów za sentymentalizm. Mama mówi, że są aseptyczne. Musiałam sprawdzić to słowo — znaczy, że są jałowe, pozbawione życia. Myślę, że mama ma rację. W każdym razie ich oczy są zupełnie puste. Mama mówi, że anioły wzbudzają większe zainteresowanie, niż na to zasługują. Kiedy na jakimś grobie stanie anioł, wszyscy patrzą właśnie na niego, a nie na sąsiednie pomniki, chociaż nie ma w nim nic ciekawego.

— Dlaczego tak bardzo lubisz anioły? — spytałam Lavinie.

— A dlaczego miałabym ich nie lubić? — zaśmiała się. — Są posłańcami Boga. Dają nam miłość. Kiedy patrzę na ich łagodne twarze, czuję, jak spływa na mnie ukojenie i spokój.

Podejrzewam, że właśnie o to chodziło tacie, kiedy mówił o sentymentalizmie.

— A gdzie właściwie jest Bóg? — spytałam, myśląc o aniołach, które muszą latać między Nim a ludźmi.

Lavinia zostawiła katalog i spojrzała na mnie ze zgorzaniem.

— Jak to gdzie? W niebie. — Wyciągnęła w górę rękę. — Nie uważałaś w szkółce niedzielnej?

— Ale tam są gwiazdy i planety — powiedziałam. — Wiem, bo widziałam je przez teleskop.

— Uważaj, Maude Coleman, bo popełnisz biuźnierstwo.

— Ale...

— Nie! — Lavinia zakryła uszy. — Nie chcę tego słuchać. Ivy May zachichotała.

— Dobrze, chodźmy do Jenny — poddałam się.

Tym razem Jenny czekała na nas przy bramie głównej. Cała była czerwona i zdyszana, jakby znowu wbiegła na wzgórze, ale nic jej się chyba nie stało.

— Gdzie byliście? — krzyknęła. — Martwiłam się o was! Zaczęłyśmy schodzić, a ja spytałam ją o materiały dla mamy.

— Ksionżka — krzyknęła i pobiegła z powrotem na cmentarz. Boję się nawet myśleć, gdzie ją zostawiła.

JENNY WHITBY

No, nie byłam zbyt zadowolona, że pani posłała mnie po sprawunki. Doskonale wie, ile mam roboty. Zapieprzam od szóstej rano do dziewiątej w nocy. Czasami dłużej, jak majo przyjecie. I tylko dzień wolnego poza Bożym Narodzeniem i drugim dniem Wielkanocy. A ona chce, żebym zniosła ksionżke i odebrała materiał. Przecież sama może to zrobić. Nawet gdybym mogła, to i tak nie chciałabym czytać.

No, ale dzień był ładny. Miło było przejść się w słońcu, chociaż nie przepadam za tym wzgórzem. Dotarliśmy do cmentarza, gdzie miałam zostawić dziewczynki i pójść po sprawunki. I wtedy go zobaczyłam. Był sam i pchał taczkę, podskakując co jakiś czas. Popatrzył na mnie i się uśmiechnął. Zostanę chwile, pomyślałam.

Więc powiedziałam dziewczynkom, żeby zajęły się sobą przez pół godziny. Chciały znaleźć chłopca, z którym się bawiły, a ja im powiedziałam, żeby na niego uważały. I żeby pilnowały tej małej Ivy May, która ciongle się gdzieś zapodziewa. Założę się, że to lubi. Kazałam im jeszcze, żeby wzięły się za rence. One poszły swojo drogo, a ja swojo.

listopad 1903 roku

KITTY COLEMAN

Poszliśmy dzisiaj z Waterhouse'ami na ognisko do Hampstead Heath. Dziewczynki koniecznie chciały być razem, a panowie też jakoś się porozumieli (choć Richard mówi, że Albert Waterhouse to pajac), więc nam z Gertrudę Waterhouse nie pozostało nic innego, jak jakoś znieść swoje towarzystwo. Staliśmy wokół olbrzymiego ogniska na Parliament Hill, ściskając kije z kiełbaskami i pieczonymi ziemniakami, i dziwiliśmy się, że to właśnie stąd Guy Fawkes chciał obserwować pożar parlamentu. Patrzyłam, jak ludzie przysuwają się lub odsuwają od ognia, próbując znaleźć odpowiednie miejsce. Ale nawet kiedy z przodu było nam gorąco, to z tyłu zimno — przypominaliśmy ziemniaki spalone na zewnątrz, lecz surowe w środku.

Jestem znacznie bardziej wytrzymała na gorąco niż Richard lub Maude — czy też większość ludzi. Zbliżałam się coraz bardziej do płomieni, aż w końcu poczułam, że płoną mi policzki. Kiedy się obejrzałam, pozostali znajdowali się daleko za mną. Stałam sama na skraju ogniska.

Richard nawet nie patrzył w ogień, ale na czyste niebo. To do niego podobne — nie kocha gorąca, ale chłodną głębię przestworzy. Kiedy zaczynaliśmy się spotykać, zabierał mnie i Harry'ego w charakterze przyzwoitki do punktów obserwacyjnych, gdzie można było popatrzeć na gwiazdy. Wydawało mi się to wówczas bardzo romantyczne. Jednak dzisiaj, kiedy skierowałam wzrok w górę, czułam jedynie przepaść między okrucami gwiazd a mną. Niebo przypominało ciężki pled, który za chwilę może mnie przygnieść. Poczułam, że brakuje mi powietrza — jak na myśl, że mogliby mnie żywcem pochować.

Nie wiem, co takiego widzi w gwiazdach — on i teraz Maude, bo ostatnio zaczął ją zabierać ze sobą, kiedy z teleskopem idzie

wieczorem do Heath. Nic nie mówię, bo nie mam żadnych powodów do narzekań, a Maud naprawdę to służy. Ale to mnie dobija, bo widzę, jak budzi w niej tę samą zimną racjonalność, którą odkryłam w nim po ślubie. Oczywiście wiem, że to śmieszne. Mój ojciec mnie również wychował w duchu logiki i nienawidzę sentymentalizmu naszych czasów, którego ucieleśnienie stanowią Waterhouse'owie. Jednak cieszę się w głębi serca, że Maude zaprzyjaźniła się z Lavi-nią. Jest ona może irytująca i melodramatyczna, ale nie zimna, co stanowi jakąś przeciwwagę dla chłodu astronomii.

Stałam przy ogniu wśród rozbawionych ludzi i myślałam, jakie ze mnie dziwne stworzenie. Sama zdaję sobie z tego sprawę. Boję się, kiedy mam za dużo miejsca, i kiedy za mało. Zawsze jestem albo za daleko od ognia, albo za blisko.

Za mną między córkami stała Gertrudę Waterhouse. Maude towarzyszyła Lavinii. Wszystkie się z czegoś śmiały — Maude trochę wstydliwie, jakby nie wiedziała, czy może. Zrobiło mi się jej żal.

Czasami towarzystwo Waterhouse'ów boli. Lavinia może rządzić matką, ale łączy je jakaś więź, której ja nie potrafię wytworzyć między sobą a Maude. Po paru godzinach postanowiłam, że będę trzymała ją pod rękę, jak Gertrudę swoją córkę, i postaram się spędzać z nią więcej czasu — czytać jej, pomagać w szyciu, zabierać do ogrodu i do miasta.

Nigdy tego nie robiłam. Narodziny Maude były szokiem, z którego do końca się nie otrząsnęłam. Kiedy ocknęłam się po eterze i po raz pierwszy wzięłam ją w ramiona, poczułam się tak, jakby przygniatała mnie do łóżka, jakby jej usta były pułapką, z której nigdy się nie wydostanę.

Oczywiście kochałam ją — ciągle Kocham — ale właśnie wtedy skończyło się moje wyśnione życie. Właśnie wtedy pojawiły się stany depresyjne, które powracają coraz częściej.

Przynajmniej miałam szczęście do lekarza. Kiedy pojawił się parę dni po porodzie, odesłałam nianię i powiedziałam mu, że nie chcę już mieć więcej dzieci. Zlitował się nade mną i wyja-

śnił, jak działa kalendarzyk i co mogę powiedzieć mężowi, żeby mnie nie niepokoił w okresie płodności. Podobno to nie działa u wszystkich kobiet, ale ja nie miałam problemów, a Richard nigdy się nie domyślił — chociaż i tak ostatnio rzadko odwiedza mnie w łóżku. Musiałam za to zapłacić paradoksalną cenę, kiedy już doszłam do siebie. „Chodzi o to, żeby pani zrozumiała, jak to działa” — tak to ujął. Zamknęłam oczy i wcale nie było tak źle. Przyszło mi, co prawda, do głowy, że może mnie później szantażować i domagać się dalszych płatności „w naturze”, ale nigdy już się nie pojawił. Do tej pory jestem mu wdzięczna za to i lekcję biologii, której mi udzielił. Nawet uroniłam łzę, kiedy później dowiedziałam się o jego śmierci. Współczujący lekarz może się bardzo przydać.

Żeby być w porządku wobec Maude, muszę powiedzieć, że uczucie, jakbym była w pułapce, pojawiło się jeszcze przed jej urodzeniem. Po raz pierwszy poczułam się tak tuż po powrocie z miesiąca miodowego, kiedy rozlokowaliśmy się w naszym nowym domu. Richard pocałował mnie na pożegnanie w naszym saloniku — specjalnie wybrałam go tak, żeby wychodził na ulicę, a nie ogród, bym mogła mieć oko na to, co się dzieje na zewnątrz — i wyszedł do pracy. Spoglądałam na niego przez okno, czując tę samą zazdrość, którą budził we mnie widok spieszącego do szkoły brata. Kiedy skręcił, rozejrzałam się po spokojnym wnętrzu znajdującym się na przedmieściach miasta, które jest centrum świata, i zaczęłam płakać. Miałam dwadzieścia lat i moje życie zaczęło płynąć leniwą strugą, nad którą nie miałam żadnej kontroli.

Oczywiście doszłam do siebie. Wiedziałam, że i tak mi się poszczęściło — zdobyłam wykształcenie, miałam liberalnego ojca, a także przystojnego męża, który zarabiał tyle, że mogliśmy sobie pozwolić na kucharkę i stałą służącą, i nie starał się ograniczyć moich horyzontów, chociaż sam miał mi niewiele do zaoferowania. Wytarłam wtedy łzy, szczęśliwa, że nie widziała ich moja teściowa. Małe pociechy — dziękuję za nie Bogu.

Moje małżeństwo nie jest już takie jak kiedyś. Teraz się boję,

co Richard będzie chciał robić na sylwestra. Nie wiem, czy czerpie jakąś przyjemność z tych doświadczeń, czy raczej chce mnie ukarać. Ale nie sądzę, bym mogła się nagiąć do jego wymagań — stać się miłą żoną, która uważa świat za dobre miejsce, a jego za dobrego męża.

Gdybym mogła to zrobić, albo przynajmniej udawać, powitalibyśmy Nowy Rok w domu. Ale nie mogę.

Dzisiaj wieczorem próbowałam powstrzymać czarne myśli i przynajmniej zająć się Maude. Kiedy wracałyśmy z ogniska, podeszłam do niej, wzięłam jej rękę i wsunęłam ją pod swoje zgięte ramię.

Podskoczyła, jakbym ją ugryzła, a potem wyglądała tak, jakby poczuła się winna z powodu takiej reakcji. Z wielkim trudem trzymała mnie pod rękę, aż w końcu wymówiła się i pobiegła do przyjaciółki. Zawstydziałam się, kiedy poczułam ulgę.

maj 1904 roku

MAUDE COLEMAN

Wiem, że nie powinnam tego mówić, ale babcia zawsze psuje nam dzień, kiedy nas odwiedza, a nawet jeszcze przed przyjazdem. Zanim dotarł do nas jej list, spędzaliśmy przyjemnie czas na tarasie, czytając sobie fragmenty z gazet. Bardzo to lubię robić z rodzicami. Dzień był miły i słoneczny, a poza tym właśnie zaczęły rozkwitać kwiaty, a mama przynajmniej raz wyglądała na szczęśliwą.

Tata cytował fragmenty z „Mail”, a mama kronikę kryminalną z miejscowej gazety — o tych wszystkich defraudacjach, pobi-ciach żon i drobnych kradzieżach. Wprost uwielbia tę rubrykę.

— Posłuchajcie tego — powiedziała. — Przed miejscowym sądem stanął James Smithson oskarżony o kradzież kota sąsiada. Na swą obronę miał tylko to, że kot uciekł z jego niedzielną pieczeńią, i w ten sposób chciał odzyskać swoją własność, znajdującą się teraz we wnętrzu zwierzęcia. Roześmialiśmy się we trójkę, ale mama zaraz zamilkła, bo Jenny podała jej list.

— Co, do licha, mam z nią robić przez cały dzień? — westchnęła, kiedy skończyła go czytać.

Tata nic nie powiedział, ale zmarszczył brwi i zasłonił się swoją gazetą. Właśnie wtedy zaproponowałam odwiedzenie kolumbarium. Nie bardzo wiem, co to takiego, ale słyszałam o otwarciu kolumbarium na cmentarzu i wydawało mi się, że babcia chętnie by je zobaczyła.

— Dobry pomysł, Maude — powiedziała mama. — Jeśli tylko się zgodzi. Tata spojrzał znad gazety.

— Zdziwiłbym się, gdyby chciała zobaczyć coś równie nieprzyjemnego.
— Sama nie wiem –westchnęła mama. —Podoba mi się ta idea. Tobie też powinna, skoro lubisz urny.

Kiedy usłyszałam słowo „urna”, zrozumiałam, że zaraz zaczną się kłócić. Dlatego pobiegłam do płotu, żeby powiedzieć Lavinii, że być może jutro pójdziemy na cmentarz. Tata i pan Waterhouse przystawili do niego drabiny po tym, jak skręciłam sobie nogę w kostce, żebyśmy łatwiej mogły przechodzić na drugą stronę.

Boję się babci. Wygiąda tak, jakby ciągle dławiła się ością, i mówi rzeczy, za które mnie by karano. Dzisiaj, kiedy przyjechała, od razu oznajmiła:— Dziecko, jakaś ty pozbawiona wyrazu. Nikt by nie powiedział, że jesteś córką Kitty. Albo moją wnuczką. — Babcia lubi przypominać wszystkim, że kiedyś była prawdziwą pięknoscią.

Poszliśmy do saloniku, gdzie babcia raz jeszcze powiedziała, że nie odpowiadają jej wybrane przez mamę kolory. A mnie się one podobają. Przypominają mi jadłodajnię, do której czasami w nagrodę zabiera mnie Jenny. Na stołach stoi tam musztarda i brązowy sos w butelkach. Być może mama widziała tę jadłodajnię i postanowiła wykorzystać te kolory, chociaż wątpię. Trudno mi sobie wyobrazić mamę w zadymionej, brudnej jadłodajni, gdzie przychodzą nie ogoleni mężczyźni. Mama zawsze powtarza, że nie lubi bród ani wąsów.

Mama nie zwracała uwagi na to, co mówiła babcia.

— Poprosimy o kawę, Jenny — zarządziła.

— Ja dziękuję — wtrąciła babcia. — Poproszę o filiżankę wrzątku i plasterk cytryny.

Stałam za nimi przy oknie i mogłam wyglądać przez żaluzje. Na ulicy aż się kurzyło — konie ciągnęły wozy z bańkami mleka, węglem albo lodem, chłopiec od piekarza chodził od drzwi do drzwi z koszem pełnym chleba, inni chłopcy roznosili listy, a służące szły na zakupy. Jenny powtarza, że ciągle walczy z kurzem i zawsze przegrywa.

Wyglądałam na dwór z prawdziwą przyjemnością. Kiedy się odwróciłam, zauważyłam, że mimo kurzu, który unosi się w smugach światła, pokój wygląda bardzo spokojnie.

— Czemu się tam czaisz? — spytała babcia. — Chodź tu, żebyśmy mogły cię widzieć. Zagraj coś na fortepianie.

Przerażona spojrzałam na mamę. Ona wie, że nie znoszę grania. Nie mogła mi jednak pomóc.

— Proszę, Maude — powiedziała. — Zagraj nam coś, czego się ostatnio nauczyłaś.

Usiadłam przy fortepianie i wytarłam dłonie w fartuszek. Wiedziałam, że babcia wolałaby hymn od Mozarta, więc zaczęłam *Wytrwajcie ze mną*, którego nie znosi mama.

Po paru pierwszych nutach babcia powiedziała:

— Zmiłuj się, dziecko. To okropne. Nie potrafisz lepiej? Przestałam grać i patrzyłam na klawisze. Ręce mi się trzęsły.

Nie znoszę wizyt babci.

— Ależ, mamó, ona ma dopiero dziewięć lat — moja mama próbowała mnie bronić. — Uczy się od niedawna.

— Dziewczynka musi umieć takie rzeczy. Jak jej idzie szycie?

— Nie najlepiej — nie ukrywała mama. — Ma to po mnie. Ale świetnie czyta. Obecnie *Rozważną i romantyczną*, prawda, Maude?

Skinęłam głową.

— I Co *Alicja odkryła po drugiej stronie lustra*. Odtwarzamy z tatą partie szachów z tej książki.

— Czyta? — powtórzyła babcia z taką miną, jakby oś zaczęła jej jeszcze bardziej doskwierać. — To nic jej nie da. Tylko nabije sobie głowę różnymi pomysłami. Zwłaszcza po takich książkach jak ta *Alicja*.

Mama trochę się wyprostowała. Ona ciągle czyta.

— A dlaczego dziewczynka nie mogłaby mieć różnych pomysłów, mamó?

— Bo nie będzie zadowolona ze swego życia — odparła babcia. — Tak jak ty. Zawsze mówiłam swojemu synowi, że

nigdy nie będziesz zadowolona. „Żeń się, jeśli musisz, ale ona nigdy nie będzie szczęśliwa”, powtarzałam. I miałam rację. Zawsze czegoś chcesz, ale te twoje książki nie mówią ci czego.

Mama nic nie odpowiedziała, tylko tak mocno zacisnęła dłonie, że aż zbieleły jej knykcie.

— Aleja wiem, czego ci trzeba.

Mama spojrzała na mnie/a potem potrząsnęła głową, co znaczyło, że babcia chce powiedzieć coś, czego nie powinnam słyszeć.

— Przydałoby ci się następne dziecko — stwierdziła, nie zwracając uwagi na mamę. Babcia nigdy nie zwraca na nią uwagi. — Doktor mówił, że nie ma żadnych przeszkód. Chciałabyś mieć brata lub siostrę, prawda, Maude?

Spojrzałam najpierw na jedną, potem na drugą.

— Tak — odparłam, żeby ukarać mamę za to, że kazała mi grać.

Pożałowałam w tej chwili, kiedy tylko to powiedziałam, ale przecież nie kłamałam. Często zazdroszczę Lavinii, że ma Ivy May, chociaż jej siostra przeszkadza nam, bo wszędzie z nami chodzi.

Właśnie wtedy pojawiła się Jenny z tacą i wszystkie przyjęłyśmy to z ulgą. Po tym, jak obsłużyła panie, udało mi się wymknąć za nią z saloniku. Mama mówiła coś o letniej wystawie w Royal Academy.

— To pewnie jakieś bzdury — powiedziała babcia, a ja zamknęłam drzwi.

— Bzdury — powtórzyła Jenny, kiedy znalazłyśmy się w kuchni. Kręciła przy tym głową i marszczyła nos. Robiła to tak jak babcia i zaczęłam się śmiać, aż rozboleł mnie żołądek.

Czasami zastanawiam się, po co babcia w ogóle do nas przyjeżdża.

Przecież w niczym nie zgadza się z mamą. Poza tym jest nieuprzejma, a mama stara się to łagodzić.

— To przywilej wieku — powtarza tata, kiedy mama się mu skarży.

Trochę żałowałam tego, że zostawiłam mamę na pastwę bab-

ci, ale wciąż bolało mnie to, co powiedziała o moim szyciu. Zostałam więc w kuchni i pomogłam pani Baker przygotować lunch, na który był zimny ozór i sałata oraz ciasteczka do puddingu. Posiłki z babcią nigdy nie są zbyt ciekawe.

Kiedy Jenny zeszła na dół z kawą, powiedziała, że babcia chce zobaczyć kolumbarium, „choć to miejsce dla p o g a n”.

Nie czekałam, aż skończy, tylko pobiegłam po Lavinie.

KITTY COLEMAN

Prawdę mówiąc, zdziwiłam się, że pani Coleman chce zobaczyć koJumbarium. Zapewne cieszy ją oszczędność miejsca i porządek, który tam panuje, chociaż nie omieszkała powiedzieć, że chrześcijanie nie powinni z tego korzystać.

W każdym razie ucieszyłam się, że mogę coś z nią robić. Zawsze bałam się jej wizyt, chociaż teraz jest lepiej niż na początku mojego małżeństwa. Minęło dziesięć lat, nim ją okiełznałam — tak jak konia, chociaż nigdy nie nauczyłam się jeździć konno. Te zwierzęta są tak duże i mało ostrożne.

Ale przynajmniej ją udało mi się okiełznać. Na przykład portrety. W prezencie ślubnym dała nam cały zestaw ciemnych olejnych obrazów przedstawiających Colemanów z ubiegłego stulecia — wszystkich z takim samym zimnym wyrazem twarzy jak ona, co wydaje się raczej dziwne, zważywszy na to, że wżeniła się w tę rodzinę.

To okropne obrazy, ale pani Coleman chciała, żeby wisiały w holu, aby wszyscy goście mogli je podziwiać. Richard w żaden sposób nie próbował jej od tego odwieść. Rzadko jej się sprzeciwia. Już raz się zbuntował, żeniąc się z córką lekarza z Lincolnshire, i wystarczy mu tego do końca życia. Więc powiesiłam te portrety. Po pół roku znalazłam jednak akwarele dokładnie tej samej wielkości i zastąpiłam nimi portrety, które wieszałam tylko wtedy, kiedy spodziewaliśmy się wizyty pani Coleman. Na szczęście nie należy do osób, które przyjeżdżają bez zapowiedzi. Zawsze pisze do mnie parę dni wcześniej, więc mam czas na wymianę.

Po paru latach nabrałam pewności siebie i zostawiłam akwarele.

Zauważyła je zaraz po przyjeździe.

— A gdzie rodzinne portrety? — spytała. — Dlaczego nie wiszą na swoim miejscu?

Na szczęście byłam przygotowana.

— Och, mamó — jak to słowo zgrzyta, pani Coleman nawet nie przypomina mojej matki — bałam się, że zniszczą je przeciągi od drzwi, dlatego powiesiłam je w gabinecie Richarda. Niech się cieszy towarzystwem przodków.

Odpowiedziała mi w typowy dla siebie sposób;

— Sama nie wiem, dlaczego je tutaj trzymałaś. Chciałam ci nawet zwrócić uwagę, ale to przecież twój dom. Sama musisz go prowadzić.

Jenny omal nie upuściła płaszcza pani Coleman, bo zaczęła chichotać.

Doskonale zna całą historię, bo sama pomagała mi przenosić obrazy.

Wcześniej odniosłam nad matką Richarda jeszcze jedno zwycięstwo i to pomogło mi przetrwać kolejne popołudnia, po których musiałam sięgać po środki uspokajające. Była nim pani Baker. Wybrałam ją ze względu na „kucharskie” nazwisko — po prostu nie mogłam się temu oprzeć. Kiedy powiedziałam o tym pani Coleman, omal się nie zakrztusiła herbatą.

— Bo się nazywa Baker? — powtórzyła zgorszona. — Nie bądź śmieszna. Tak nie można prowadzić domu.

Ku mojej olbrzymiej satysfakcji pani Baker okazała się prawdziwym klejnotem — niezależną, świetną kucharką, która w lot zgaduje życzenia chlebodawców, zanim zostaną wypowiedziane. Kiedy na przykład informuję ją, że będziemy mieli panią Coleman na lunchu, podaje bulion zamiast ostrej, korzennej zupy i jajka na twardo zamiast omleta. Tak, to prawdziwy klejnot.

Z Jenny miałam więcej problemów, ale lubię ją bardziej niż panią Baker, która patrzy na wszystko z boku i wygląda tak, jakby coś podejrzewała.

Jenny ma duże usta i szerokie policzki. To twarz stworzona do śmiechu.

Zawsze gości na niej uśmieszek, jakby chciała opowiedzieć jakiś dowcip.

I pewnie to robi — czasami z kuchni dolatuje do mnie jej śmiech.

Zastanawiam się, czy śmieje się ze mnie. Jestem pewna, że tak.

Pani Coleman mówi oczywiście, że nie wolno jej ufać. Być może ma rację. W Jenny jest jakiś niepokój, który w końcu doj-

dzie do głosu, na czym wszyscy ucierpimy. Ale jestem gotowa ją zatrzymać — choćby po to, żeby drażnić panią Coleman.

Poza tym Jenny dba o Maude. Jest pełna ciepła. (Pani Baker jest zimna jak gład). Od kiedy odeszła niania, aja mam zajmować się Maude, to przede wszystkim Jenny zwracana nią uwagę. Często zabierają na cmentarz. To wymysł Lavinii, który spodobał się mojej córce. Powinnam była'zdusić to w zarodku. Jenny za bardzo nie narzeka — pewnie traktuje to jako odpoczynek. Zawsze poprawia jej się nastrój, kiedy ma pójść na cmentarz.

Maude powiedziała, że Walerhouse'owie też chcieliby wybrać się na cmentarz. Niech będzie. Podejrzewam, że Gertrudę Waterhouse, która nie pochodzi (podobnie jak ja) z wystarczająco dobrej rodziny, lepiej się dogada z moją teściową. Będą mogły rozmawiać choćby o szacunku, jakim darzą zmarłą królową.

Kolumbarium mieści się w jednej z krypt libańskiego kręgu, gdzie wykopano kanał wokół libańskiego cedru, łączący różne rodzinne groby. Żeby tam dojść, trzeba pójść egipską alejką z ponurymi grobowcami, między którymi posadzono rododendrony. Wejście też urządzone w stylu starożytnego Egiptu — z wyszukаныmi kolumnami zdobionymi liśćmi lotosu. Wszystko to wygląda bardzo teatralnie. Pewnie prezentowało się znacznie lepiej w latach czterdziestych poprzedniego wieku, ale teraz wzbudza tylko śmiech. Przynajmniej drzewo jest ładne, z zagiętymi do góry, niemal płaskimi gałęziami. Wygląda jak parasol z zielonych igieł. Aż serce rośnie, kiedy się na nie patrzy na tle błękitnego, tak jak dzisiaj, nieba.

Być może powinnam była powiedzieć dziewczynkom, czego się mogą spodziewać. Maude jest spokojna i silna, a Ivy May z wielkimi, brązowymi oczami w ogóle nie okazuje swoich uczuć, ale Lavinia tylko szuka okazji, żeby zemdleć, co też od razu zrobiła, kiedy zajrzała przez kraty do kolumbarium. Nie, żeby tam było coś szczególnego. To niewielka krypta, w której znajdują się otwory wielkości około jednej stopy na osiemnaście cali. Wszystkie są puste, poza dwoma wysoko w górze, na których umieszczono tabliczki, i jednym z urną, ale bez tablicz-

ki. Wziąwszy pod uwagę, że umy są dosyć powszechne na cmentarzu, nie wiem, co zrobiło takie wrażenie na Lavinii.

Muszę wyznać, że trochę się z tego ucieszyłam. Do tej pory Gertrude Waterhouse i pani Coleman doskonale się rozumiały. Nie powiem, żebym była zazdrosna, ale czułam się niezbyt pewnie. Jednak kiedy Gertrude musiała podsunąć córce pod nos sole trzeźwiące, a Ivy May zaczęła ją wachlować, moja teściowa obserwowała to z rosnącym krytycyzmem.

— Co jej się stało? — warknęła.

— Obawiam się, że jest bardzo wrażliwa - odparła Gertrude. — Nie przywykła do takich widoków.

Pani Coleman chrząknęła. Jej chrząknięcia są często gorsze od słów. Kiedy czekaliśmy, aż Lavinia oprzytomnieje. Maude zapytała mnie, dlaczego grobowiec nazywa się kolumbarium.

— To łacińskie słowo, które oznacza gołębnik.

— Ale tutaj nie ma żadnych gołębi.

— Nie, te otwory, jak widzisz, służą do chowania urn. Podobnych jak nasza, tylko znacznie mniejszych.

— Ale skąd się one tutaj biorą?

— Większość ludzi po śmierci spoczywa w trumnach. Jednak niektórzy wolą być spaleni i pochowani w takich urnach. Te z kolei wstawia się w te „gołębie” otwory.

— Spaleni? — powtórzyła zaszokowana Maude.

— Mówimy: skremowani — wyjaśniłam. — Nie ma w tym nic złego. To nawet lepsze niż grób i trumna. I szybsze. Kremacja robi się ostatnio coraz bardziej popularna. Może sama będę chciała, żeby mnie spalili — rzuciłam nonszalancko, ponieważ nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam. Teraz jednak, kiedy spojrzałam na urnę w jednym z otworów, ta myśl wydała mi się bardzo pociągająca. Chociaż wolałabym, żeby rozsypali moje prochy — przynajmniej mogłyby na nich rosnąć kwiaty.

— Bzdura — przerwała mi pani Coleman. — W ogóle nie powinno się poruszać takich tematów przy małych dziewczynkach. — Ale kiedy już to powiedziała, nie mogła się powstrzy-

mać od dalszego komentarza: — Poza tym to niechrześcijańskie i niezgodne z prawem. Nie wiem, kto pozwolił na tę budowę. — Wskazała kolumbarium. — Czy nie wystarczy już nam innych zbrodni?

Kiedy to mówiła, usłyszeliśmy czyjeś kroki. Jakiś mężczyzna schodził po schodach, które wiodły z górnej części dolnego kręgu. Zatrzymał się jednak, słysząc jej słowa.

— Przepraszam panią — skłonił się pani Coleman — ale mimowolnie usłyszałem pani wypowiedź. Kremacja nie jest niezgodna z prawem i w Anglii nigdy niebyła. Po prostu nie kremuje się zwłok ze względu na społeczne uprzedzenia. Ale od wielu lat mamy krematoria. Pierwsze wybudowano w Woking w tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym roku.

— Kim pan jest? i dlaczego się pan wtrąca? — spytała go pani Coleman.

— Bardzo przepraszam. — Mężczyzna skłonił się jej raz jeszcze. — Nazywam się Jackson i zarządzam tym cmentarzem. Chciałem wyjaśnić, że kolumbarium powstało zgodnie z prawem. Dwa lata temu przyjęto ustawę, która reguluje warunki i procedurę kremacji w całym kraju. Cmentarz po prostu stara się zaspokoić oczekiwania i potrzeby naszych klientów.

— Ale to nie jest m o j a opinia w tej sprawie, młody człowieku — fuknęła pani Coleman. — A mam tu grób od ponad pięćdziesięciu lat. Uśmiechnęłam się, słysząc, jak się do niego zwróciła. Mężczyzna miał przynajmniej czterdziestkę, a w jego gęstych wąsach pojawiły się już srebrne nitki. Był dosyć wysoki i nosił czarny surdut oraz melonik. Gdyby się nie przedstawił, uznałabym go za kogoś z zakładu pogrzebowego. Pewnie widziałam go już wcześniej, ale nie zwróciłam na niego uwagi.

— Nie twierdzę, że nie wolno kremować zwłok — ciągnęła pani Coleman. — Tyle jest innych wyznań. Hinduiści i żydzi. Nawet ateistów i samobójców można palić. W ogóle tych wszystkich, którym nie zależy na duszy. Ale gorszy mnie, że postawiono coś takiego na poświęconej ziemi. Trzeba to było wy-

budować w części dla odszczepieńców. Tutaj stanowi obrazę chrześcijaństwa.

— Zapewniam panią, że w kolumbarium spoczęli prawdziwi chrześcijanie — rzekł pan Jackson.

— A co ze zmartwychwstaniem? Jak dusza połączy się z ciałem w dniu Sądu Ostatecznego, jeśli ciało... — Pani Coleman nie dokończyła zdania, tylko wskazała otwory w kolumbarium.

— Spalono na popiół — dokończyła za nią Maude, a ja z trudem zachowałam powagę.

Pan Jackson wcale się nie ugiął pod ciężarem tych zarzutów. Przez chwilę stał z pewną siebie miną, założywszy ręce do tyłu, jakby miał zamiar omówić jakąś trudną matematyczną kwestię, a nie problem teologiczny. Wszyscy, łącznie z Lavinią, która już doszła do siebie, patrzyliśmy na niego, oczekując, co powie.

— Z całą pewnością nie ma żadnej różnicy między ciałem, które samo się rozłoży, i takim, które zostanie spalone — stwierdził.

— Ależ jest, olbrzymia! — obruszyła się pani Coleman. — Nie chcę jednak o tym rozmawiać, zwłaszcza przy dziewczynkach, z których jedna zemdląca na widok pańskiego kolumbarium.

Pan Jackson spojrział na nas, jakby dopiero teraz nas dostrzegł.

— Bardzo przepraszam. — Znowu się skłonił. — Nie chciałem nikogo obrazić. — Jednak nie poddał się, jak tego chciała pani Coleman. — Pragnę tylko stwierdzić, że Bóg jest wszechmocny i spalenie też Go nie powstrzyma, jeśli zechce połączyć nasze dusze z ciałami.

Po tych słowach zapanowała cisza, przerwana jedynie westchnieniem Gertrudę Waterhouse. Dotarło do niej, że słowa pani Coleman mogły oznaczać, iż moja teściowa wątpi we wszechmoc Boga. Pani Coleman też to rozumiała. Po raz pierwszy, od kiedy ją znam, wyglądała na zagubioną. Nie trwało to długo, ale bardzo się z tego ucieszyłam.

— Młody człowieku, gdyby Bóg chciał, żebyśmy palili zwłoki, przekazałby to w Biblii — powiedziała w końcu. —

Chodź, Maude. — Odwróciła się do niego tyłem. — Najwyższy czas odwiedzić nasz grób.

Poprowadziła oporną Maude. Pan Jackson zerknął na mnie, a ja się do niego uśmiechnęłam. Skłonił się po raz czwarty, wymamrotał, że jest bardzo zajęty, i wycofał się, cały czerwony.

Cóż, pomyślałam. Cóż.

LAVINIA WATERHOUSE

Nie chciałam zemdleć, naprawdę nie chciałam. Wiem, że Maude myśli, iż robię to specjalnie — ale tym razem tak nie było. Po prostu kiedy zajrzałam do kolumbarium, wydało mi się, że dostrzegłam tam jakiś ruch. Pomyślałam, że to duch któregoś z tych spalonych nieszczęśników szuka swojego ciała. A potem poczułam jakiś dotyk na szyi i zemdlałam.

Kiedy później opowiedziałam o tym Maude, stwierdziła, że to był pewnie cień cedru na ścianie kolumbarium. Ale ja wiem, że to, co widziałam, nie pochodziło z tego świata.

Potem czułam się fatalnie, ale nikt nie zwracał na mnie uwagi. Nawet nie dali mi wody do popicia. Wszyscy wpatrywali się w tego mężczyznę, który mówił o paleniu ciał i innych rzeczach. To było tak nieprzyjemne, że zupełnie nie rozumiałam, o co mu chodzi.

A potem babcia Maude odciągnęła ją z tego miejsca, a nasze matki pospieszyły za nią i tylko Ivy May na mnie zaczekała. Czasami jest bardzo miła. Wstałam i zaczęłam otrzępywać sukienkę, kiedy usłyszałam jakieś hałasy z góry. Podniosłam głowę i zobaczyłam Simona na dachu kolumbarium! Nie mogłam powstrzymać okrzyku, co było zrozumiałe po przeżyciach z duchem. Jednak nikt poza Ivy May mnie nie usłyszał. Nikt się nie cofnął.

Kiedy doszłam do siebie, powiedziałam:

- Co tam robisz, łobuziaku?
- Patrzę na ciebie — odparł bezczelnie.
- To znaczy, że mnie lubisz? — spytałam.
- Jasne.
- Bardziej niż Maude? Jestem ładniejsza.
- Jej mama jest najładniejsza.

Zmarszczyłam brwi. Nie tego oczekiwałam.

— Chodź, Ivy May — powiedziałam. — Musimy je dogonić.

Wyciągnęłam do niej dłoń, ale jej nie przyjęła. Po prostu patrzyła na Simona z rękami założonymi do tyłu, jakby coś sprawdzała.

— Ivy May mało mówi, prawda? — zauważył.

— Tak, prawda.

— Ale czasem coś — powiedziała Ivy May.

— No, proszę. — Simon skinął głową. Uśmiechnął się do niej i ku mojemu zaskoczeniu Ivy May odwzajemniła jego uśmiech.

I wtedy wrócił ten mężczyzna. Pan Jackson — ten, który mówił o paleniu. Właśnie skręcił i zatrzymał się, kiedy zobaczył mnie i Simona.

— Co tutaj robisz, Simon? Miałeś przecież pomagać ojcu. A poza tym nie powinieneś rozmawiać z tymi dziewczętami. One nie są dla takich jak ty. Czy naprzykrzał się wam, panienko? — spytał mnie.

— O tak. I to bardzo — odparłam.

— Dostyc tego, Simon. Muszę wyrzucić za to twojego ojca. Powiedz mu, żeby przestał kopać. To koniec, chłopcze.

Byłam pewna, że żartuje. Ale Simon wstał i popatrzył na mężczyznę tak, jakby chciał coś powiedzieć. Jednak kiedy spojrzał na mnie, zamknął usta. A potem cofnął się parę kroków i zanim zrozumiałam, co się dzieje, przeskoczył nad naszymi głowami do kręgu, w którym rośnie cedr. Aż otworzyłam usta. Musiał skoczyć jakieś dziesięć stóp.

— Simon! — krzyknął mężczyzna.

Simon wspiął się na cedr i zaczął się czołgać po jednej z gałęzi. Kiedy przelazi już dostyc daleko, usiadł na niej, odwrócony do nas plecami. Był boso.

— Ona kłamała. Wcale nam się nie naprzykrzał.

Ivy May często mówi wtedy, kiedy wolę, żeby milczała. Chciałam ją za to uszczypnąć.

Pan Jackson uniósł brwi.

— Więc co robił?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc zerknęłam na Ivy May.

— Pokazał nam drogę — powiedziała. Skinęłam głową.

— Zgubiłyśmy się.

Pan Jackson westchnął. Poruszył szczęką, jakby coś żuł.

— Więc może ja odprowadzę panienki do mamy. Czy mogę wiedzieć, gdzie ona jest?

— Na naszym grobie.

— A jak się panienka nazywa?

— Lavinia Ermytrude Waterhouse.

— A, więc to ten grób z aniołem,

— Tak. Sama go wybrałam.

— Proszę więc ze mną.

Kiedy się odwrócił, uszczypnęłam mocno Ivy May, ale nawet się z tego nie ucieszyłam, bo nie krzyknęła. Pewnie uznała, że już dostatecznie często otwierała usta jak na jeden dzień.

EDITH COLEMAN

Skróciłam wizytę. Chciałam zostać do kolacji, żeby zobaczyć się z Richardem, ale wizyta na cmentarzu zupełnie mnie rozstroiła. Kiedy więc wróciliśmy do domu, powiedziałam służącej, żeby wezwała dorożkę. Ta Jenny stała w holu z tabletkami uspokajającymi na tacy. To chyba jedyny raz, kiedy ta dziewczyna sama pomyślała o czyichś potrzebach. Podała je z wodą wapienną, co było zupełnie niepotrzebne. Kiedy jej to powiedziałam, tylko zachichotała. Bezczelna! Natychmiast bym ją odprawiła, ale Kitty sprawiała wrażenie, jakby w ogóle tego nie dostrzegła.

To wyjątkowo irytujące, że nie powiedziała mi, kim są Waterhouse'owie — może uniknęłabym tej nieprzyjemnej sceny. (Ciekawe, czy nie zrobiła tego specjalnie?) Kiedy poszliśmy na nasz grób, zaczęłam mówić o posągu anioła obok. Richard wspominał wcześniej, że mu nie odpowiada i że ma zamiar poprosić właścicieli, by zastąpili go urną. Po prostu zapytałam Gertrudę Waterhouse, co o tym sądzi, nie zwracając uwagi na nazwisko na pomniku. Zaskoczyło mnie, że to ich anioł, a ją, że nam się nie podoba. Jednak żeby powiedzieć prawdę — ktoś w końcu musi to zrobić — pozbyłam się skrupułów i zaczęłam wyjaśniać, że wszyscy chyba widzą, że urna jest lepsza. Ale wtedy Kitty zauważyła, że jej się anioł podoba, a Gertrudę wyznała, że nie przepada za naszą urną. (No proszę!)

A potem włączyła się ta egzaltowana dziewczynka i stwierdziła, że jeśli na dwóch sąsiednich grobach będą stały urny, to ludzie uznają, że jesteśmy spokrewnieni. Muszę przyznać, że to mi dało do myślenia. To z całą pewnością nie byłoby dobre dla Colemanów.

I nie podoba mi się wpływ, jaki ma ta mała Waterhouse'ów-

na na moją wnuczkę. Zupełnie brakuje jej równowagi, co może źle wpłynąć na Maude. Mogliby jej znaleźć lepszą przyjaciółkę. Umywam ręce od całej sprawy z aniołem. To mężczyźni powinni ją rozstrzygnąć, a my, kobiety, przyjąć to do wiadomości. Wątpię jednak, żeby Richard coś zrobił. Anioł stoi na grobie już trzy lata, a mój syn zaprzyjaźnił się z Albertem Waterhouse'em i grywa z nim nawet w krykieta.

Wszystko wypadło tak niezręcznie, że byłam wprost wściekła na Kitty, że mnie nie uprzedziła. Wiem, że ona lubi, kiedy czuję się zażenowana. Nigdy za nią nie przepadałam, ale łatwiej przychodziło mi ją znosić zaraz po ślubie, kiedy Richard był taki szczęśliwy. Jednak przez ostatnie lata zupełnie im się nie układało. Nie spytam o to mojego syna, ale jestem pewna, że nie wpuszcza go do sypialni — inaczej mieliby więcej dzieci, a on nie chodziłby taki ponury. Mogę jedynie dawać Kitty do zrozumienia, co myślę, ale to nie przynosi rezultatów — Richard nie jest już z nią szczęśliwy, a ja raczej nie będę miała nowego wnuka.

Żeby trochę załagodzić sytuację z Gertrudę Waterhouse, zaczęłam mówić o utrzymaniu cmentarza. Byłam pewna, że całkowicie się w tym względzie zgadzamy. Mój mąż zaraz po ślubie zabrał mnie na cmentarz, żeby pokazać mi grób Colemanów, i wtedy zrozumiałam, że dokonałam właściwego wyboru. Cmentarz wyglądał solidnie, bezpiecznie i bardzo porządnie. Mury były wysokie, rabatki i alejki dobrze utrzymane, a obsługa dyskretna i profesjonalna. Nie interesowały mnie ciekawostki typu egipskiej alejki czy libańskiego kręgu, chociaż uznałam, że stanowią one dodatkową atrakcję, która przyciąga tu ludzi naszej klasy. Nawet do głowy mi nie przyszło, żeby narzekać na ich przesadną stylistykę. Teraz jednak wszystko się psuje. Na rabatkach widziałam dziś na przykład zwiędnięte tulipany. To nie zdarzyłoby się trzydzieści lat temu — wymieniono by kwiaty, zanim zdążyłyby przekwitnąć. I nie chodzi mi tylko o zarządzanie cmentarzem. Sami właściciele grobów się do tego przykładają. Niektórzy sadzą nawet polne kwiaty! Brakuje tu tylko krów, które mogłyby się paść między pomnikami!

Jako przykład pogorszenia standardów posłużył mi bluszcz z sąsiedniego grobu (ale nie Waterhouse'ów), który zaczął się już piąć po naszym pomniku. Jeśli nic się z nim nie zrobi, dojdzie aż do urny. Kitty chciała go zerwać, ale jej nie pozwoliłam. To przecież zadanie obsługi cmentarza. Nalegałam, żeby zostawiła to jako dowód i żeby zawiadomić zarządcę cmentarza.

Ku memu zaskoczeniu' poszła go poszukać, pozostawiając mnie z Gertrudę Waterhouse w niezręcznej sytuacji. Nie było jej dosyć długo. Chyba obeszła cały cmentarz.

Prawdę mówiąc, Gertrudę Waterhouse jest dosyć miła. Brakuje jej trochę pewności siebie, której mogłaby się nauczyć od mojej synowej. Ta ma jej więcej, niż potrzebuje.

SIMON FIELD

Podoba mi się na drzewie. Widać z niego cały cmentarz i domy na dole. Można tu siedzieć w spokoju i nikt cię nie widzi. Niedaleko siada też jakaś wrona. Nic krzyczę i niczym w nią nie rzucam. Niech będą tu ze mną.

Po chwili zstaje na dół. Kiedy dziewczynki odchodzą, biegnę, żeby ich poszukać. Nagle widzę pana Jacksona i muszę się ukryć za grobem.

Rozmawia z jednym z ogrodników.

— Kim jest ta kobieta z dziewczynkami? — pyta. — Ta w zielonej sukni.

— To pani Coleman, panie. Młodsza pani Coleman. Ta od grobu z urną przy kwaterach biedaków.

— Ach, tak. Anioł i urna stoją za blisko.

— Właśnie, panie. Ładna kobitka, co?

— Lepiej uważaj.

— Tak, panie — śmieje się ogrodnik. — Będę uważał. Kiedy odchodzą, ruszam w dalszą drogę. Muszę się chować

przed ogrodnikami, którzy zajmują się trawnikiem. Jaki tu porządek — zielska wyrwane, a trawa skoszona i zagrabiona. Niektórymi miejscami się nie przejmują, ale tu zawsze jest czysto. Pan Jackson mówi, że trawnik ma przyciongać ludzi, żeby kupowali tu kwatery. Nasz tato mówi, że to bzdury — ludzie ciongle umierają i tak czy owak ich rodziny muszą płacić za groby. Mówi, że najważniejsze, żeby grób był dobrze wykopany.

Kucam za grobem z aniołem, który należy do Livi. Ciongle nie ma na nim trupiej czaszki. Choć reńce mnie świerzbi, to chcę dotrzymać słowa.

W alejce przed grobami stoją panie i rozmawiają. Livi i Maude siedzą na trawie i robią wianuszki ze stokrotek. Wy-

chylam się, ale mnie nie widzą. Tylko Ivy May podnosi głowę. Patrzy na mnie wielkimi brązowozielonymi oczami, jak kot, który czeka na to, co się za chwilę stanie — czy go pogłaskasz, czy kopniesz. Nic nie mówi, a ja kładę palec na ustach. Jestem jej wdzieczny, że ocalała tatkę.

A potem słyszę, jak pani w zielonej sukni mówi:

— Poszukam pana Jacksona. Na pewno znajdzie kogoś, kto się tym zajmie.

— Wszystko jedno — mówi starsza pani. — Zmieniło się całe nastawienie. W nowym wieku nie szanuje się już zmarłych.

— Ale przynajmniej ktoś usunie ten bluszcz, skoro mi nie pozwalasz, mamo — mówi i kopie suknie. To ładny gest. Jakby się chciała jej pozbyć. — Zaraz to załatwię.

Idzie alejko, a ja przemykam się za nią od grobu do grobu.

Chciałbym jej powiedzieć, gdzie jest pan Jackson, ale sam tego nie wiem. Kopiemy dzisiaj trzy groby i mamy cztery pogrzeby. Poza tym stawiają też kolumnę koło araukarii, a jeszcze parę grobów wkłensło i trzeba je przyrzucić ziemi. Pan Jackson może być w każdym z tych miejsc. Albo może pić herbatę w swoim biurze, albo zajmować się sprzedażą kwatery. Ona jednak tego nie wie.

Nagłownej alejce omal nie przejeżdżają jej konie, które wiozą granitową płytę. Uskakuje jednak, ale nie krzyczy, jak zrobiłaby to większość dam. Po prostu stoi cała biała, a ja się chowam za cisem, kiedy wyjmuję chusteczkę i przyciska ją do czoła i szyi.

Koło egipskiej alejki spotyka grabarzy ze szpadlami na ramieniu. To nieprzyjemni ludzie — obaj z tatkiem trzymamy się od nich z daleka. Ale kiedy ich zagaduje, obaj stają i patrzą w ziemię, jakby rzuciła na nich urok. Jeden wskazuje alejkę z prawej strony, a ona dziękuję i idzie we wskazanym kierunku. Kiedy odchodzi, mówię coś, czego nie słyszę, i wybuchają śmiechem.

Nie widzą mnie. Skacze od grobu do grobu i chowam się za pomnikami. Tam, gdzie padało słońce, czuje pod stopami ciepły

granit. Czasami czekam chwile, żeby się wygrzać. Potem ją doganiam. Z tyłu wygląda jak klepsydra. Na grobach też umieszczamy klepsydry ze skrzydełkami. Czas leci, mówi nasz tatko.

O to w nich chodzi. Myślisz, że życie jest długie, a tu koniec.

Skrenca w alejkę przy posongu konia i nagle przypominam sobie, że ogrodnicy obcinają dziś gałęzie kasztanowców. Za rogiem widzimy pana Jacksona i czterech ludzi. Dwóch wspięło się na kasztanowiec.

Jeden objął nogami gałąź i przesuwa się po niej. Jeden z tych, co stoje, mówi, że gałąź to kobieta,

1 wszyscy się śmieją, z wyjątkiem pana Jacksona i nowo przybyłej, której nikt jeszcze nie zauważył. Ale ona się uśmiecha.

Ogrodnicy przywionzują gałąź i zaczynają ją cionć. Przesta-ją, żeby wytrzeć pot z czoła i wyciongnąć piłę, kiedy się klinuje.

Gdy widzą panie w zielonej sukni, troncą się łokciami, ale nic nie mówią panu Jacksonowi. Kobieta wygląda na bardziej zadowolona, niż kiedy rozmawiała z innymi damami. Oczy ma ciemne, jakby namalowane węgłem, a wokół jej twarzy poja-wiają się niesforne kosmyki.

Nagle słychać trzask. Gałąź się łamie tam, gdzie ją piłowali, a panie nie może powstrzymać okrzyku. Pan Jackson odwraca się do niej. Ogrodnicy opuszczają gałąź na linie, a potem zaczynają ją cionć na mniejsze kawałki.

Pan Jackson podchodzi do damy. Jest cały czerwony, jakby sam piłował, a nie stał i patrzył.

— Przepraszam, pani Coleman, nie zauważyłem pani. Dawno pani przyszła?

— Wy starczaj onco, żeby słyszeć porównanie z kobietą. Pan Jackson wydaje dźwięk, jakby się udławił.

— W porzondku — śmieje się pani Coleman. — To nawet miła odmiana. Pan Jackson nie wie, co powiedzieć. Ma szczęście, bo jeden z ogrodników krzyczy z drzewa:

— Ucionć jeszcze jedno, panie?

— Nie, zabierzcie tylko te na ognisko. To będzie koniec.

— Pali pan tutaj ogniska? — pyta pani Coleman.

— Tylko w nocy, żeby spalić drewno, liście i inne śmieci. Czym mogę pani służyć?

— Chciałam panu podziękować za to, co powiedział pan mojej teściowej o kremacji — mówi. — To było bardzo ciekawe, chociaż nie przyjęła najlepiej pańskich argumentów.

— Trzeba siły, by przeciwstawić się silnym.

— Czy kogoś pan cytuje?

— Tylko siebie.

— O!

Przez chwile milczy. A potem ona mówi:

— Teraz, kiedy wiem, że nie sprawię Panu Bogu kłopotu, chciałabym, żeby mnie spalono.

— Musi się pani jeszcze nad tym zastanowić. O tym nie można zdecydować ot tak sobie.

— Sama nie wiem — mówi. — Czasami mam wrażenie, że to, co robie, czego nie robie i co robio ze mno, nie ma żadnego znaczenia.

Pan Jackson patrzy na nią zszokowany, jakby przekłęta. A potem przybiega jeden z odźwiernych.

— Panie! Panie! Pogrzeb Andersonów jest już na Swain's Lane!

— Tak szybko? — Pan Jackson wyjmuje zegarek z kieszonki. — Do licha, so wcześniej. Powiedz grabarzom, żeby na nich czekali. Zaraz tam bende.

— Tak, panie. — Odźwierny spieszy alejko.

— Zawsze tu taki ruch? — pyta pani Coleman. — To nie za-chenca do kontemplacji. Chociaż w alei odszczepieńców jest pewnie spokojniej.

— Cmentarz to interes jak każdy inny — mówi pan Jackson. — Ludzie o tym zapominają. Dzisiaj jest jeszcze dosyć spokojnie, ale obawiam się, że całkowicie cisze możemy zapewnić tylko w niedziele. Taka to już praca — trudno przewidzieć, kiedy ktoś umrze. Musimy działać szybko — niczego nie da się wcześniej zaplanować. Zdarzało nam się mieć dwadzieścia pogrzebów jednego dnia i żadnego następnego. Prze-

praszam, czy chciała pani powiedzieć coś jeszcze? Musze już iść.

— Och, teraz wydaje się to banalne w porównaniu z tym wszystkim. — Zatacza krong renko.

Bende musiał spytać naszego tatkę, co to znaczy.

— Tutaj nie ma rzeczy banalnych. O co chodzi?

— Chodzi o nasz grób. Zaczął zarastać go bluszcz z soń-siedniej kwatery. Chociaż wydawało mi się, że możemy go po prostu wyrwać, teściowa nalega, żeby władze cmentarza interweniowały u właściciela tamtej kwatery.

Teraz rozumiem, co znaczy banalne.

Na twarzy pana Jacksona pojawia się uśmiech, który widzę tylko wtedy, kiedy jest z klientami. Jakby coś go bolało i starał się to ukryć. Pani Coleman wyglonda na zmieszano.

— Zaraz każe go usunąć — mówi. — I porozmawiam z właścicielami grobu. — Rozglonda się, jakby szukał kogoś, komu mógłby to zlecić, wienc wychodzę zza grobu. Ryzykuje, bo wiem, że wcionż jest na mnie wściekły za Livy. Chce jednak, żeby pani Coleman mnie zobaczyła.

— Ja to zrobię, panie — mówię. Patrzy na mnie zaskoczony.

— Skond się tu wzięłaś, Simon? Czy molestowałeś panio Coleman?

— Nie wiem, co to znaczy molestować, panie, ale na pewno tego nie robiłem. Po prostu chce wyrwać ten bluszcz.

Pan Jackson chce coś powiedzieć, ale włoncza się pani Coleman:

— Dziękuję, Simon. To bardzo miło z twojej strony. — I uśmiecha się do mnie.

Żadna dama nie była dla mnie tak miła. I nie uśmiechała się do mnie. Nie mogę się ruszyć, tylko na nią patrzę.

— Idź już, chłopcze — mówi cicho pan Jackson. Uśmiecham się do niej. A potem ide.

STYCZEN 1905 ROKU

JENNY WHITBY

No, zaczęły się problemy, to jasne. Wcześniej wszystko szło ustalonym torem. Byliśmy zadowoleni—pani, panienki, on i ja. (Ja jak zwykle na końcu listy). Zabierałam dziewczynki na wzgórze raz w tygodniu albo częściej. Ja się trochę pobawiłam, one też, a pani mogła sobie przez cały dzień czytać.

Ale potem wbiła sobie do głowy, że sama będzie chodzić na cmentarz. W lecie zabierała tam dzieci nawet dwa, trzy razy w tygodniu.

Dziewczynki były wniebowzięte, ale ja przeżywałam menki.

A potem przestała i zaczęła mnie znowu wysyłać. Myślałam, że jej się odmieniło i znowu będzie się mogła z nim spotykać. Ale teraz w zimie dziewczynki rzadziej wychodzą, a jeśli nawet, to ona też chce z nimi iść. Czasami zabiera je tam, kiedy wcale nie chcą. Na cmentarzu jest jeszcze zimniej z powodu kamieni. Muszą biegać, żeby się rozgrzać. A ja już wiem, co zrobić, żeby mi było ciepło.

Pare razy udało mi się przekonać panio, żeby mnie posłała. Poza tym muszę się wymykać po południu. Wieczorem już tam nie pracuje.

Czensto mu przypominani, że służonki pracują dłużej niż ogrodnicy.
— No i płacą nam dwa razy więcej — powiada. — Cienż-ko ci tam?
Spytałam go, co jest z panio — dlaczego tak czensto przychodzi na cmentarz.

— Może po to co ty — powiedział.

— Niemożliwe — zaśmiałam się. — Kogo by sobie znalazła? Grabarza?

— Raczej zarzondce — odpowiedział.

Znowu się zaśmiałam, ale on był poważny. Powiedział, że wszyscy ich widzieli, jak rozmawiali w alei odszczepieńców.

— Po prostu rozmawiali?

— Tak jak my — powiedział. — Prawdę mówione, za dużo gadamy.

Zamknij gembe i rozsuń uda.

Bezczelny drań.

październik 1905 roku

GERTRUDE WATERHOUSE

Lubię porządnie przygotować moje towarzyskie spotkania. Zwykle przyjmuję w salonie od ulicy i korzystam z serwisu w różyczki, a Elizabeth piecze ciasto — w tym tygodniu babkę cytrynową. Jednak Albert czasami prosi, żebyśmy zamienili ten salon w jadalnię, która obecnie znajduje się w pokoju od ogrodu i jest dla nas zbyt ciasna, zwłaszcza jeśli rozłoży się stół. Albert ma rację w wielu sprawach, ale sama znam się lepiej na prowadzeniu domu. Zawsze wolę zachować najlepszy pokój dla gości, nawet jeśli używam go raz lub dwa razy w tygodniu. Dlatego nalegałam na to, żeby nic nie zmieniać, chociaż przyznaję, że rozkładanie stołu trzy razy dziennie jest dosyć uciążliwe. Poza tym mam jeszcze jeden śmieszny powód, by zachować obecny układ, ale za nic nie powiedziałabym o tym mężowi. Otóż wolę w czasie tych spotkań nie mieć przed sobą domu Colemanów. To głupie, bo wiem od Livy, która była tam parę razy u Maude (ja, oczywiście, nigdy nie poszłam), że Kitty Coleman przyjmuje gości w saloniku, który wychodzi na ulicę, a nie na nasz dom. A nawet gdyby znajdował się od strony ogrodu, to nie miałyby czasu na wyglądanie przez okno. Ale i tak nie lubię czuć, że znajduje się za moimi plecami i mnie ocenia. Zawsze trochę się niepokoję, kiedy Lavinia odwiedza Colemanów w dniu, kiedy przyjmują gości, co na szczęście nie zdarza się zbyt często. Wolą przychodzić tutaj zaraz po szkole. Maude mówi, że nasz dom jest bardziej przytulny, co jest chyba komplementem, a nie komentarzem na temat braku miejsca. W każdym razie postanowiłam tak to traktować. To naprawdę miła dziewczynka i staram się nie łączyć jej z matką. W duchu cieszę się, że mimo całej elegancji i przestrzeni

dziewczynki wolą być u nas. Livy mówi, że dom Colemanów (poza kuchnią) jest chłodny i pełen przeciągów, a ona boi się, że złapie tam przeziębienie — chociaż mimo zasłabnięć wygląda na zdrową i apetyt jej dopisuje. Twierdzi również, że woli nasze wygodne sofy i krzesła oraz ciemne zasłony niż rattanowe meble i żaluzje Colemanów.

Przed powrotem dziewczynek ze szkoły to Ivy May pomaga mi przy gościach. Nakłada ciasto i zanoszą pusty imbryk do kuchni. Panie, które przychodzą — głównie sąsiadki, panie z kościoła i stare przyjaciółki, które docierają tu z Islingtonu — uśmiechają się do niej, chociaż są zdziwione.

Ivy May potrafi być rzeczywiście zabawna. Początkowo niepokoiło mnie to, że nie chce mówić, ale potem się przyzwyczaiłam, a teraz jeszcze bardziej ją za to lubię. Jej milczenie stanowi prawdziwą pociechę po scenach i łzach Livy. A poza tym nic z nią nie jest — czyta i pisze jak każda dziewczynka w jej wieku, a dodaje jeszcze lepiej. Za rok pošlę ją do szkoły razem z Livy i Maude, co może oznaczać, że zaczną się kłopoty. Nie wiem, czyjej nauczyciele będą mieli tyle cierpliwości co my. Spytałam ją raz, dlaczego tak mało mówi.

— Ale kiedy mówię, słuchacie — odparła moja kruszyna.

To niezwykle, że siedmioletnie dziecko samo do tego doszło. Mogłabym się czegoś od niej nauczyć. Bywa, że gadam i gadam — z nerwów albo żeby wypełnić ciszę. Czasami przy Kitty Coleman chciałabym się zapaść pod ziemię, kiedy sama siebie słyszę. Kitty Coleman tylko się uśmiecha, jakby się strasznie nudziła, ale próbowała to ukryć.

Kiedy dziewczynki wracają, to Livy zajmuje się podawaniem ciasta, a Ivy May siada sobie w kąciaku. Czasami aż serce mi się ściska. Ale cieszę się, że są ze mną, i staram się, by miały jak najlepiej. Tutaj mam przynajmniej na nie jakiś wpływ. Nie wiem, co z nimi robi Kitty Coleman, kiedy są w jej domu, ale Livy mówiła, że nie zwraca na nie uwagi.

Lubią tu przychodzić, ale wolą biegać na cmentarz. Musiałam ograniczyć te wizyty — inaczej Livy chodziłaby tam co-

dziennie. A i tak sędzę, że czasami kłamie. Sąsiadka mówiła mi, że widziała Livy na cmentarzu biegającą z Maude i jakimś chłopakiem, chociaż miała być u Colemanów. Ale kiedy ją o to zapytałam, wyparła się wszystkiego i powiedziała, że sąsiadce potrzebne są nowe binokle! Nie wyglądałam na przekonaną i Livy zaczęła płakać, że podejrzewam ją o kłamstwo. Sama już nie wiem, co myśleć.

Chciałam porozmawiać na ten temat z Kitty Coleman, bo często sama z nimi chodzi. Co to była za dziwna wymiana zdań! Czuję się przy niej tak głupio. Kiedy zauważyłam, że tak częste wizyty na cmentarzu mogą być niezdrowe, odparła:

— Och, mają tam dużo świeżego powietrza, co jest bardzo zdrowe. Ale jeśli chcę tam chodzić, musimy za to winić królową Wiktorię, która doprowadziła żalobę do tak monstualnych rozmiarów, że sentymentalne dziewczynki aż niaprzesiąknęły.

Zamarłam, a potem poczułam złość. Nie dosyć, że wyraziła się lekceważąco o Livy, to jeszcze zbezczeszczyła pamięć naszej ukochanej królowej, niech Bóg ją błogosławi. Nie ma sensu krytykować umarłych. Powiedziałam to Kitty Coleman prosto w twarz.

A ona tylko się uśmiechnęła.

— Jeśli nie teraz, to kiedy? Za jej życia oskarżono by nas o zdradę stanu.

— Monarchia nie podlega krytyce. — Próbowałam powiedzieć to z jak największą godnością. — To nasi nadrzędni przedstawiciele. Jeśli przestaniemy ich cenić, to będzie źle o nas świadczyć.

Zaraz po tym jak wyszłam, wciąż na nią wściekła, uświadomiłam sobie, że nie dokończyliśmy tematu wizyt Livy na cmentarzu. Kitty Coleman jest niemożliwa — nigdy jej nie zrozumie. Prawdę mówiąc, nawet nie mam na to ochoty.

LUTY 1906 ROKU

MAUDE COLEMAN

Znam teraz każdą piędź ziemi na cmentarzu. Poznałam go lepiej niż własny ogród. Mama wciąż nas tam zabiera po szkole, nawet w zimie, kiedy wcześniej robi się ciemno i wcale o to nie prosimy.

Oczywiście zabawa tam to wielka przyjemność. Najpierw szukamy Simona, a jeśli nie ma nic do roboty, idzie z nami. Bawimy się w chowanego i odwiedzanie aniołów (pojawiły się dwa nowe), a czasami siadamy na grobach i Lavinia opowiada różne historie o ludziach, których tu pochowano. Ma stary przewodnik po cmentarzu, z którego lubi czytać — o dziewczynce, której zapaliła się suknia; o podpułkowniku, który poległ w czasie wojny burskiej, opisywanym jako „dzielny i dobry” albo o mężczyźnie, który zginął w wypadku kolejowym. Lub też sama wymyśla historie, co mnie denerwuje, ale odpowiada Simonowi. Brakuje mi jej wyobraźni. Mnie bardziej interesują rośliny

I drzewa albo materiały, z których wykonano pomniki. A jeśli jest z nami Ivy May, każę jej czytać napisy na nagrobkach.

Nie wiem, co mama robi, kiedy się bawimy. Zaraz odchodzi i rzadko ją widzę aż do czasu, kiedy pora wracać. Mama mówi, że świeże powietrze nam służy, i zapewne ma rację, ale czasami jest mi zimno i zaczynam się bać tego miejsca. To zabawne, że kiedyś tak bardzo chciałam tu przychodzić, a teraz, kiedy muszę to robić, cmentarz nie wydaje mi się tak wyjątkowy.

KITTY COLEMAN

Nie chce mnie. Szaleję zadnim, ale on nie chce mnie przyjąć.

Od prawie dwóch lat przychodzę na cmentarz tylko po to, żeby się z nim spotkać. Ale i tak nie chce mnie wziąć.

Na początku starałam się uważać — mimo iż go szukałam, dbałam, by wyglądało to na przypadek. Zawsze brałam ze sobą dziewczynki, pozwalałam im się bawić, a potem zaczynałam się za nim rozglądać, udając, że szukam dzieci. Chodziłam po cmentarnych alejkach i nieszczercze zachwyciałam się romańskimi krzyżami czy wapieniami z Portlandu, tak różnymi od zwykłego granitu. Nie wiem, co myślą o mnie pracownicy, ale oswoili się już z moją obecnością i witają się ze mną z szacunkiem.

Dowiedziałam się wielu rzeczy na temat cmentarza, o których wcześniej nie miałam pojęcia. Wiem już, gdzie wyrzucają ziemię, która zostaje po zakopaniu trumny, i gdzie trzymają drewno do wzmocnienia głębokich dołów, a gdzie zielone derki, którymi okładają świeżo wykopane groby. Wiem, którzy grabarze śpiewają przy pracy i gdzie chowają swoje butelki. Widziałam rejestry i dokładne mapy z ponumerowanymi kwaterami. Przyzwyczałam się do końskich zaprzęgów z płytami nagrobnymi. Poznałam cmentarz jako przedsiębiorstwo, a nie miejsce kontemplacji.

On prowadzi je tak, jakby to był wychuchany liniowiec, który płynie po błękitnej toni oceanu. Potrafi być twardy, a nawet brutalny w stosunku do robotników — niektórzy jego pracownicy są naprawdę nieokrzesani. Ale wydaje mi się, że jest również sprawiedliwy i ceni dobrą robotę.

Poza tym jest dla mnie miły i nie czuję się przy nim gorsza.

Rozmawiamy o różnych sprawach — o tym świecie i jego sprawach, a także o Bogu z Jego sprawami. On pyta mnie o zda-

Nie, a potem nie śmieje się, tylko dokładnie rozważa to, co usłyszał. Jest taki, jaki zawsze chciałam, aby był Richard. Popełniłam jednak błąd, sądząc, że zmieni się po ślubie. Wręcz przeciwnie, stał się jeszcze bardziej kostyczny.

John Jackson nie jest przystojny. Nie jest też bogaty, chociaż i nie biedny. Nie pochodzi z dobrej rodziny. Nie bywa na przyjęciach, przedstawieniach w teatrze i wystawach. Nie otrzymał też odpowiedniej edukacji, chociaż dużo wie — kiedy pokazał mi grób Michaela Faradaya w alei odszczepieńców, potrafił wyjaśnić jego eksperymenty z polem magnetycznym znacznie lepiej niż Richard czy nawet mój brat.

Jest on człowiekiem prawdomównym, religijnym, pryncypialnym i głęboko moralnym. I właśnie te ostatnie cechy tak na mnie podziały. Nie przywykłam do tego, że ktoś mi odmawia. Nie znaczy to, że wcześniej chciałam się komuś oddać, ale lubię flirt i oczekuję odzewu, inaczej nigdy nie zdecyduję się na to ostateczne. Ale on nie chce flirtować. Kiedy na początku próbowałam, powiedział mi, że nie lubi kokietek i bardziej ceni sobie prawdę, więc przestałam. A potem, po paru miesiącach rozmów — ciągle przerywanych przez jego cmentarne obowiązki — zdołałam mu opowiedzieć wszystko o moim nędznym życiu. O tym, jak bardzo tęsknię za rodzicami i bratem, o rozpacz, która mnie otacza, i poszukiwaniu miejsca przy ogniu, które nie byłoby zbyt zimne ani gorące. (Ukryłam przednim tylko parę spraw — to, że wiem, jak uniknąć ciąży; chłód, który zapanował w moim małżeństwie, i sylwestry, na które tak nalega Richard. Byłby nimi oburzony. Ja już nie jestem oburzona, tylko zrezygnowana).

Kiedy w końcu jesienią, zaraz po okresie zalotów, za które uznałam lato, wyjawiałam mu, co jestem gotowa zrobić, powiedział: „Nie”.

Przestałam wtedy chodzić na cmentarz, wysyłając dziewczynki z Jenny. Nie mogłam się jednak powstrzymać. Tak więc przez następną część roku też się spotykaliśmy, ale rzadziej i bez zbyt wielkich nadziei. To bolesne, ale John utrzymał swoje za-

sady, a ja musiałam się pogodzić z tym, że są ważniejsze ode mnie. Spotykamy się więc i jest dla mnie miły. Dzisiaj powiedział mi, że zawsze chciał mieć siostrę i że cieszy się, że ją zyskał. Nic mu nie odpowiedziałam. Miałam już jednego brata i nie potrzebuję drugiego.

kwiecień 1906 roku

LAVINIA WATERHOUSE

To tak miło, kiedy można przywdziać po kimś żałobę. A teraz, kiedy mam jedenaście lat i prawo do prawdziwej żałobnej sukni, jest jeszcze przyjemniej. Kochana ciocia byłaby poruszona, widząc mnie w tym stroju. *Papa* aż miał łzy w oczach. Powiedział nawet, że bardzo przypominam jego drogą siostrę.

Przejrzałam dokładnie „The Queen” i „CasselPs”, żeby nie popełnić błędów. Opracowałam nawet własny podręcznik etykiety dla dziewcząt, które chcą się dowiedzieć wszystkiego o żałobie. Poprosiłam Maude o pomoc, ale odmówiła. Czasami tak długo gada o konstelacjach, planetach, kamieniach, które znalazła w Heath, albo roślinach z ogrodu jej matki, że chce mi się wyć.

Wszystko więc musiałam zrobić sama. Myślę, że wyszło bardzo dobrze — przynajmniej mama tak mówi. Bardzo się starałam, zapisując wszystko na kartkach z czarną obwódką, i na koniec powiedziałam Ivy May, żeby narysowała anioła na okładce. Ona świetnie rysuje i książka dzięki temu lepiej wygląda. Przepiszę sobie tutaj ten tekst, żeby mieć go już na zawsze.

Przewodnik dotyczący etykiety żałobnej spisany przez pannę Lavinie Ermytrude Waterhouse

To bardzo smutne, kiedy ktoś umiera. Dlatego później następuje okres żałoby. Wkładamy czarne żałobne ubrania i nosimy czarną biżuterię, używamy specjalnego papieru listowego i powstrzymujemy się od chodzenia na przyjęcia oraz koncerty.

Długość żałoby zależy od tego, który z naszych bliskich odszedł do Pana.

Wdowa trwa w żałobie najdłużej, ponieważ jest najbardziej pogrążona w smutku. Strata męża jest przecież czymś okropnym! Dlatego jest w żałobie przez dwa lata — osiemnaście miesięcy pełnej żałoby i sześć miesięcy częściowej. Niektóre panie trwają w żałobie dłużej. Nasza nieodżałowana królowa nosiła żałobę po swym małżonku Albercie do końca życia — aż¹ czterdzieści lat!

Strata dziecka lub matki też jest tragicznym wydarzeniem. W tym przypadku żałoba trwa rok.

Po braciach i siostrach — sześć miesięcy

Po dziadkach — sześć miesięcy

Po ciotkach i wujkach — dwa miesiące

Po ciotecznych babciach — sześć tygodni

Po ciotecznym rodzeństwie — cztery tygodnie

Po kuzynach — trzy tygodnie.

Ubrania

Odpowiedni strój żałobny jest bardzo ważny. Musi być nowy, a następnie spalony po okresie żałoby, gdyż trzymanie go w domu przynosi pecha.

Wszystkie szacowne rodziny z Londynu kupują stroje żałobne w sklepie Jaya przy Regent Street.

Panie noszą suknie uszyte z najlepszego jedwabiu oblamowanego krepą, gdy są w żałobie po małżonkach, rodzicach i dzieciach. Przy dziadkach, braciach i siostrach wystarczy zwykły jedwab, również z krepą. Przy dalszych stopniach pokrewieństwa wystarczy czarny strój bez krepy.

Panie noszą czarne rękawiczki, a ich chusteczki są białe z czarną obwódką.

Po jakimś czasie można odpruć krepeę, co jest uznawane za złagodzenie żałoby.

W częściowej żałobie można nosić stroje szare, lawendowe lub fiołkowe oraz czarne w białe paski. Rękawiczki powinny być szare.

Bizuteria

W czasie pełnej żałoby panie mogą nosić kolczyki i brosze z gagatem. Brosze można ozdobić włosami ukochanego zmarłego. W żałobie częściowej dopuszcza się złoto, srebro, perły i diamenty.

Papeteria

Papier listowy powinien mieć czarną obwódkę. Bardzo ważne jest, aby obwódka była na tyle szeroka, żeby stanowiła dowód pamięci po zmarłym, a jednocześnie, aby nie stała się zbyt trywialna.

Panowie

Panowie ubierają się tak, jak normalnie do pracy, ale mogą również owinąć kapelusz czarną wstęgą lub włożyć czarny fular i czarne rękawiczki. Nie potrzebują biżuterii.

Dzieci (poniżej dziesiątego roku życia) Dzieci mogą włożyć czarne rzeczy, jeśli chcą, ale wystarczą im białe sukienki, a czasami też lawendowe, fiołkoworóżowe lub szare. Mogą też mieć rękawiczki. Dzieci powyżej dziesiątego roku życia ubierają się jak dorośli.

MAUDE COLEMAN

Kiedy dzisiaj poszliśmy na cmentarz, rozbierali właśnie grób Waterhouse'ów. Wiedziałam, że jutro ma się odbyć pogrzeb ciotki Lavinii, ale sądziłam, że zajmą się tym później. Z dziwnym uczuciem obserwowałam Simona i jego ojca, którzy zabrali się do pracy na jednym z naszych grobów, a nie kogoś obcego. Zawsze myślałam, że nasze groby są solidne i nie dają się rozłożyć, ale teraz wiem, że wystarczy łom, by je rozebrać i jeszcze w trakcie rozbić anioła.

Lavinia wzięła mnie pod rękę, kiedy dostrzegła robotników przy grobie, i zaczęłam się zastanawiać, czy znowu urządzi scenę. Muszę wyznać, że byłam nią już zmęczona. Od śmierci ciotki mówi tylko o żałobnych strojach i o tym, kiedy znowu będzie mogła nosić biżuterię — chociaż i tak normalnie prawie jej na to nie pozwalają! Z tego, co mówi, wynika, że reguły żałoby są bardzo surowe. Pewnie łamałabym je, nawet o tym nie wiedząc.

Nagle mama wykrzyknęła: „John!” Nigdy nie słyszałam, żeby tak głośno krzyczała. Wszyscy podskoczyliśmy, a potem ojciec Simona pchnął pana Jacksona, który upadł. A potem anioł Waterhouse'ów uderzył o ziemię. To było bardzo dziwne. Przez dłuższy czas nie mogłam powiązać ze sobą tych zdarzeń. Nie rozumiałam, dlaczego ojciec Simona pchnął pana Jacksona i dlaczego ten, trupio blady, mu za to podziękował. Nie wiedziałam też, dlaczego anioł spadł. I nie miałam pojęcia, skąd mama zna imię pana Jacksona.

Kiedy zobaczyłam, że głowa anioła oderwała się od ciała, z trudem powstrzymałam śmiech. Oczywiście Lavinia zaraz zemdląła. A potem, kiedy Simon pobiegł z głową anioła pod pachę, roześmiałam się z całego serca — przypomniał mi się wiersz, w którym Isabell zakopała głowę ukochanego w doniczce z bazylią.

Na szczęście Lavinia mnie nie słyszała — ocknęła się i natychmiast zrobiło jej się niedobrze. O dziwo mama zajęła się nią troskliwie — objęła ją i podała cierpiącej chusteczkę.

Lavinia popatrzyła na chusteczkę mamy.

— O nie, muszę skorzystać z mojej żałobnej — powiedziała.

— To nie ma znaczenia — rzekła mama. — Naprawdę.

— Jest pani pewna?

— Przecież Pan Bóg nie ukarze cię za to, że używasz zwykłej chusteczki.

— Nie chodzi o Boga — wyznała szczerze Lavinia — ale o szacunek należny zmarłym. Ciocia byłaby niepokieszona, gdyby wiedziała, że nie uczilałam właściwie jej pamięci.

— Nie sądzę, by twojej cioci zależało na tym, żebyś pamiętała o niej, kiedy wycierasz usta po wymiotowaniu.

Ivy May zachichotała. Lavinia rzuciła jej pełne niechęci spojrzenie.

— Czasy się zmieniły — ciągnęła mama. — Nikt teraz nie oczekuje od ciebie czy twojej mamy, żebyście odbyły pełną żałobę. Może nie pamiętasz, ale król Edward skróci! żałobę po matce do trzech miesięcy.

— Pamiętam. Ale mama chodziła w czarnej sukni dłużej niż ktokolwiek. Czułabym się źle, gdybym nie zrobiła tego dla cioci.

— Czy mogę pani w czymś pomóc? — Pan Jackson stanął nad nimi.

— Proszę sprowadzić dla nas dorożkę — odparła mama, nie patrząc w jego stronę.

Pan Jackson poszedł zagwizdać na dorożkę. Do jego powrotu Lavinia wstała, ale wciąż była blada i poruszona.

— Może weźmiemy ją na podjazd — zaproponował pan Jackson. — Czy przejdiesz sama, panienko, czy mam cię zanieść?

— Mogę iść — powiedziała Lavinia i zrobiła parę chwiejnych kroków. Mama wzięła ją pod rękę, a pan Jackson chwycił jej łokieć.

Ruszyli wolno do bramy. Kiedy szliśmy za nimi z Ivy May, wydawało mi się, że dłonie pana Jacksona i mamy zetknęły się na chwilę. Nie byłam pewna i chciałam spytać Ivy May, czy też to widziała, ale w końcu zrezygnowałam.

Pan Jackson musiał znieść Lavinie po schodkach do bramy, a potem poszkodowana zdecydowała, że pójdzie już o własnych siłach. Na podjeździe czekała dwukółka, za mała dla czterech osób, nawet jeśli trzy były dziewczynkami. Przypuszczam, że to była pierwsza dorożka, która przyjechała. Pan Jackson pomógł Lavinii wsiąść. Musiał ją podnieść, ponieważ leciała przez ręce. A potem pomógł mnie i Ivy May, która usiadła mi na kolanach, żeby zrobić mamie miejsce. Siedziała bardzo cicho i w ogóle się nie ruszała. Jest dosyć ciężka, ale trzymałam ją z przyjemnością i objęłam ją, żeby się nie chwiała na boki. I właśnie wtedy pomyślałam, że chciałabym mieć brata lub siostrę.

Pan Jackson pomógł mamie i zamknął za nią drzwiczki. Kiedy otworzyła okno, zajrzał do nas na chwilę.

— Żegnaj panie. Mam nadzieję, że poczujesz się lepiej, panienko — zwrócił się do Lavinii. — Wkrótce twój anioł wróci na swoje miejsce. Lavinia wcale na niego nie spojrzała, tylko oparła się o tył dorożki i zamknęła oczy.

A potem, kiedy rozległo się skrzypienie kół, usłyszałam czyjś niski głos: „Jutro”. Pomyślałam, że to pan Jackson zapewnia Lavinie, że jej anioł będzie gotowy na jutrzejszy pogrzeb.

Mama też to chyba usłyszała, ponieważ wyprostowała się, jakby dźgnięta linijką panny Linden z naszej szkoły, która lubi to robić w czasie lekcji dobrych manier.

A potem ruszyliśmy w dół i zobaczyłam Simona, który wyszedł z zakładu kamieniarskiego, bez głowy anioła. On też nas zobaczył i kątem oka zauważyłam, że biegnie za dwukółką, aż w końcu znika gdzieś za nami.

SIMON FIELD

Oto co się dzieje. Widzę wszystko.

Kiedy zdejmujemy marmurowo płytę z grobu Waterhou-se'ów, musimy ją najpierw podważyć, żeby odeszła od cokołu, na którym stoi anioł. Joe robi to ze mną, a nasz tatko z panem Jacksonem tylko patrzy. Pan Jackson daje nam rady, jak to on lubi. Chce mu powiedzieć, że wiemy, co zrobić, ale to on zarzon-dza — może mówić, co mu się podoba.

Joe wsuwa łom za płytę i opiera się o cokół, żeby mocniej nacisnąć. Jest duży i silny, a kiedy naciska na cokół, ten zaczyna się chwiać. Kamieniarz coś musiał pokreślić z fundamentem, inaczej by tak nie było. Pracuje na cmentarzu sześć lat, a jeszcze czegoś takiego nie widziałem.

Co gorsza, zaprawa, na której trzyma się anioł, nie jest mocna. Widzę, jak posong zaczyna się chwiać.

— Joe — mówię — przestań.

Joe wycionga łom, ale dalej opiera się o cokół i anioł znowu się chwieje. Widzę teraz penknienie w podstawie, ale zanim zdążę coś powiedzieć, anioł zaczyna spadać. Słyszę krzyk kobiety, a potem posong uderza w urne Colcmanów. Odpada mu głowa i leci w jedną stronę, a ciało w drugą. Dokładnie tam, gdzie stoi pan Jackson, tyle że go tam nie ma, bo nasz tatko zdążył go odepchnąć.

To wszystko dzieje się i wolno, i szybko. Potem pani Coleman przybiega do nas z dziewczynami. Livy patrzy na anioła bez głowy, a potem krzyczy i mdleje, co nie jest niczym nowym. Pani Coleman pomaga panu Jacksonowi, który jest blady i spocony. Oddycha cienżko, a potem wyjmuję chusteczkę i wyciera nią twarz. Patrzy na podstawę cokołu, chrzonka i mówi:

— Uduszę tego kamieniarza własnymi renkami.

Wiem, o co mu chodzi.

A potem mówi cicho i poważnie do naszego tatki: „Dzienku-je, Paul”. To brzmi dziwnie, bo nigdy nie mówi do naszego tatki po imieniu.

Nasz tatko wzrusza ramionami.

— Sam nie wiem, po co im był ten anioł — mówi. — Urny, anioły, kolumny i licho wie'eo. Jak człowiek umarł, to nie żyje. Nie trzeba mu żadnego anioła. Mnie wystarczy grób w cześci dla biedaków. — Puka w jeden z drewnianych krzyży. — Mój tatko leży w takim, to i mnie wystarczy.

— I bardzo dobrze — dodaje pan Jackson. — Bo tam właśnie skończysz. Można by pomyśleć, że nasz tatko się obrazi, ale coś w tonie pana Jacksona sprawia, że tylko się uśmiecha. Zarzondca też się uśmiecha, co jest dziwne, bo przed chwilo omal go nie zabiło. Wyglondajo z naszym tatkiem jak kumple gdzieś w pubie nad kuflem piwa.

— No nic, trzeba zająć się to dziewczyno — mówi tatko i wskazuje Livy. Maude kuca przy niej, a pani Coleman też do niej podchodzi. Livy siada. Nic jej nie jest, jak zwykle.

Ivy May staje przy mnie.

— Powinieneś był oznaczyć tego anioła — mówi. Dopiero po chwili rozumiem, że chodzi jej o trupio czaszkę.

— Nie mogę — mówię. — Livy mi nie pozwala.

Ivy May potrzonasa głowo, a ja czuje się tak, jakbym ją zawiódł. Nie mam jednak czasu, żeby jej odpowiedzieć, bo pan Jackson mówi do mnie:

— Simon, leć do kamieniarza i powiedz panu Watsonowi, żeby tu zaraz przyszedł. Jakby coś mówił, to daj mu to. — Wrencza mi głowę anioła z odbitym nosem. Jest cienżka i niemal ją puszczam, a Livy, widzono to, znowu krzyczy. Biorę głowę pod ramie i biegnę.

JENNY WHITBY

Byłam w ogrodzie i trzepałam dywany, kiedy przeskoczył przez płot i upadł tuż przede mno.

— Och! — krzyknęłam. — Co tutaj robisz, gówniarzu?! To nie miejsce dla takich ubłoconych brudasów. Jeszcze natrzeńsiesz nam tu ziemi z grobów.

A ten bezczelny sie tylko uśmiechnoł.

— A czemu nie? — powiedział. — Sama jej tutaj sporo naniesiesz na tyłku. Chociaż ostatnio rzadziej widać cie na cmentarzu.

— Zamknij mordę.

Wyszczekany smarkacz, jak mu tam, Simon. Nigdy z nim nie gadałam, ale dziewczynki wcionż o nim mówio. Pewnie temu, że Maude chciałaby mieć brata.

Widziałam, jak skradał sie miendzy grobami, żeby popatrzeć, jak byłam z moim ogrodnikiem. Myślał, że dobrze sie schował, ale go widziałam.

Chciał zobaczyć, jak to sie robi. Było mi wszystko jedno — myślałam, że to nawet zabawne. Ale nie teraz. Ogrodnik już mnie nie chce. Sukinsyn.

— Nigdy go nie lubiłem — odezwał się Simon, jakby wiedział, o czym myślę. — Lepiej, że sie go pozbyłaś.

— Zamknij sie — powiedziałam. — Nikt cie nie pytał o zdanie. — Ale już nie byłam na niego zła. Mogłam przynajmniej rozprostować krzyż.

Ostatnio strasznie mnie boli przy trzepaniu. — Dobra, po co przyszedłeś?

— Chciałem zobaczyć, gdzie mieszkajo dziewczyny.

— A jak znalazłeś dom?

— Pobieglem za dorożko. Uciekła mi, ale potem znowu jo dogoniłem.

Właśnie wysiadała Maude z matko, wienc pewnie Livy wysadzili wcześniej.

— Jasne, ona mieszka po drugiej stronie. — Pokazałam dom za ogrodzeniem.

Simon dobrze mu się przyjrzał. Chudziak z niego, chociaż kopie groby. I bledziak. Twarz ma obciongnięto skóro i tylko oczy mu się świeco, a czerwone i guzowate nadgarstki ledwie się mieszczą w renkawach za małej marynarki.

— Zaczekaj chwile — powiedziałam i poszłam do kuchni, gdzie pani Baker kroїła właśnie kurczaka.

— Co to za chłopak? — spytała od razu.

Nic nie ujdzie jej uwagi. Nic nie mogę przed nią ukryć. Widziałam, jak mi się ostatnio przyglądała, chociaż nie pisnęła nawet słówka.

Nic nie powiedziałam, tylko ukroїłam chleba i posmarowałam masłem. A potem wyniosłam dla Simona, który ucieszył się na ten widok. Zjadł szybko. Potrząsnęłam głową i wróciłam do kuchni. Kiedy smarowałam chleb masłem, tym razem grubiej, pani Baker powiedziała:

— Jeśli dasz przybliędzie chleba, przyjdzie po jeszcze.

— Pilnuj swoich spraw.

— To moja sprawa. — Pokazała chleb. — Sama go upiekłam i to na dzisiaj koniec.

— Wienc nie bede dziś jeść.

— O, tak — powiedziała. — Już ci wierze. Jak bym cie tutaj zostawiła, to zeżarłabyś wszystko w kuchni, taki masz ostatnio apetyt. Uważaj na siebie, Jenny.

— Daj mi spokój — rzuciłam i wybiegłam, zanim zdonżyła coś jeszcze powiedzieć.

Kiedy Simon zajął się chlebem, znowu zaczęłam trzepanie.

— Popatrz, to Livi — powiedział, przełknwszy kens. — Co ona robi w tym oknie?

Spojrzałam w górę. Zawsze tak robio. Stajo w swoich pokojach z panienko i coś sobie pokazujo. Majo taki swój jenzyk, którego nikt nie rozumie.

— Zdaje się, że wiem, o co ci chodzi. Tylko prychnęłam.

— No to co chco powiedzieć? — Panienska Livy wskazywała w góre i pochylała głowę, a potem przeciongnęła palcem po gardle i zrobiła kwaśno mine.

— Rozmawiajo o cmentarzu — wyjaśnił Simon. — Skond wiesz?

— Właśnie tak wyglonda anioł na ich grobie. — Simon pochylił głowę i wyciongnął w góre renke. — A przynajmniej wy-glondał, bo dzisiaj urwało mu głowę. Dlatego przejechała palcem po gardle.

A potem powiedział mi, co sie stało z aniołem i jak jego tatko uratował życie zarzondcy cmentarza. To było bardzo ciekawe.

— Popatrz — rzekł Simon — Livy mnie zobaczyła. Panienska Livy wskazywała Simona.

Usłyszałam, jak ktoś otwiera okno, i z góry wychyliła sie panienska Maude.

— Musze już iść — oświadczył Simon. — Musze pomóc tatce przy grobie.

— Nie, zostań. Panienska Maude zaraz do ciebie przyjdzie.

— Dzienukuje za chleb — powiedział Simon, zbierajonc sie.

— Jak przyj dziesz, zawsze coś dostaniesz — powiedziałam, patrzonc w góre. — I nie musisz przeskakiwać przez płot. Klucz do furtki jest pod kamieniem przy zsypie do węgla.

Simon skinął głowo i wyszedł przez furtkę.

Powinnam mu była dać coś jeszcze. Nie lubie, jak dziecko chodzi głodne.

Już na samo myśl o tym poczułam ssanie w dołku. Poszłam do kuchni, żeby zjeść jeszcze trochę chieba. Do diabła z panio Baker.

LAVINIA WATERHOUSE

Dziś wieczorem poszłam z Maude i jej ojcem, żeby popatrzeć na gwiazdy. Nie byłam pewna, czy powinnam to robić w dniu pogrzebu ukochanej cioci, ale mama i tata mnie zachęcali. Oboje wyglądali na zmęczonych — mama nawet się na mnie zezłościła. Sprawdziłam w „CassellPs” i „The Queen” pod hasłem „gwiazdy”, ale nic tam na ten temat nie było. Dlatego uznałam, że mogę iść, pod warunkiem, że nie będę się zbyt dobrze bawić.

I na początku tak było. Poszliśmy o zmierzchu, ponieważ ojciec Maude chciał obejrzeć wschodzący księżyc. Szukał czegoś, co się nazywa Copemicus. Myślałam, że to astronom, ale Maude wyjaśniła mi, że to wygasły wulkan. Nie mam pojęcia, o co jej chodzi, kiedy rozmawia z ojcem o księżycu i gwiazdach. Pozwolili mi popatrzeć przez teleskop i pytali, czy widzę kratery

— cokolwiek by to było. Nic nie widziałam, ale powiedziałam, że widzę, żeby im zrobić przyjemność.

Znacznie bardziej wolałam patrzeć na niebo bez teleskopu — wtedy widziałam je dużo lepiej. Było bardzo śliczne, kiedy bladopomarańczowy półksiężyc unosił się nad horyzontem.

A potem położyłam się na kocu, który wzięli ze sobą, i patrzyłam na gwiazdy właśnie pojawiające się na niebie. Musiałam na chwilę zasnąć, bo kiedy się obudziłam, było już zupełnie ciemno, a niebo aż błyszczało od gwiazd. A potem zobaczyłam spadającego anioła, a potem jeszcze jednego! Pokazałam je Maude, ale zniknęły, zanim zdążyła je zobaczyć. Maude powiedziała, że ludzie mówią o spadających gwiazdach, chociaż tak naprawdę są to płonące odłamki z warkocza komety, które określa się mianem meteorytów. Ale ja wiem swoje — to anioły, które potknęły się, zdążając do nas z posłan-

nictwem od Boga. Ich skrzydła świecą na niebie do momentu, aż aniołom udaje się złapać równowagę.

Kiedy próbowałam to wyjaśnić, Maude i jej ojciec spojrzeli na mnie tak, jakbym oszalała. Położyłam się z nadzieją, że znowu zobaczę anioła, ale nic nie powiedziałam, kiedy znów pojawił się na niebie.

RICHARD COLEMAN

Księżyc wyglądał dzisiaj wspaniale, a Copernicus był doskonale widoczny. Przypomniałem sobie inną noc sprzed wielu lat, kiedy zabrałem Kitty i jej brata, żeby popatrzeć na niebo. Widzieliśmy Copernicusa prawie tak samo wyraźnie. Kitty wyglądała ślicznie w świetle księżyca i byłem wniebowzięty, chociaż Harry bez przerwy mówił o astronomie Koperniku, chcąc się popisać. Właśnie wtedy zdecydowałem, że poproszę ją o rękę.

Tej nocy po raz pierwszy od dawna pożałowałem, że Kitty została w domu. Teraz nie chodzi już ze mną, żeby oglądać gwiazdy. Przynajmniej Maude się tym interesuje. Czasami myślę, że moja córka jest dobrym duchem naszej rodziny.

KITTY COLEMAN

Kiedy już w końcu do tego doszło, wcale się nie wahał. Położył mnie na rabatce więdnących pierwiosnków, gniotąc je tak, że otoczył nas ich migdałowy zapach. Nad nami unosił się anioł, ale on nie chciał się przesunąć. Pragnął, żeby go wystraszył, tak jak ten wczorajszy. Nie miałam nic przeciwko temu, że anioł patrzył mi prosto w oczy — mogłam mu w ten sposób podziękować za to, że mi go dał.

Uniosłam spódnicę szarej sukni, ukazując nagie nogi. W mdłym świetle wyglądały jak nóżki grzybów albo lodygi jakiegoś egzotycznego kwiatu: orchidei lub lilii. On położył na mnie dłonie, rozdzielił płatki sromu i wsunął się we mnie. Znałam to. Nowością było, że nie cofnął ręk, tylko coraz mocniej ugniatał moje ciało. Przyciągnęłam jego głowę do piersi, a on ugryzł mnie przez suknię.

W końcu ten ciężar, który był we mnie od ślubu — a może od dnia urodzin — zaczął się unosić w bańce z piany. Anioł patrzył na mnie niewidzącym wzrokiem, a ja przynajmniej raz byłam zadowolona, że nie może mnie oceniać — nawet wtedy, kiedy krzyknęłam i bańka pękła. Kiedy leżałam lam później przytulona do niego, spojrzałam w górę przez gałęzie cyprysów. Półksiężyc dopiero zaczął swą wędrówkę, ale na niebie pojawiły się gwiazdy. Jedna z nich zaczęła spadać i pomyślałam o konsekwencjach mego czynu. Widziałam i czułam znaki, które dawało mi moje ciało, ale postanowiłam je zignorować. Dostałam wreszcie swoją radość i wiedziałam, że będę musiała za nią zapłacić. Nie powiem mu tego, ale z nami już koniec.

MAJ 1906 ROKU

ALBERT WATERHOUSE

Nie mam pojęcia, dlaczego dostałem aż dwa rachunki od kamieniarza. Na jednym było napisane: „Za naprawę grobu”, a drugi dotyczył wykucia imienia i nazwiska mojej siostry na płycie nagrobnej. W czasie pogrzebu nie zauważyłem, żeby z grobem było coś nie w porządku. Trudy też twierdzi, że nic o tym nie wie, ale Lavinia zmartwiła się, kiedy o tym powiedziałem, i wybiegła z pokoju. Później wyjaśniła, że to z powodu kaszlu, ale wcale nie słyszałem, żeby kaszłała, a Ivy May patrzyła na mnie tak, jakby wiedziała, o co chodzi, ale nie miała zamiaru niczego powiedzieć.

Moje córki są dla mnie jeszcze większą tajemnicą, niż ten piekielny rachunek, który odesłałem zarządcy z reklamacją. Niech on się tym zajmie — wygląda na bystrego człowieka.

lipiec 1906 roku

EDITH COLEMAN

Często zdarza się tak, że sama muszę sobie radzić z niezręczną sytuacją. Nowy wiek to zupełne szaleństwo. Widzę to wszędzie: w paroksyzmach kobiecej mody, szokująco permi-sywnym teatrze, w tym absurdalnym ruchu sufrażystek, a nawet — choć przykro mi to powiedzieć — w prowadzeniu się naszego króla. Mam tylko nadzieję, że jego matka nie przeczuwała, co knuje z panią Keppel.

Młodym brakuje moralnego kręgosłupa starszych, dlatego ktoś z mojej generacji musi co jakiś czas interweniować w ważnej sprawie. Nie skarżę się z tego powodu — jeśli mogę pomóc, to oczywiście zrobię wszystko, czego wymaga chrześcijańskie miłosierdzie. Jednak kiedy takie rzeczy dzieją się w domu mojego syna, odbieram to jako atak na własną osobę i dobre imię Colemanów.

Wygląda na to, że Kitty jest całkiem zaślepiona. To ja musiałam zająć się tą sprawą i pokazać, co się dzieje w jej domu.

Przyjechałam na lunch podany na tym strasznym serwisie w żółto-czarną kratkę — jeszcze jeden przykład upadku obyczajów. Jednak ich służąca stanowiła tu najgorszy przykład. Po tym jak niedbale rozstawiła zastawę i powlokła się do kuchni, siedziałam przez chwilę osłupiała. Kitty nie spojrzała mi w oczy, ale dziobała widelcem gotowaną rybę i ziemniaki. Nie pochwalam braku apetytu — to bardzo samolubne zachowanie w świecie, w którym jest tylu głodnych. Nawet bym to powiedziała, ale bardziej interesował mnie problem Jenny.

Najpierw próbowałam być łagodna.

— Jenny nie wygląda najlepiej, moja droga — zaczęłam. — Czy już z nią o tym rozmawiałaś?

Kitty spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Jenny? — powtórzyła, jakby nie wiedziała, o czym mówię.
— Twoja służąca źle się czuje — naciskałam. — Chyba to widzisz.
— A co jej się stało?
— Moja droga, przypatrz jej się uważnie. Przecież to doskonale widać.
— Naprawdę?

Trochę się zniecierpliwiłam. Chciałam nawet potrząsnąć Kitty, jakby była małą dziewczynką. Muszę przyznać, że jej córka jest od niej pod pewnymi względami dojrzalsza. Byłam nawet rozczarowana, że nie przyszła na lunch — czasami wolę rozmawiać z nią niż z ICitty. Powiedziano mi jednak, że jest u przyjaciółki. Cóż, przynajmniej mogłam odbyć szczerą rozmowę.

— Narobiła sobie kłopotów. Przez mężczyznę — dodałam, żeby już nie było żadnych wątpliwości.

Kitty wypuściła z ręki sztucce, czego w żadnym wypadku nie powinna robić, i spojrzała na mnie swoimi wielkimi oczami, które tak opętały mojego syna. Była bardzo blada.

— Jest co najmniej w szóstym miesiącu — ciągnęłam, gdyż Kitty nie mogła wydusić z siebie ani słowa. — Może nawet w siódmym. Zawsze wiedziałam, że napyta sobie biedy. Nigdy jej nie lubiłam. Jest zbyt bezczelna jak na mój gust. A poza tym śpiewa przy pracy, czego nie znoszę u służących. Nie sądzę, żeby ten mężczyzna się z nią ożenił, a jeśli nawet, to nie może zostać w tym domu. Mężatka z dzieckiem nie nadaje się na służącą. To musi być dziewczyna bez żadnych zobowiązań.

Moja synowa wciąż patrzyła na mnie z olbrzymim zdziwieniem. Stało się dla mnie jasne, że sama muszę zająć się tą sprawą.

— Porozmawiam z nią po lunchu — powiedziałam. — Nie musisz się tym przejmować.

Kitty przez chwilę milczała, a potem skinęła głową.

— A teraz zjedz rybę — dodałam.

Dźgała ją jeszcze przez chwilę widelcem, a potem wyjaśniła,

że boli ją głowa. Nie lubię marnotrawstwa, ale w tej sytuacji nic jej nie powiedziałam. Ewidentnie przeżyła szok i źle się poczuła. Na szczęście ja cieszę się lepszym zdrowiem i mogłam skończyć rybę, która bardzo mi smakowała. Tylko sos do niej był za gęsty. Jak to dobrze, że jest tutaj pani Baker—będzie musiała sama zajmować się domem, póki nie znajdziemy zastępstwa dla Jenny. Przez jakiś czas miałam wątpliwości, czy nadaje się na kucharkę, ale na szczęście jest równie pracowita jak pobożna. Warto zatrudniać wdowy — tak jak ja nie *oczekuje* zbyt wiele od życia.

Jenny przyszła, żeby posprzątać, a ja nie mogłam się powstrzymać, żeby nie pokręcić głową na jej bezwstyd. Jak mogła mieć czelność chodzić po domu z takim brzuchem? Czyżby myślała, że nikt go nie zauważy? Cóż, myślę, że zna swoją panią. Gdybym nie ostrzegła Kitty, mogłaby nic nie zauważyć aż do urodzenia dziecka. Widziałam, jak przyglądała się zbierającej naczynia Jenny, i na jej twarzy pojawił się strach. Z całą pewnością nie zwolniłaby tej dziewczyny. Ja natomiast nie czułam strachu, a jedynie słuszną determinację.

Kitty powiedziała tylko:

— Dziękuję za kawę, Jenny.

— A ja za wrzątek — dodałam. Nie było sensu odwlekać tej rozmowy.

Dziewczyna chrząknęła i wyszła, a ja pomyślałam, że to jednak prawdziwe błogosławieństwo — przynajmniej można pozbyć się chwastów, które wyrosły w zbożu.

Powiedziałam Kitty, żeby odpoczęła, a potem odczekałam chwilę i zeszłam do kuchni, gdzie pani Baker wycierała mąkę ze stołu. Nie bywam tam często, więc jej zdziwienie było zupełnie zrozumiałe. Ale na jej twarzy malowało się coś jeszcze. Pani Baker nie jest głupia — domyśliła się, dlaczego przyszłam.

— Ryba była całkiem dobra — skomplementowałam ją. — Może tylko w sosie powinno być mniej masła.

— Dziękuję, pani — odpowiedziała jak trzeba, ale w jej głosie pojawiły się wrogie nutki.

— Gdzie jest Jenny? Chcę z nią porozmawiać. Pani Baker znowu zaczęła wycierać stół.

— W pomywalni, pani.

— Więc to jasne? Kucharka wzruszyła ramionami. — Przecież widać. Kiedy chciałam przejść' do pomywalni, ku mojemu zaskoczeniu dodała nagle:

— Zostawcie ją, pani. Zostawcie ją.

— Chce mnie pani uczyć, jak prowadzić ten dom? — spytałam.

Nie odpowiedziała.

— Nie ma powodów, żeby się nad nią rozczulać, pani Baker. To dla jej dobra.

Kucharka znowu wzruszyła ramionami. Zdziwiło mnie to, bo zwykle zachowuje się rozsądnie. Oczywiście pochodzi z innej klasy, ale czasami odnosiłam wrażenie, że tak bardzo się od siebie nie różnimy.

Rozmowa nie zajęła dużo czasu. Naturalnie Jenny zaczęła płakać i wybiegła z pomywalni, ale mogło być gorzej. Chyba przyniosło jej ulgę to, że cała sprawa wyszła w końcu na jaw. Przecież wiedziała, że ktoś wreszcie zauważy. Czekanie musiało być bardzo męczące, a ja uwolniłam ją od kłopotu.

Żałuję tylko, że Maude to widziała. Myślałam, że jest u Waterhouse'ów, ale kiedy wróciłam do kuchni, stała w drzwiach spiżarki. Starłam się mówić cicho, więc wątpię, żeby mnie słyszała, ale dotarły do niej jęki służącej.

— Czy Jenny jest chora? — spytała.

— Tak. — Stwierdziłam, że w ten sposób najłatwiej można to wytłumaczyć. — Będzie musiała nas opuścić.

— Czy umiera?! — przeraziła się Maude.

— Nie bądź głupia. — Tak dramatyczne pytania pasowały raczej do jej przyjaciółki Lavinii. Maude ją po prostu naśladowała. Wiedziałam, że ta Waterhouse'ówna ma na nią zły wpływ.

— Więc co...?

— Szkoda, że nie byłaś na lunchu — przerwałam jej. — Myślałam, że poszłaś do przyjaciółki.

Maude cała się zaczerwieniła.

— Po... poszłam — zająknęła się. — Ale... Lavinia jest przeziębiona, więc wróciłam. Pomagałam pani Baker piec chleb.

Nigdy nie potrafiła kłamać. Dowiedziałabym się, co robiła, ale pochłonęła mnie sprawa Jenny, więc dałam jej spokój. I, prawdę mówiąc, nie chciałam wiedzieć. Bardzo zabolalo mnie to, że własna wnuczka wolała piec chleb, niż zjeść ze mną lunch.

MAUDE COLEMAN

Nigdy nie pomyślałabym, że babcia przyjdzie do kuchni. Sądziłam, że jestem tam bezpieczna, że mogę się schować i nie jeść z nią lunchu. Nawet mama myślała, że jestem u Lavinii. Chętnie bym się do niej wybrała, ale Lavinia poszła z wizytą do kuzynów.

Prawie udało mi się schować przed babcią. Odkładałam właśnie płatki owsiane, mąkę i sodę, kiedy usłyszałam jej głos w kuchni. Aż się skurczyłam, ale bałam się zamknąć drzwi.

Jednak babcia przeszła, nie zaglądając do spiżarki, i od razu skierowała się do pomywalni. Zaczęła coś cicho mówić do Jenny, a mnie ciarki przeszły po plecach. Właśnie takim tonem mówi najokropniejsze rzeczy — kiedy wie, że stłukłam wazę, nie byłam w kościele albo dostałam zły stopień. Jenny zaczęła płakać i chociaż mogłam zamknąć wówczas drzwi spiżarki, to jednak tego nie zrobiłam. Chciałam wiedzieć, czego dotyczy ta rozmowa. Zakradłam się bliżej i usłyszałam głos babci:

— ...pensję do końca tygodnia, ale już musisz się stąd zabrać.

A potem Jenny krzyknęła i wybiegła z pomywalni. Babcia wyszła za nią i zobaczyła mnie w powalonym mąką fartuszk.

Zdziwiłam się, kiedy babcia powiedziała o chorobie Jenny, ale prawdę mówiąc, ostatnio zrobiła się wolna i gruba, jakby coś jej utknęło w żołądku. Być może powinna pić tran. A potem babcia powiedziała, że Jenny będzie musiała odejść z tego powodu. Pomyślałam, że widocznie jest naprawdę chora, ale babcia nie chciała o tym rozmawiać.

Na szczęście zaraz sobie poszła. Mogłam mieć zepsute popołudnie, gdybym musiała z nią zostać, bo powiedziała mi, że mamę boli głowa. Odprowadziłam babcię do drzwi, a kiedy wy-

chodziła, poprosiła, bym przekazała mamie, że wszystko jest w najlepszym porządku. Wiedziałam, że nie powinnam pytać, co to znaczy. Potem pobiegłam szybko na dół.

— Czy Jenny od nas odejdzie? — spytałam panią Baker. Zastanawiała się chwilę, a potem odparła:

— Pewnie tak.

— Czy to znaczy, że jest bardzo chora?

— Chora? Tak to nazywa?

Ktoś zapukał do drzwi od strony ogrodu.

— Może to Lavinia? — ucieszyłam się.

— Nic jej o tym nie mów.

— Dlaczego? — spytałam, chwytając za klamkę. Pani Baker westchnęła i potrząsnęła głową.

— Nieważne. Mów, co chcesz. I tak się wszystkiego dowie. To był Simon. Nie przywitał się ze mną — nigdy się nie wita.

Wszedł do środka i rozejrzał się dookoła.

— Gdzie jest nasza Jenny? Poszła na górę? Spojrzałam na panią Baker — wzięła miskę i sito, których używaliśmy do chleba. Skrzywiła się, ale nic nie powiedziała.

— Jest chora — odparłam. — Być może będzie musiała od nas odejść.

— Nie jest chora — stwierdził Simon. — Tylko taki jeden zrobił jej brzucha.

— Zrobił brzucha — powtórzyłam niepewnie. — Czy dlatego, że ją rypał? Miałam nadzieję, że nikt nie skrzywdził Jenny.

— Maude! — pani Baker wrzasnęła tak, że aż podskoczyłam. Nigdy wcześniej na mnie nie krzyczała — tylko na chłopca od rzeźnika, jeśli mięso było nieświeże, albo na piekarza, którego oskarżyła o to, że dosypał trocin do chleba. — Czy to ty, chłopcze, nauczyłeś ją tych słów? Popatrz, nawet nie wie, co mówi. Powinieneś się wstydzić!

Simon spojrział na mnie jakoś tak dziwnie.

— Przepraszam — powiedział, a ja skinęłam głową, chociaż nie miałam pojęcia, o co mu chodzi. Wielu rzeczy nie znał

— nie chodził do szkoły, z trudem czytał, i to głównie nagrobki. Jednak wiedział o rzeczach, o których ja nie miałam najmniejszego pojęcia.

Simon obrócił się do pani Baker.

— Czy jest może chleb?

— Dopiero się piecze, ty głodomorze — warknęła pani Baker. — Musisz poczekać.

Simon po prostu na nią patrzył. Nie przejął się tym, że nazwała go głodomorem. Pani Baker westchnęła, postawiła miskę z sitem i sięgnęła do kredensu, z którego wyjęła resztkę bochenka.

— Posmaruj sobie masłem — powiedziała, podając mu chleb. — Wiesz, gdzie szukać.

Simon zniknął w spiżarni.

— Zrób mi herbaty, Maude — zarządziła, biorąc naczynia i kierując się do pomywalni. — Z jedną porcją cukru — rzuciła jeszcze przez ramię.

Dałam mu dwie porcje.

Simon posmarował chleb masłem tak grubo, jakby to był ser. Patrzyłam, jak je, żłobiąc zębami prostokątne bruzdy.

— Simon, co to znaczy, że ktoś zrobił jej brzucha? — szepnęłam, wiedząc, że nie powinnam już używać tych słów.

Simon potrząsnął głową.

— Nie mogę ci powiedzieć. Lepiej zapytaj swoją mamę. Wiedziałam, że nigdy tego nie zrobię.

SIMON FIELD

Chleb, który piecze się w piekarniku, świetnie pachnie. Chce na niego zaczekać, ale wiem, że i tak miałem szczęście, że coś dostałem od pani Baker. Ona nie jest tak hojna jak nasza Jenny.

Chce się spotkać z naszą Jenny. Maude uważa, że jest w swoim pokoju na górze. Wienc kiedy kończę jeść, udaje, że wychodzę, ale nie zatrzaskuje drzwi do ogrodu. Patrzę przez okno, a kiedy pani Baker i Maude znikają w spiżarni, przemykam do wnętrza i biegnę nie zauważony na górę.

Nigdy nie byłem w pozostałej części domu. Jest duża i pełno tu schodów. Zatrzymuje się co rusz, bo tyle tu ciekawych rzeczy. Na ścianach wiszą obrazy i rysunki z ludźmi, budynkami, ale głównie z ptakami i kwiatami. Widziałem, że pan Jackson ma u siebie w biurze ksionżkę z takimi obrazkami.

Dywany w holu i na schodach są głównie zielone z żółtymi, niebieskimi i czerwonymi czeńściami wzorów. Na każdym półpietrze stoją rośliny z długimi, cienkimi liśćmi, które poruszają się, kiedy przechodzę. Nasza Jenny ich nienawidzi, bo musi czyścić wszystkie liście, co zajmuje dużo czasu.

— Nikt mnie nie spytał, jakie rośliny kupić — powiedziała kiedyś. — Przecież lepsze byłyby aspidistry z paroma długimi liśćmi.

W końcu dochodzę na ostatnie piętro. Mam drzwi po jednej i po drugiej stronie. Otwieram na chybił trafił. To pokój Maude. Stoję długo i patrzę. Nigdy jeszcze nie widziałem tylu zabawek i ksionżek w jednym pomieszczeniu. Na jednej półce są same lalki różnej wielkości, a na innej gry — z planszami i pionkami albo zagadkami. Jest też dużo ksionżek. Na podłodze stoi brązowo-biały konik na kółkach z czarnym, skórzanym siodłem. Tuż obok drewniany domek dla lalek z eleganckimi krzesłami,

stołami, a nawet dywanikami. Na ścianach wiszą obrazy z dziećmi, psami, kotami i czymś, co wygląda na mapę nieba z gwiazdami połączonymi cienkimi liniami tak, by tworzyć kształty, które widziałem w nocy w grobie.

Jest tutaj bardzo ciepło — w kominku się pali, a na kracie wiszą ubrania do przewietrzenia. Chce tu zostać, ale nie może. Musze znaleźć naszą Jenny.

Stukam do drugich drzwi.

— Idźcie sobie — mówi.

— Jenny, to ja.

— Idź już.

Klenkam i zaglądam przez dziurkę od klucza. Nasza Jenny leży na łóżku z renkami pod policzkiem. Ma czerwone oczy, ale nie płacze. Widzę jej gorset i wielki brzuch pod spódnicą.

Wchodzę nie proszony. Nie krzyczę na mnie, więc siadam na krześle.

Nie ma tu zbyt dużo miejsca — tyle, co na łóżko i krzesło. Poza tym jest nocnik, kubek z wenglem, zielony chodnik i sznurek z jej ubraniami. Na parapecie stoi kilka kolorowych butelek — niebieskich i zielonych. Pokój jest ciemny, bo światło pochodzi tylko z niewielkiego okienka, które wychodzi na północno, uliczo, stronę.

— Co teraz zrobisz, Jenny? — mówię.

— Nie wiem — odpowiada. — Wrócę do mamy. Musze się chyba zebrać do końca dnia.

— Powinnaś pójść do naszej mamy. Jest położno. Nellie z Leytonstone High Street, zaraz przy „Rose and Crown”. Wszyscy ją znają. Jakbyś tam poszła wcześniej, to byś się tego pozbyła.

— Nie mogłam! — krzyczy przestraszona Jenny.

— Czemu nie? Przecież tego nie chcesz.

— To grzech. Morderstwo!

— Przecież i tak zgrzeszyłaś. Co za różnica?

Nie odpowiada, tylko potrząsa głową. A potem podkurcza nogi, tak że się przy jej brzuchu.

— I tak za późno — mówi. — Dziecko urodzi się już niedługo i tyle.

Zaczyna płakać, szlochajonc co chwila. Siengam po duży, brązowy szal, który wisi na krześle, i jo przykrywam.

— O Boże, co ja zrobię? — płacze. — Mama mnie zabije. Posyłałam jej wienkszo czeńść pensji. Jak sobie bez niej poradzi?

— Poszukasz innej pracy, a twoja mama zajmie sie dzieckiem.

— Ale nikt mnie nie zatrudni, jak sie rozniesie, co sie stało. Moja pani nie da mi referencji. To była moja jedyna praca. Potrzebuje referencji.

Myślę przez chwile.

— Dostaniesz je od pani Coleman, jak jo zmusisz — mówię w końcu niechentnie, bo lubie matkę Maude. Wcionż pamientam, jak sie do mnie uśmiechnęła w tej zielonej sukience.

Nasza Jenny patrzy na mnie ze zdziwieniem. — Znaczy jak? — pyta.

— Przecież wiesz, że spotyka sie na cmentarzu z panem Jacksonem.

Nasza Jenny podnosi sie na łokciach.

— To brzydko gadać takie rzeczy. Poza tym w rozmowie nie ma nic złego. A przecież tylko rozmawiali, prawda?

Wzruszam ramionami.

Odgarnia do tyłu włosy, które jej sie przykleiły do policzków.

— Co mam powiedzieć?

— Że powiesz jej mężowi o spotkaniach z panem Jacksonem, jeśli nie da ci referencji.

— Oo, to bardzo brzydko. — Nasza Jenny myśli przez chwile, a potem najej ustach pojawia sie dziwny uśmiech. Jakby była złodziejem, który właśnie zobaczył otwarte okno. — Może udałoby mi sie nawet zachować te prace. Musiałaby mnie zatrzymać, żeby siedziała cicho.

Robi mi sie niedobrze. Lubię naszo Jenny, ale jest zbyt zachłanna.

— No, nie wiem — mówię. — Nasz tatko zawsze mówi, żeby nie żondać zbyt wiele. Bierz to, czego ci trzeba, bo inaczej nic nie dostaniesz.

— No i popatrz, twój tatko jest tylko grabarzem — mówi nasza Jenny.

— To tak samo dobre, jak być shizonco.

— No dobra, wynoś sie. Musze włożyć gorset, jeśli mam z nio rozmawiać.

Po jej minie widzę, że nie zdołam jej powstrzymać. Ide wienc na dół, na pierwsze pietro. Jest tam czworo drzwi. Nasłuchuje przez chwile, ale ze środka nie dobiegają żadne dźwięki. Nigdy nie byłem w takim domu.

Nasza mama z czterema moimi siostrami mieszkają w dwóch przylegających pokojach. W tym domu mogłoby mieszkać pięć albo i sześć rodzin. Patrzę na drzwi. Wszystkie są dembowe z mosiężnymi klamkami — nasza Jenny dobrze je wypolerowała. Otwieram pierwsze z brzegu.

Słyszałem o takich pomieszczeniach, ale jeszcze żadnego nie widziałem. Wszędzie tu są kafelki — na podłodze i ścianach aż nad moją głowę. Rzęd kafelków na szczycie ma czer-wono-zielony wzorek, jakby z tulipanów. Jest tu też duża biała wanna i biały zlew ze srebrnymi rurami i kurkami, wyczyszczonymi pienkiem przez naszą Jenny. Na wieszaku wiszą wielkie białe ręczniki. Dotykam jednego. Zostawiam czarny znak, co mnie martwi, bo wszystko tutaj takie czyste.

W małym pomieszczeniu obok jest sedes, też biały, z siedzeniem z mahoniem jak trumny niektórych bogaczy. Myślę o wygodce i wiadrze, którego używamy z naszym tatkiem, i robi mi się przykro. Ten sedes nawet wygląda tak, jakby służył do czegoś innego.

Wychodzę i wybieram następne drzwi, które prowadzą do pokoju od strony ulicy. Ściany pomalowano na żółto i chociaż to strona północna, są tu dwa duże okna z balkonami. Światło, które tu wpada, powoduje, że ściany wyglądają jak złote. Są tu dwie sofy zestawione w kształcie litery L i przykryte narzutami w motylki i kwiaty. Jest tu fortepian i małe stoliki z książkami, kredens ze zdjęciami pani Coleman, a także Maude i jej taty, i jeszcze paru innych ludzi.

A potem slysze, jak nasza Jenny mówi coś na półpietrze. Nie mam czasu, żeby stond wyjść, a jakoś wiem, że właśnie tutaj bendo rozmawiały. Chowam sie szybko za jedno sofo. Gdybym bawił sie z siostrami w chowanego, pewnie tutaj by przede wszystkim zajrzały. Ale Jenny i pani Coleman wcale mnie nie szukaj o.

JENNY WHITBY

Mimo że udawałam odważno przed Simonem, bałam się rozmawiać z panio. Nie była dla mnie taka zła, a sama wiem, że zgrzeszyłam. Nie chciałam też szantażu. Ale potrzebuje pracy i potrzebuje moich zarobków. Czułam się tak, jakbym myła podłogę, nie rozglondajonc się dookoła, a potem okazało się, że zostałam w koncie z mokro ścierko. Musiałam wykonać daleki skok, żeby się uwolnić.

Dlatego poprawiłam ubranie, włożyłam czepek, wypłukałam twarz zimno wodo i zesłam na dół. Kiedy zesłam na półpiętro, ona wyszła ze swojej sypialni. Zrozumiałam, że musze to zrobić. Otworzyłam usta, ale ona zaczęła pierwsza;

— Jenny, chciałabym z tobo porozmawiać. Chodźmy do saloniku.

Poszłam za nią.

— Usiońdź — powiedziała.

Usiadłam na sofie. Czensto tu sprzontałam, ale nigdy nie siedziałam. To ładny pokój.

Podeszła do okna i spojrzała przez żaluzje. Miała na sobie suknie w kolorze kości z kameo pod brodo. Ten kolor do niej nie pasuje — wyglondowała na zmenczono i blado.

Przełknęłam ślinę, bo zaschło mi w gardle. Nie wiedziałam jeszcze, co chce powiedzieć.

A potem okazało się, że wszystko poszło inaczej niż soń-dziłam. Zupełnie inaczej. Nigdy bym nie pomyślała, że powie coś takiego.

Odwróciła się od okna.

— Przykro mi, że to cie spotkało, Jenny — zaczęła. — Tym bardziej, że musiałaś rozmawiać z panio Coleman, która potrafi być bardzo nieprzyjemna.

— To wiedźma — rzuciłam, zanim zdonżyłam pomyśleć. To ułatwiło mi zadanie. — Ale ja mam też coś do powiedzenia, proszę pani.

— Najpierw wysłuchaj mnie. Może zdołamy sobie pomóc.

— Ja mam wam pomóc, pani? Nie sondze, żebym mogła...

— Potrzebuje twojej pomocy, Jenny.

— Potrzebujecie pomocy, pani? Po tym jak wyrzuciliście mnie na ulice jak staro miotłę? Po tym wszystkim, co zrobiłam dla was, panienki i naszego pana. Tylko dlatego, że... że... — Nie mogłam powstrzymać płaczu.

Dała mi chwilę popłakać. A potem powiedziała coś bardzo cicho. Nic nie słyszałam, wienc musiała powtórzyć: — Dziele z tobo twoje poniżenie. Nie bardzo wiedziałam, o co jej chodzi, ale zabrzmiało to na tyle poważnie, że przestałam płakać.

— To nie jest jeszcze tak... zaawansowane. I dlatego mogę coś z tym zrobić. Ale nie wiem, gdzie iść i kogo prosić o pomoc. Nie zwrócę się przecież do znajomych. Dlatego pytam ciebie, co zrobić.,, żeby sie tego pozbyć. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Spojrzałam na nią i pomyślałam o jej braku apetytu, bólach głowy, popołudniowych drzemkach i o tym, że od paru miesien-cy nie musiałam prać dokładniej jej bielizny, a wtedy pojęłam, co sie stało. Nie zauważyłam tego wcześniej, bo miałam głowę nabito własnymi kłopotami.

— Tak — powiedziała cicho — rozumiem.

— Nie chce iść gdzieś, gdzie by mnie znano. To musi być gdzieś dalej, ale nie za daleko, żebym mogła tam dotrzeć. Znasz takie miejsce?

Zrozumiałam wtedy, czego ode mnie chce.

— To grzech — powiedziała. Znowu spojrzała przez okno.

— Ale mój, a nie twój.

Dałam jej poczekać. Sama bez najmniejszych problemów pozwałała mi sie szantażować. Nie musiałam nawet mówić

O panu Jacksonie, bo przecież do teraz nie wiedziałam, co się między nimi wydarzyło.

Rozumiałam, dlaczego właśnie mnie o to prosi. Uznała, że i tak się mnie pozbędzie, więc nikomu nie powiem. Ale będzie musiała zapłacić za moje milczenie. Na tym polega szantaż.

— To będzie kosztować, pani,

— Ile chcesz? — powiedziała to takim tonem, jakby właśnie tego się spodziewała. Zaskoczyłam ją jednak.

— Chce mojej pracy. Patrzyła na mnie przez chwilę.

— A może dam ci pieniądze? Będziesz mogła się utrzymać z dzieckiem, aż znajdziesz jakąś inną pracę,

— Nie.

— Oczywiście dam ci odpowiednie referencje. Nawet nie wspomnę o dziecku. Napisze, że twoja matka zachorowała i musiałaś się zająć.

— Nie chce mieszać do tego mojej matki.

— Wcale nie sugeruje...

— Chce tu zostać.

— Ale... co mam powiedzieć pani Coleman? Przecież to ona cie zwolniła. Nie mogę cofnąć jej decyzji. — W jej głosie pojawiły się rozpaczliwe nutki.

— Wy, pani, jesteście tu gospodynią. Możecie zrobić, jak wam się podoba. Już zrobiłyście.

Przez chwilę milczała. Dziecko poruszyło się w moim brzuchu — poczułam, jak kopie.

— Dobrze — powiedziała w końcu. — Możesz tu wrócić po urodzeniu dziecka. Ale dzisiaj musisz odejść i nie będzie ci wolno zabierać go tutaj. Będziesz je widywać w niedzielę.

— A w soboty po południu? Soboty też chce mieć wolne. — Sama byłam zaskoczona, powodzenie dodało mi odwagi.

— Dobrze, również w sobotnie popołudnia. Ale masz nikomu o tym nie mówić, bo inaczej każe ci zabrać dziecko. Jasne?

— Tak, pani. — Nie potrafiła grać groźnej, zupełnie jej to nie wychodziło.

— Dobrze, wienc gdzie mam pójść?

— Do Leytonstone — odpowiedziałam. — Musisz, pani, pytać o Nellie z High Street. Mieszka obok „Rose and Crown”.

Usłyszałam jakiś hałas za mojo kanapo i domyśliłam sie wtedy, że ktoś tam sie schował. Ona jednak nic nie zauważyła — znowu patrzyła za okno. Zerknęłam do tyłu i zobaczyłam skurzonego Simona. Nie zdziwiło mnie, że podsłuchuje — to prawdziwy gałgan. Gniewał się na mnie za to, że powiedziałam o jego mamie. Wzruszyłam ramionami — cóż innego mogłam zrobić.

— Idź już — powiedziała, nie patrzonc na mnie. — Idź sie spakować. Zamówię ci dorożkę.

— Tak, pani. — Wstałam. Teraz, kiedy już załatwiłam swojo sprawę, chciałam jej coś powiedzieć, tylko nie wiedziałam co. Wienc tylko rzuciłam: — Do widzenia.

A ona:

— Do widzenia, Jenny.

Otworzyłam drzwi. Przed wyjściem jeszcze na nio spojrzałam. Wcionż stała przy oknie z zamknientymi oczami i trzymała swój brzuch zaciśnientymi w pięści renkami.

— Och — westchnęła. Simon ciongle tkwił za kanapo. Mam nadzieje, że jego matka nie zrobi jej nic złego.

wrzesień 1906 roku

ALBERT WATERHOUSE

Chyba nie powiem o tym nikomu, nawet Trudy, ale wczoraj wieczorem odprowadziłem do domu Kitty Coleman. Wracalem właśnie z treningu na Heath razem z Richardem, kiedy przypomniałem sobie, że żona prosiła mnie, żebym przekazał coś pastrowi ze św. Anny. Chodziło o kwiaty czy coś w tym rodzaju. Staram się nie zajmować takimi głupstwami — zostawiam to Trudy. Powiedziałem jednak do Richarda, że złapię go w „Buli and Last”, a sam niczym chłopiec na posyłki zająłem się tą sprawą. Później, kiedy ruszyłem do pubu, dostrzegłem Kitty Coleman na Swain's Lane. Szła wolno, ze spuszczoną głową i co jakiś czas kopala swoją spódnice. Wydawało mi się to dziwne, bo już zaczęło zmierzchać, a ona była sama i w dodatku wyglądała tak, jakby nie wiedziała, dokąd idzie. — Dobry wieczór, pani Coleman — przywitałem się, unosząc czapkę. — Świetna pogoda na przechadzkę, prawda? Trzeba się cieszyć końcówką lata.

Zarumieniłem się, gdy tylko wypowiedziałem te słowa. Sam nie wiem, co w niej jest takiego, że mówię przy niej rzeczy, które w ogóle nie powinny wyjść z moich ust.

Ale ona chyba tego nie zauważyła — tylko patrzyła na mnie tak, jakbym był duchem.

Przeraził mnie jej wygląd. Richard wspominał, że jest chora i nie czuje się najlepiej, ale to było coś gorszego. Przykro mi to powiedzieć, ale po prostu zbrzydła.

— Czy pani może gdzieś idzie? Kitty Coleman zawahała się.

— Byłam... Chciałam wejść na wzgórze, ale nie mogłam.

— Wzgórze cementarne jest strome, a po chorobie musi wy-

dawać się prawdziwą górą. Może zaprowadzę panią do męża!' Jesteśmy umówieni w pubie.

— Nie chcę się widzieć z Richardem — rzuciła szybko. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim sądzić, ale przecież nie mogłem zostawić jej samej — wyglądała na bardzo chorą i zagubioną jak dziecko.

— Więc może odprowadzę panią do domu? Wyciągnąłem ramię, czując się nieco głupio i myśląc o tym,

co powiedziałyby Trudy, gdyby nas tak zobaczyła. Wiem, że nie lubi Kitty Coleman. Na szczęście siedziała w domu z dziewczynkami. Była tam też Maude, która miała zostać u nas na noc.

Po chwili przyjęła moje ramię. Najbliższa droga do jej domu prowadziła koło „Buli and Last”, ale wybrałem inną. Czułbym się dziwnie, gdyby Richard Coleman zobaczył mnie przez okno z jego żoną wspartą na moim ramieniu. Mógłbym się wytłumaczyć, ale sytuacja i tak byłaby niezręczna. Poszliśmy więc drogą okrężną, a ona nie protestowała.

Próbowałem z nią rozmawiać, ale odpowiadała mi tylko: „Tak” albo „Dziękuję”, chociaż wcale nie było takiej potrzeby.

Nic nie szkodzi. Odprowadziłem ją do domu nie bez odrobiny dumy — co prawda zbrzydła, ale wciąż miała świetną figurę, a na sobie elegancką, chociaż trochę wymiętą, szarą suknię. Paru przechodniów zerknęło na nas, a ja odruchowo się wyprostowałem.

-.....- Czy mogę czymś jeszcze służyć? — zapytałem, gdy dotarliśmy do drzwi.

— Nie, bardzo dziękuję — odparła.

— Proszę na siebie uważać. Najlepiej niech pani weźmie miksturę Horlicka i pójdzie wcześniej spać.

Skinęła głową i zniknęła za drzwiami. Dopiero kiedy szedłem do pubu, uświadomiłem sobie, że w ogóle nie wymieniła mojego nazwiska. Być może nawet mnie nie poznała.

W końcu dotarłem do „Buli and Last” i Richard zaczął żartować z tego, ile czasu przesiedziałem u pastora. Skinąłem tylko głową i zamówiłem piwo.

październik 1906 roku

LAVINIA WATERHOUSE

Wprost zaszokował mnie widok mamy Maude.

Prawie jej nie widywaliśmy. Zajrzałyśmy do domu Maude po drodze ze szkoły, bo chciałam pożyczyć książkę o roślinach, z której mogłabym przepisać fragmenty do mojej pracy. Maude nie chciała mi jej dać, pewnie dlatego, że nie uznaje przepisywania, zwłaszcza że prace miały być samodzielne. (To takie męczące wymyślać, co napisać, zwłaszcza jeśli temat brzmi: *Cykl życia liścia!*) Teraz jednak sędzę, że nie chciała, żebym zobaczyła jej matkę. Kiedy tak o tym myślę, to uświadamiam sobie, że Maude przychodzi do mnie codziennie, i to od paru miesięcy. Jeszcze częściej niż kiedyś.

Zagoniła mnie najpierw do swego pokoju po książkę, a potem z powrotem, na dół. Ale pani Coleman właśnie wyszła z saloniku. Obrzuciła nas niewidzącym wzrokiem, więc nie wiedziałam nawet, czy nas zauważyła.

— Dzień dobry, mamo — powiedziała cichutko Maude i dopiero wtedy pani Coleman skinęła nam głową.

Tak bardzo zaskoczył mnie jej wygląd, że nie powiedziałam o tym nawet Maude — co mnie zasmuciło, bo wydawało mi się, że zawsze mówimy sobie, co myślimy. Nie mogłam jednak zapytać, dlaczego jej matka tak schudła i skąd się wzięły u niej siwe włosy i ziemista cera. Co gorsza — bo można ufarbować włosy albo wyrwać te siwe (jak robi moja mama), a do brzydkiej cery użyć toniku — zgasł nagle jej wewnętrzny płomień. To prawda, że czasami miał on nieco frywolny charakter — dlatego mama za nią nie przepada — ale bez niego jest zupełnie pozbawiona wyrazu.

Coś złego dzieje się u Colemanów. Nie tylko pani Coleman nie jest sobą, ale parę miesięcy temu odeszła ich służąca, która

nagle się rozchorowała. Być może to ta sama choroba. Maude twierdzi, że Jenny niedługo wróci. Będę musiała sprawdzić, czy też posiwała. Dobrze, że przyjdzie, bo pokojówki, które wynajmowali, były okropne. Maude nie lubiła żadnej z nich, a ich dom wcale nie wygląda czysto — na tyle, na ile miałam okazję to stwierdzić. Rośliny na półpiętrach są potwornie zakurzone.

Nic o tym nie mówiłam biednej Maude. I tak była przybita, kiedy do mnie przychodziła. Staralam się być dla niej szczególnie miła — zaproponowałam nawet, żebyśmy poszły na oficjalne otwarcie naszej biblioteki. Całe lato budowano ją przy Chester Road, a w czwartek po południu odbędzie się oficjalna ceremonia. Nie chce mi się iść, bo nie lubię męczących przemówień, ale Maude uwielbia biblioteki, więc może ją to rozweseli. A poza tym mogłybyśmy wyjść wcześniej ze szkoły i zwolnić się z matematyki. Nie znoszę tego przedmiotu. Liczby są nudne. Prawdę mówiąc, nie lubię żadnych zajęć poza robótkami domowymi i aranżacją wnętrz, chociaż panna Johnson mówi, że powinnam poskromić trochę wyobraźnię. To chyba komplement!

Maman będzie musiała napisać zwolnienie dla nas obu, bo matka Maude najwyraźniej nie jest w stanie się tym zająć. A poza tym pewnie pójdzie z nami i zabierze Ivy May, chociaż to tylko parę minut drogi. Maude i ja mamy już jedenaście lat, a i tak nie możemy nigdzie chodzić same, z wyjątkiem szkoły. *Maman* mówi, że nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć, bo czyta o różnych okropieństwach w gazetach — o noworodkach, które zostawiono, by zamarzły; o tych, co się potopili w stawie; i o mężczyznach czyhających na samotne dziewczęta.

Kiedy poszłyśmy do mnie, spytałam *Maman*, czy będziemy się mogły wybrać na otwarcie biblioteki. Zgodziła się, moja kochana. Zawsze na wszystko się zgadza.

A potem Maude zadała dziwne pytanie:

— Czy mogłaby pani poprosić moją mamę, żeby z nami poszła? Źle się ostatnio czuje i przydałoby jej się trochę świeżego powietrza.

Cóż, mama nie była tym zachwycona — Maude mogłaby

sama poprosić — ale obiecała, że porozmawia z panią Coleman. Mnie też to nie ucieszyło, bo nie wiem, czy powinnam się pokazywać w towarzystwie kogoś, kto tak się zaniedbał. Postaram się stać koło Maude. Poza tym może *Maman* nie uda się namówić pani Coleman. Przecież nie są przyjaciółkami. Jeśli jednak jej się powiedzie, chyba wieczorem zakiadnę się do Colemanów i zostawię jej butelkę farby do włosów na schodach.

GERTRUDE WATERHOUSE

Nie miałam serca odmówić Maude. To straszne, że nie może nawet poprosić matki, żeby ją gdzieś zabrała. Chciałam dowiedzieć się, dlaczego nie poprosi jej sama, ale zrobiła tak żalospną minę, że obiecałam pomóc i tak to zostawiłam. Obawiam się jednak, że nie na wiele się przydam, chociaż samo wyjście wydaje się banalne. Nigdy nie miałam żadnego wpływu na Kitty Coleman, a skoro nawet Maude nie chce jej przekonywać, nie wiem, jak mnie mogłoby się to udać.

Mimo to zjrziałam do Colemanów następnego dnia rano, kiedy dziewczynki były w szkole. Gdy tylko zobaczyłam Kitty, poczułam wyrzuty sumienia, że nie wybrałam się do nich wcześniej. Wyglądała okropnie — wychudła i pobladła, ze zmatowiałymi włosami. To takie dziwne widzieć bez siły kogoś niegdyś tak pełnego życia. Gdybym była bardziej mściwa, być może ucieszyłabym się na widok jej poniżenia. Ale poczułam tylko ukłucie w sercu. Nawet ścisnęłam jej dłoń, co ją zaskoczyło, chociaż mi jej nie wyrwała. Jej skóra była lodowata.

— Ależ musi pani być zimno?! — wykrzyknęłam.

— Naprawdę? — spytała roztargniona.

Wzięłam z kanapy narzutę z żółtego jedwabiu i owinęłam nią Kitty.

— Bardzo pani współczuję z powodu choroby — dodałam.

— Czy ktoś mówił, że byłam chora?

— Och, tak... — Zaczęłam tracić głowę. — Maude wspominała, że miała pani zapalenie płuc jakiś czas temu.

To chyba było prawdą, chociaż zachowanie Kitty Coleman wcale na to nie wskazywało.

— Tak właśnie powiedziała? — spytała.

Zacząłam się już zastanawiać, czy odpowie na jakiegokolwiek pytanie, ale ona w końcu tylko wzruszyła ramionami.

— No tak, to zupełnie wystarczy — mruknęła, co zupełnie nie miało sensu, ale nie chciałam z nią o tym mówić.

Zadzwoiła, ale w drzwiach stanęła jakaś inna służąca. Kitty patrzyła na nią tak, jakby nie wiedziała, o co jej chodzi. Dziewczyna też patrzyła na nią niewidzącym wzrokiem.

— Być może chce pani napić się herbaty — podsunęłam.

— Tak — zgodziła się Kitty. — To dobry pomysł. Kiedy dziewczyna wyszła, znowu się do niej zwróciłam:

— Czy była pani ostatnio u lekarza?

— Po co?

— Żeby ustalić sposób rekonwalescencji. Być może powinna pani brać coś na wzmocnienie albo wyjechać do uzdrowiska.

— Próbowałam znaleźć jakieś wyjście z jej sytuacji, chociaż w głowie miałam tylko fragmenty powieści, których bohaterki jeździły do wód w Niemczech albo na południu Francji.

— Lekarz powiedział, że muszę dużo jeść i chodzić po świeżym powietrzu — powtórzyła jak automat.

Wyglądała tak, jakby prawie nie jadła, i wątpię, żeby wychodziła z domu.

— Właśnie o tym chciałam z panią porozmawiać. Mam zamiar pójść z dziewczynkami na otwarcie nowej biblioteki w naszej dzielnicy. Może dołączy pani do nas razem z Maude? Mogłybyśmy się później wybrać na herbatę do Waterlow Park.

— Czułam się trochę głupio, bo wyglądało to tak, jakbym proponowała jej wyprawę na Antarktydę.

— Sama nie wiem — westchnęła. — To tak daleko.

— Biblioteka jest dosyć blisko — rzuciłam. — A na herbatę nie musimy iść na wzgórze. Możemy znaleźć coś bliżej. Albo może wstąpi pani do mnie.

Kitty nigdy u mnie nie była. Nie chciałam jej zapraszać do mojego ciasnego salonu, ale czułam, że teraz muszę to zrobić.

— Ja nie...

Czekałam, aż skończy, ale ona zamilkła. Coś się z nią stało
— wyglądała jak owieczka, która zgubiła drogę. Nie odpowiadała mi rolą pasterza, ale wiedziałam, że skoro Bóg mi ją wyznaczył, nie powinnam osądzać Kilty. Znowu wzięłam ją za rękę.

— Co się stało? Co się z panią dzieje?

Spojrzała na mnie. Oczy pociemniały jej jeszcze bardziej i miałam wrażenie, że patrzę w studnię.

— Całe życie czekałam, że coś się zdarzy — powiedziała.

— I teraz zrozumiałam, że na próżno. A może już się to stało, a ja to przegapiłam. Sama nie wiem, co gorsze — przegapić coś czy wiedzieć, że nie ma nic do przegapienia?

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Zupełnie jej nie rozumiałam.

Musiałam jednak coś odpowiedzieć.

— Myślę, że szczęście się do pani uśmiechnęło — rzekłam, sztywniejąc.

— Ma pani dobrego męża, miłą córkę i śliczny dom z ogrodem. Nie brakuje pani jedzenia. Wielu mogłoby pani pozazdrościć takiego życia.

— Ale nie ja, dodałam w duchu.

— Tak, ale... — Kitty znowu urwała, przyglądając mi się uważniej, jakby czegoś szukała. Nie znalazła tego i wbiła wzrok w podłogę.

Puściłam jej dłoń.

— Przyślę pani miksturę, którą moja matka dawała mi, kiedy się kiepsko czułam. Składa się z brandy, żółtka i odrobiny cukru. Jestem pewna, że to pomoże. I czy ma pani brylantynę? Wystarczy posmarować nieco szczotkę, a włosy zaraz nabiorą blasku. I proszę pójść z nami we czwartek do tej biblioteki. — Kitty otworzyła usta, ale udało mi się ją zagadać. — Nalegam. Maude się na pewno ucieszy, bo bardzo pragnie się tam z panią wybrać. Chyba nie chce jej pani rozczarować. To taka dobra dziewczynka i najlepsza uczennica w klasie.

— Naprawdę?

Chyba musi wiedzieć, jak idzie jej córce w szkole!

— Przyjdziemy po panią o pół do trzeciej. Świeże powietrze dobrze pani zrobi.

Wstałam i włożyłam rękawiczki, zanim zdążyła zaprotesto-

wać. Nie czekałam nawet na herbatę (ich dziewczyna jest taka wolna), ale od razu wyszłam.

Po raz pierwszy od kiedy poznałam Kitty Coleman, to ja nadawałam ton naszemu spotkaniu. Zamiast ucieszyć się z tej władzy, poczułam się okropnie.

Nikt nie powiedział, że chrześcijańskie miłosierdzie jest łatwe.

MAUDE COLEMAN

-Nie mam pojęcia, dlaczego Lavinia tak bardzo chciała pójść na otwarcie biblioteki. Uznała też, że sprawi mi to ogromną przyjemność, ale pomyliła funkcję z wydarzeniem. Oczywiście cieszę się, że będziemy mieli w pobliżu bibliotekę, ale bardziej interesuje mnie pożyczanie książek niż uroczystość otwarcia. A Lavinia odwrotnie — zawsze bardziej lubiła przyjęcia, ale nie może wysiedzieć spokojnie paru minut w czytelni. Nawet specjalnie nie przepada za książkami, chociaż oczywiście lubi Dickensa i obie z matką czytają na głos sir Waltera Scotta. A poza tym zna na pamięć wiersze — *Panią z Shalott* Tennysona i *La Belle Dame sans Merci* Keatsa.

Jednak zgodziłam się pójść, żeby jej zrobić przyjemność, a pani Waterhouse namówiła mamę, żeby poszła z nami — wyjdzie z domu po raz pierwszy, od kiedy zachorowała. Chciałabym, żeby włożyła coś weselszego — ma przecież tyle pięknych sukni i kapeluszy — ale mama wybrała brązowy strój i czarny kapelusz z trzema rozetkami. Wyglądała wyjątkowo żałośnie w kolorowym tłumie. Ale przynajmniej poszła — już sam spacer z nią sprawił mi przyjemność.

Mam wrażenie, że nie wiedziała, gdzie znajduje się nowa biblioteka. Oboje z tatą chodziliśmy tam dość często, żeby obserwować postępy robót, ale mama siedziała w domu. Kiedy jednak skręciliśmy ze Swain's Lane w Chester Road, wydała się bardzo poruszona widokiem cmentarnego muru, który graniczy z południową częścią ulicy. Nawet mocniej ścisnęła moje ramię.

— W porządku, mamó. Przecież tam nie idziemy — powiedziałam, sama nie wiedząc czemu.

Rozluźniła się nieco, chociaż wciąż trzymała mnie pod ramię

aż do chwili, kiedy minęliśmy południową bramę cmentarza i dołączyliśmy do tłumu przed biblioteką.

Biblioteka jest bardzo ładna, zrobiona z cegły i zdobiona brunatnym kamieniem, z czterema kolumnami korynckimi przy wejściu i łukowato zakończonymi oknami po bokach. Na uroczystość otwarcia fronton udekorowano białym sukniem, a na schodach ustawiono niewielką mównicę. Po chodniku kręciło się wielu ludzi, niektórzy stali aż na ulicy. Dzień był wietrzny, więc płótno mocno łopotało, a w powietrzu co jakiś czas unosiły się meloniki, damskie kapelusze lub kwiaty.

Wkrótce zaczęło się pierwsze przemówienie. Jakiś mężczyzna wyszedł na mównicę i powiedział:

— Witam szanowne panie i panów. Jako przewodniczący Komitetu Edukacyjno-Bibliotecznego dzielnicy St Pancras mam ogromną przyjemność powitać państwa na otwarciu bezpłatnej biblioteki w naszej dzielnicy. Jest to pierwszy krok na drodze wytyczonej przez najnowszą *Ustawę o bibliotekach publicznych*. — Zrobił pauzę. — Jesteśmy szczególnie wdzięczni naszemu byłemu burmistrzowi i obecnemu członkowi parlamentu, panu Aldermanowi T.H.W. Idrisowi, za jego wysiłki, w wyniku których pan Andrew Carnegie z Pittsburgha w Stanach Zjednoczonych przekazał na ten cel kwotę czterdziestu tysięcy funtów... W tym momencie poczułam, że ktoś mnie trąca łokciem.

— Popatrz! — syknęła Lavinia.

Wskazała palcem kondukt żałobny, który ciągnął Chester Road.

Przewodniczący na mównicy zamilkł, panowie zdjęli kapelusze, a panie lekko skłoniły głowy. Ja też tak zrobiłam, ale patrzyłam jednocześnie przed siebie. Naliczyłam pięć dorożek za powozem z trumną. A potem powiał mocny wiatr i kobiety chwyciły za kapelusze. We trójkę z Lavinią i Ivy May miałyśmy na głowach nasze szkolne czapki, które zwykle dobrze się trzymają, ale Lavinia ściągnęła swoją do tyłu tak, jakby to zrobił wiatr, a potem odrzuciła głowę do tyłu. Jestem pewna, że zrobiła to tylko po to, żeby pochwalić się lokami.

Przedstawiciele zakładu pogrzebowego idący obok trumny musieli przytrzymywać cylindry rękami. Ale i tak jeden zwiąło, więc mężczyzna w długim, czarnym surducie puścił się za nim w pogoń. Czarne pióra na końskich głowach rozkołysały się na wietrze, a jedno ze zwierząt zarżało i cofnęło się, czując podmuch wprost na nozdrzach. Woźnica musiał strzelić z bata, co wywołało jęki niektórych pań. Kondukt zatrzymał się. Mama zadrżała i ścisnęła moje ramię.

Wiatr obluzował też płótno przed biblioteką i następny jego podmuch uniósł je w powietrze. Materiał poszybował nad naszymi głowami i zatańczył nad żałobnikami, a następnie opadł na wóz z trumną. Ludzie w tłumie wstrzymali oddech — Lavinia oczywiście krzyknęła — a nerwowy koń znowu się cofnął.

Było to bardzo zaskakujące, ale ponad okrzykami, wyciem wiatru i końskim rżeniem unosił się kobiecy śmiech. Rozejrzałam się dookoła i zobaczyłam ją tuż obok tłumy, ubraną na białą, z koronkami, które furkotały na wietrze, przez co wyglądała jak ptak. Jej śmiech nie był głośny, ale przenikał przez wszystko, jak głos ulicznego handlarza.

Pan Jackson pojawił się w cmentarnej bramie i szybko podbiegł do wozu, żeby ściągnąć z niego białe płótno.

— Jedź! — krzyknął. — Prędko! Zanim konie poniosą. Podbiegł do bramy i otworzył ją, dając znaki woźnicy. Po

tym jak ostatni powóz wjechał na cmentarz, zamknął bramę, wziął płótno i zaczął je zwijać, wodząc wzrokiem po tłumie. W pewnym momencie zobaczył mamę i znieruchomiał. Mama podskoczyła, jakby uderzył ją z tyłu, i puściła moje ramię.

Następnie przewodniczący zszedł z mównicy i podszedł do niego, by odebrać płótno. Pan Jackson musiał na niego spojrzeć, a mama nagle się zachwiała. Znowu powiał wiatr, a mama wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć. Kobieta, która się śmiała, podskoczyła do niej i podtrzymała ją pewnie.

— Niezłe przedstawienie, prawda? — Znowu się zaśmiała. — A przecież ceremonia dopiero się zaczęła.

Była niska, niższa od mamy, ale wysunęła ramiona do tyłu

tak, że dodawało jej to pewności siebie. Miała duże, brązowe oczy, które przykuwały uwagę i których spojrzenia nie dało się uniknąć. Kiedy się uśmiechała, odsłaniała ząb z boku, co przypominało mi obnażające zęby konie. Od razu wiedziałam, że jej nie polubię.

— Jestem Caroline Black — przedstawiła się, wyciągając dłoń.

Mama patrzyła na nią przez chwilę i dopiero potem wyciągnęła swoją.

— Kitty Coleman — powiedziała.

Z przerażeniem uświadomiłam sobie, że znam to nazwisko, chociaż mama sprawiała takie wrażenie, jakby nic jej ono nie mówiło. Caroline Black była sufrażystką, która walczyła z mężczyznami o prawo głosu dla kobiet i słała w tej sprawie listy do naszej lokalnej gazety.

Tata jest szczególnie cięty na sufrażystki. Twierdzi, że już sama ich nazwa przypomina technikę bandażowania powstałą w czasie wojny krymskiej. Sufrażystki wypisywały kredą miejsca i daty swoich spotkań koło naszego domu i tata groził im — być może nawet samej Caroline Black — że wyleje na nie kubel zimnej wody.

Przewodniczący powrócił do swojego przemówienia;

— ...Komitet zapewnia, że każdy mieszkaniec St Pancras, niezależnie od pochodzenia i bez żadnych opłat, będzie mógł wejść do biblioteki, by móc się cieszyć bogactwem zgromadzonych tu skarbów literatury.

Tłum zaczął klaskać. Jednak Caroline Black stała nieporuszona, mama też nie klaskała. Obejrzałam się na Lavinie, ale nie mogłam jej dostrzec. Pani Waterhouse i Ivy May stały tuż obok i mój wzrok powędrował za spojrzeniem Ivy May.

Wtedy zobaczyłam Lavinie. Stała przy bramie cmentarza. Kiedy zauważyła mnie, kiwnęła i pokazała, że cmentarna brama daje się otworzyć. Zawahałam się — nie chciałam zostawić mamy samej z Caroline Black. Chociaż z drugiej strony, przemówienie było nudne, jak zresztą przypuszczałam, a cmentarz

znacznie bardziej interesujący. Zrobiłam pierwszy krok w stronę Lavinii. — To wszystko bardzo piękne, panie Ashby — zawołała nagle Caroline Black, a ja zamarłam. — Ja też popieram powszechny dostęp do literatury i edukacji- Ale czy naprawdę wolno nam się z tego cieszyć, kiedy połowa społeczeństwa nie może wykorzystać tego w tak ważnej dla kraju kwestii?! Jeśli kobiety nie mogą głosować, to po co czytać książki?! Kiedy tak mówiła, tłum cofnął się trochę, więc została sama ze mną i moją mamą.

Pan Ashby próbował jej przerwać, ale Caroline Black ciągnęła czystym, spokojnym głosem, który niósł się daleko:

— Jestem pewna, że nasz przedstawiciel w parlamencie, pan Dickinson, zgodziłby się ze mną, że sprawa bibliotek i dostępu do wiedzy wiąże się z prawem do głosowania. Ma on nawet przedstawić projekt uchwały dotyczącej tego prawa. Zwracam się do was — zatoczyła krąg ręką— ludzi, którym leży na sercu sprawa dostępu do literatury. Za każdym razem, kiedy będziecie wchodzić do tej biblioteki, pamiętajcie, że albo wy, albo wasze żony i siostry nie mają prawa do wybrania własnych przedstawicieli. Można jednak coś zrobić w tej sprawie. Przychodźcie na spotkania miejscowego SPUK w każdy wtorek o godzinie szesnastej w Birch Cottage na West Hill przy Highgate. Prawo głosu dla kobiet! — Skłoniła się lekko, jakby w podziękowaniu za oklaski, które tylko ona słyszała, a potem cofnęła się, zostawiając mnie i mamę na środku.

Wszyscy patrzyli na nas zaciekawieni, zastanawiając się pewnie, czy też jesteśmy sufrażystkami. Tylko pani Waterhouse posłała nam pełne współczucia, ale i strachu spojrzenie. Ivy May patrzyła na matkę. Moja mama śledziła wzrokiem Caroline Black i uśmiechała się po raz pierwszy od paru miesięcy.

Spojrzałam w stronę cmentarnej bramy, ale Lavinii już tam nie było. A potem zauważyłam ją na cmentarzu, jednak po chwili zniknęła wśród grobów.

KITTY COLEMAN

Jej śmiech brzmiał jak sygnał trąbki. Poczułam mrowienie na plecach i otworzyłam szeroko oczy. Myślałam, że będzie to kolejny mglisty, nieciekawych dzień, ale kiedy szukałam tej, która się śmiała, odkryłam, że mamy jesienną pogodę, słoneczną i rześką, którą uwielbiałam w dzieciństwie. Chciałam wtedy jeść jabłka i idąc, kopać zeschnięte liście. A potem zobaczyłam Johna Jacksona przy bramie, więc starałam się nie ruszać, żeby mnie nie zauważył. Ale on i tak mnie dostrzegł. Wiele razy usiłowałam wejść na wzgórze, żeby mu wszystko wytłumaczyć, tylko mi się nie udawało. Myślę jednak, że zrozumiał — on wiele rozumie. Znowu usłyszałam ten śmiech — tuż obok. Caroline wzięła mnie za ramię i wiedziałam, że od tej pory wszystko się zmieni.

SIMON FIELD

Stoję w grobie na tmmhie, kiedy przychodzi. Żałobnicy odeszli przed chwilą, a ja usypuje ziemię wokół trumny. A potem odbijam najniższe wzmocnienia, które nasz tatko i Joe wyciongnę na linach. Grób jest głęboki na dwanaście stóp. Nasz tatko i Joe śpiewają:

Jest moja damo, Jest moja damo ukochano. Nie tako, co to wzdycha marzy, Ale królowo la Laguna.

Przerywają, ale ja podejmuje:

Wiem, że mnie lubi, Wiem, że lubi,

Bo mi to mówi, ciongle mówi. Lilia i róża la Laguna, To moja lilia, moja róża.

A potem patrzę w górę i widzę roześmiano Livy.

— Kurde, Livy, co tutaj robisz? — pytam. Potrzonę głową i wzrusza ramionami.

— Uważaj, łobuziaku. Nie powinieneś mówić „kurde”.

— Przepraszam.

— A teraz do ciebie zejść.

— Nie, nie możesz.

— Mogę. — Odwraca się do naszego tatki. — Pomoże mi pan?

— O nie, panienko. Proszę tam nie schodzić. To nie miejsce

dla takich osób. Poza tym zabrudzi panienska tam swojo śliczno sukienkę i butki.

— Nie szkodzi. Dam je do czyszczenia. Jak tam sie schodzi? Po drabinie?

— Nie, nie po drabinie — mówi nasz tatko. — Przy głembokich grobach jak ten mamy drewniane wzmocnienia co stopę lub dwie. Ale niech panienska po nich nie schodzi — mówi, ale już za późno, bo Lavinia zaczyna zsuwać sie w dół. Widzę tylko jej dwie nogi wystajonce ze spódnicy i halek.

— Nie schodź, Livy — mówię, chociaź chce czego innego. Robi to tak, jakby całe życie wspinała sie po wzmocnieniach. A potem staje ze mno na trumnie.

— No i co? — pyta. — Cieszysz sie, że zesłam?

— Jasne.

Livy rozglonda sie dookoła i drży na całym cieie.

— Tak tu zimno. I wszendzie pełno błota!

— A czego sie spodziewałaś? Przecieź to grób. Livy skrobie bucikiem w ubłocono trumnę.

— Kto tu leży? Wzruszam ramionami.

— Nie wiem. Tatko, kto jest w tej trumnie? — wołam do góry.

— Nie, niech zgadnę — mówi Livy. — To mała dziewczynka, która zmarła na zapalenie płuc. Albo menźczyzna, który próbował wyciongnąć swego psa ze stawu na Heath. Albo...

— To jakiś staruszek! — krzyczy nasz tatko. — Umarł normalnie.

Nasz tatko lubi wiedzieć coś o tych, których chowamy. Dlatego czensto słucha rozmów żałobników. Livy wyglonda na rozczarowano.

— Chyba sie położę—mówi.

— Nie powinnaś tego robić. Sama mówiłaś, że pełno tu błota.

Nie słucha. Siada na trumnie, a potem sie na niej kładzie, a jej włosy opadajo w błoto.

— Teraz — mówi, krzyżując ręce na piersiach, jakby umarła. Patrzy w niebo.

Nie chce mi się wierzyć, że błoto jej nie przeszkadza. Może ma jakiś wariacki atak.

— Nie rób tak, Livy. Wstań.

Ciongle leży z zamkniętymi oczami, a ja na nią patrzę. To dziwne widzieć coś tak ładnego w błocie. Ma takie usta, że myślę o czekoladkach, które kiedyś dostałem od Maude. Ciekawe, czy jej usta też tak smakują.

— Gdzie jest Maude? — pytam, żeby przestać o tym myśleć.

Livy krzywi się, ale nie otwiera oczu.

— Z matką, koło biblioteki.

— Pani Coleman wyszła z domu?

Nie powinienem był nic mówić, a tym bardziej okazywać zdziwienia.

Livy otwiera oczy jak ożywiony nieboszczyk.

— Co wiesz o matce Maude?

— Nic — mówię szybko. — Tyle że była chora. To wszystko.

Powiedziałem to za szybko. Livy to zauważa. Zabawne — nie jest jak Ivy May, która wszystko widzi, ale kiedy chce, dużo rozumie.

— Pani Coleman chorowała ponad dwa miesiące temu — mówi. —

Okropnie wygląda, ale mam wrażenie, że chodzi o coś jeszcze. Po prostu wiem, że tak jest. — Siada. — I ty też to wiesz.

Przestępuje z nogi na nogę.

— Nic nie wiem.

— Wiesz. — Livy uśmiecha się. — Nie umiesz kłamać, Simon. Co wiesz o matce Maude?

— Nie powiem.

Livy robi zadowolono minę, a ja żałuję, że się wygadałem.

— Wiedziałam, że coś z nią jest — mówi. — I wiem, że wszystkiego się od ciebie dowiem.

— Niby czemu miałbym ci powiedzieć?

— Bo pozwolę ci się pocałować.

Patrzę na jej usta. Oblizwała je właśnie i błyszczo jak liście po deszczu. Złapała mnie. Przysuwam się do niej, ale ona się cofa.

— Najpierw powiedz.

Potrzonsam głowo. Nie chce tego mówić, ale jej nie ufam. Musze jo pocałować, zanim cokolwiek powiem.

— Powiem później.

— Nie, później pocałunek.

Znowu potrzonsam głowo, a Livy widzi, że nie żartuje. Znowu kładzie się w błocie.

— No dobrze, ale musze udawać, że jestem Śpionco Królewno, a ty ksienciem, który mnie budzi. — Znowu zamyka oczy i krzyżuje rence na piersi jak zmarła.

Patrzę w górę. Naszego tatki tam nie ma — pewnie siadł sobie gdzieś z butelko. Nie wiem, ile to potrwa, wienc klenkam i przyciskam usta do jej ust. Livy nie rusza się. Ma mięńkie wargi. Dotykam ich jenzykiem — nie smakują jak czekoladki, so słone. Cofam się, a Livy otwiera oczy.

Patrzymy na siebie, ale nic nie mówimy. Livy trochę się uśmiecha.

— Pospiesz się, synu — krzyczy z góry nasz tatko. — Mamy jeszcze jeden grób do wykopania.

Pochyla się nad nami, jakby miał wpaść do dziury. Nie wiem, czy widział pocałunek — nic nie mówi.

— Pomóc panience? — pyta.

Nie chce, żeby schodził do mnie i Livy. Trzy osoby w grobie to za dużo.

— Nie trzeba! — krzyczę. — Ja jej pomogę.

— Sama wyjdę, jak Simon odpowie na moje pytanie — mówi Livy.

Tatko wyglonda tak, jakby chciał zejść, wienc szepcze jak najprendzej:

— Pani Coleman była u naszej mamy.

— Co? Żeby wam pomóc?

— Kto mówi, że potrzebujemy pomocy? Livy milczy.

— Chodziło o interesy, a nie o pomoc.
— Twoja mama jest położno, prawda?
— Tak, ale...
— Czy to znaczy, że ma jeszcze jedno dziecko? — Jej oczy robio się wielkie. — I ktoś ukrywa brata albo siostrę Maude? To takie ciekawe. Wolałabym, żeby to był brat!
— Nie, nic takiego — mówię szybko. — Maude nie ma rodzeństwa. Chodziło o to, żeby pozbyć się dziecka, zanim się urodzi. Inaczej byłoby benkartem, rozumiesz?
— Och! — Livy siada i patrzy na mnie wielkimi oczami. Żałuje, że jej to wszystko powiedziałem. Niektórzy ludzie nie powinni wiedzieć za dużo o życiu.
— Och! — powtarza i zaczyna płakać. A potem kładzie się w błocie.
— Nie przejmuj się, Livy. Nasza mama bardzo uważała. Ale trzeba czasu, żeby potem dojść do siebie.
— Co mam powiedzieć Maude? — szłocha.
— Nic jej nie mów — przekonuje, nie chcąc, żeby sprawa jeszcze bardziej się rozniosła. — Ona nie potrzebuje wiedzieć.
— Ale przecież teraz nie będzie mogła mieszkać z matką.
— Czemu nie?
— Może się przenieść do nas. Zapytam *Maman*. Jestem pewna, że się zgodzi, zwłaszcza jak się wszystkiego dowie. — Livy przestała płakać.
— Nic jej nie mów — nalegam.
A potem słyszę krzyk i patrzę w górę. Nad nami stoi pani Waterhouse, a Maude zagląda jej przez ramię. Ivy May stoi sama po drugiej stronie grobu.
— Lavinio, dlaczego tam leżysz?! — krzyczy jej matka. — Wychodź natychmiast!
— Och, *Maman*. — Livy mówi spokojnie, jakby wcale nie płakała. Siada na trumnie. — Szukałaś mnie?
Matka Livy pada na kolana i zaczyna płakać. Nie tak cicho jak jej córka, ale jency przy tym i wzdycha.
— Wszystko w porządku, pani Waterhouse — pociesza ją

Maude. — Przecież Lavinii nic się nie stało. Zaraz stamtąd wyjdzie, prawda, Lavinio? — Patrzy na nas.

Livy uśmiecha się dziwnie i wiem, że myśli ojej mamie.

— Nie waż się jej powiedzieć — szepcze do niej.

Livy nic nie mówi i nie patrzy na mnie. Po prostu wspina się szybko po wzmocnieniach i znika, zanim zdążę coś dodać.

Ivy May rzuca grudkę błota do mojego grobu. Ta pada mi tuż pod nogi.

Robi się cicho, kiedy odchodzi. Zaczynam przesuwać błoto w wolne miejsca przy trumnie.

Nasz tatko siada na krawędzi grobu i zwiesza nogi do środka. Czuć od niego butelko.

— Pomożesz mi, tatko, czy co? — pytam. — Możesz przystawić już skrzynie na ziemię.

Nasz tatko potrzonsa głowo.

— Nic nie będzie z całowania takich panienek — mówi. Wienc widział.

— Czemu nie? — pytam.

Nasz tatko znowu potrzonsa głowo.

— One nie dla ciebie, synu. Przecież sam to wiesz. Lubio cie, bo jesteś inny. Czasami nawet pozwoli ci się pocałować, ale to wszystko.

— Nie potrzebuje niczego wiecej. Nasz tatko zaczyna się śmiać.

— Jasne, synu. Jasne.

— Cicho, tatko. Tylko cicho.

Wracam do pracy — to łatwiejsze niż ta rozmowa.

LAVINIA WATERHOUSE

W końcu podjęłam decyzję.

Czułam się źle, od kiedy Simon mi powiedział. Mama myśli, że przeziębiam się w grobie, ale nie o to chodzi. Cierpię z powodu Moralnej Odrazy. Nawet pocałunek Simona — o którym nikomu nie powiem — nie był mi w stanie osłodzić tego, co poczułam na wieść o Kitty Coleman. Kiedy wychodziłyśmy z cmentarza, prawie nie mogłam patrzeć na Maude. Wiedziałam, że jest na mnie zła, ale rzeczywiście było mi niedobrze i nie mogłam mówić. Potem wróciliśmy do biblioteki i poczułam się jeszcze gorzej na widok jej matki. Na szczęście nie zwracała na mnie uwagi — wpadła w szpony kobiety, która, jak poinformowała nas Maude, jest miejscową sufrażystką. (Nie rozumiem, o co ten cały szum. Polityka jest nudna. I po co kobiety w ogóle miałyby głosować?) Szły razem, rozmawiając tak, jakby znały się od dawna, i nie zwracały na mnie uwagi, co bardzo mi odpowiadało. To tylko świadczy, jak bezwstydna jest matka Maude.

Od tej pory gorzej układa mi się z samą Maude. Poza tym przez jakiś czas czułam się zbyt źle, żebysię z nią spotykać czy chodzić do szkoły. Wiem, że Maude uważa, że udaję, ale ten ciężar naprawdę przygniatał mnie do ziemi. Później na szczęście były ferie i wyjechała do ciotki do Lincolnshire, więc przez jakiś czas jej nie widziałam. Czuję się słabo, gdy tylko pomyślę o sekrecie, który ukrywam.

Nic nie mówiłam *Mamon* — nic chcę jej przerazić. Bardzo lubię *Maman*, *Papa*, a nawet Ivy May. W przeciwieństwie do mnie to prości ludzie, ale przynajmniej wiem, że uczciwi. Nasz dom nie jest Domem Sekretów.

Muszę coś zrobić. Nie mogę pozwolić, by zepsucie rodziny Colemanów zbrukało też Maude. Więc po trzech tygodniach wnikania w tajnie mej duszy usiadłam po południu w swoim pokoju i napisałam innym charakterem pisma taki oto list:

Szanowny Panie Coleman!

Chrześcijański obowiązek nakazuje mi poinformować Pana o

Nieprzystojnym Prowadzeniu Się Pańskiej żony. Powinien Pan zapytać ją o prawdziwy powód jej choroby i tuszę, iż będzie Pan wstrząśnięty.

Piszę, gdyż troskam się o dobro Pańskiej córki, panny Maude Coleman.

Pragnę, aby nie dotknęło jej to, co stało się w Pańskim domu.

Z szacunkiem, Anonim

Zakradnę się dziś wieczorem i włożę ten list pod ich drzwi. Wtedy poczuję się lepiej.

LISTOPAD 1906 ROKU

JENNY WHITBY

Po pierwsze, dom był strasznie zapuszczony. Musiałam wysprzątać go od dołu aż do góry i z powrotem. Jedyna dobra rzecz to to, że w nawale roboty nie musiałam się martwić o Jacka. A poza tym pani Baker ucieszyła się na mój widok. Pewnie miała już dość tych leniwych pokojówek, które mnie zastępowały.

Potem miałam problemy z cycami. Co pare godzin wzbierały i lały się z nich mleko. Musiałam zrobić sobie wkładki i ciongle je zmieniać, a i tak przeciekały. Na szczęście pani nic nie zauważyła — zreszto i tak nie zwracała na nic uwagi. Ale to się zdarzyło też, kiedy sprzątałam kominek w pokoju panienki. Podeszła, a ja cała usmolona przycisnęłam do piersi pościel i szybko ją przeprosiłam. Spojrzała na mnie dziwnie, ale nic nie powiedziała. Jest tak zadowolona, że wróciłam, że nie będzie narzekać. Nie mam pojęcia, ile się domyśla — pani Baker uważa, że niewiele i że ciongle jest niewinna. Jednak sama nie wiem — czasami patrzy tak dziwnie na mnie albo na swoją matkę. Myślę wtedy, że wcale nie jest głupia.

Ale najdziwniejsza jest pani Coleman. Przyszłam tu z bijącym sercem, bojąc się ponownego spotkania. Myślałam, że będzie się czuła przy mnie niezręcznie. Jednak kiedy mnie zobaczyła, ścisnęła mnie za rękę. — Tak miło znowu cię widzieć, Jenny — powiedziała. — Chodź szybko do środka.

Zaprowadziła mnie do saloniku, gdzie siedziała ta panna Black. Ona też podskoczyła i uścisnęła moją rękę.

— Jenny to nasz skarb — powiedziała pani. Zaczerwieniłam się, myśląc, że się ze mną drażni. Ale mówiła to szczerze i wyglądało na to, że zapomniała o szantażu.

— Zaniosę swoje rzeczy na górę i zaraz zacznę prace — powiedziałam.

— Rozmawiamy z panną Black o wielkich rzeczach, prawda, Caroline?

— rzuciła pani, jakby mnie nie słyszała. — Myślę, że będziesz nam mogła pomóc.

— Sama nie wiem, pani. Może przyniosę herbaty?

— Powiedz, Jenny —" wtróciła panna Black — co myślisz o prawie głosu dla kobiet?

— Wszystkie możemy mówić, proszę pani — odpowiedziałam ostrożnie, nie bardzo wiedząc, o co jej chodzi.

Zaśmiały się obie, chociaż nie widziałam w tym nic śmiesznego.

— Nie, chodzi mi o głosowanie w wyborach — wyjaśniła panna Black.

— Ale przecież kobiety nie głosują.

— Kobietom nie wolno głosować, chociaż powinny mieć do tego prawo tak jak mężczyźni. Oto właśnie walczymy. Nie wydaje ci się, że powinnaś móc wybierać swoich przedstawicieli, jak twój ojciec, brat czy mąż?

— Nie mam ani ojca, ani brata, ani męża. — Nie wspomniałam syna.

— Ależ, Jenny, walczymy o twoje prawa—powiedziała pani.

— To bardzo dobrze. Podać herbatę czy kawę?

— Chyba kawę. A tobie, Caroline?

Ciongle so razem i spiskują przeciwko rzondowi czy coś takiego.

Powinam się cieszyć z powodu pani, bo jest teraz szczęśliwsza. Ale wcale nie jestem zadowolona. Wygląda jak bonk, którego za mocno nakrencono. Wiruje szybko, ale może się zepsuć.

Nie żeby to miało dla mnie teraz jakieś znaczenie — mam inne sprawy na głowie. Jak po raz pierwszy poszłam w sobotę do mamy, rozpłakałam się, kiedy zobaczyłam Jacka. Nie widziałam go tylko pięć dni, a wyglądał jak nie moje dziecko. Wcóż miałam trochę mleka, ale nie chciał ssać — wolał dziewczynę z sąsiedztwa, która go karmi po tym, jak straciła własne dziecko. Znowu płakałam, widząc, jak go trzyma przy cycu.

Sama nie wiem, jak jej zapłacę za te wszystkie miesionce. Szkoda, że nie pomyślałam o tym, kiedy układałam się z panio. Cztery miesionce temu dałaby mi podwyżkę, ale teraz powiedziałyby pewnie, żebym nie nadużywała prawa głosu. Jednej rzeczy się nauczyłam — można szantażować tylko tego, kto się boi. Mam wrażenie, że teraz jest jej wszystko jedno.

Jeszcze inna dziwna rzecz — pani zachowuje się tak, jakby nic się nie stało, ale ktoś jednak o tym pamięta. Ustawiłam właśnie buty przy drzwiach — wyglansowane i gotowe na następnny dzień, kiedy ktoś wepchnął w szparę list adresowany do pana Colemana. Wzięłam go i popatrzyłam. Pismo jakoś dziwnie wyglądało, jakby to pisało bardzo małe dziecko. Otworzyłam drzwi i popatrzyłam. Noc była mglista, ale zobaczyłam panienkę Lavinie skrencajonco za róg.

Nie wyłożyłam listu dla pana, ale wzięłam go na górę. Następnego ranka usiadłam na chwile w kuchni i pokazałam go pani Baker. To zabawne, jak bardzo się zbliżyliśmy po urodzeniu Jacka. Nie mówiłam jej o szantażu, ale chyba się domyśliła. Nie pytała jednak, jak udało mi się odzyskać pracę.

— Po co pisałyby do pana? — zapytałam. — W tym musi być coś niedobrego.

Pani Baker obejrzała list, a następnie podeszła do kotła i otworzyła go nad parą. To w niej lubię — czasami potrafi być nieprzyjemna, ale umie działać.

Przeczytałam nad jej ramieniem. Kiedy skończyliśmy, popatrzyliśmy na siebie.

— Skond ona to wie? — powiedziałam głośno, zanim przyszło mi do głowy, że pani Baker może nie mieć pojęcia o nieszczęściu pani Coleman.

Ale wiedziała. Pani Baker nie jest głupia. Musiała sama wszystkiego się domyślić.

— Niemondra dziewczyna — powiedziała. — Sieje tylko wiatr.

Otworzyła drzwiczki do pieca i list zniknął w płomieniach. Jak mówiłam, potrafi działać.

EDITH COLEMAN

Kiedy otworzyła drzwi, przez chwilę myślałam, że śnię. Wiedziałam jednak, że to nie sen — jestem przecież racjonalną osobą. Oczywiście na twarzy miała ironiczny uśmieszek, żeby pokazać, iż widzi moje zaskoczenie.

— Co tutaj robisz, u licha? — spytałam. — Gdzie jest pokojówka, którą sama zatrudniłam?

Zająłam się prowadzeniem domu w czasie choroby Kitty i wynajmowałam kolejne pokojówki.

— Znów tu pracuje, pani — odpowiedziała ta bezczelna dziewczyna.

— Kto tak twierdzi?

— Proszę najlepiej zapytać moją panią. Czy mogę wziąć płaszcz?

— Nawet nie ruszaj mojego płaszcza. Idź do kuchni, a ja porozmawiam z synową.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i wydawało mi się, że powiedziała: „Proszę bardzo”.

Chciałam jej coś odpowiedzieć, ale się powstrzymałam — to nie z nią miałam porozmawiać. Nie byłoby jej tutaj, gdyby Kitty nie pozwoliła jej wrócić — za moimi plecami i wbrew temu, co zarządziłam.

Weszłam niezapowiedziana do saloniku. Kitty siedziała z panną Black, którą poznałam przy innej okazji. Wcale mi się nie spodobała. Ciągle mówiła tylko o prawie głosu dla kobiet, a mnie wcale nie podoba się ten temat.

Obie wstały, a Kitty podeszła, żeby mnie pocałować na powitanie.

— Pozwolisz, mamó, że wezmę twój płaszcz — powiedziała. — Jenny powinna była zrobić to na dole.

— Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać — rzekłam, nie dając jej płaszcza. Nie wiedziałam, jak długo tu jeszcze zostanę. Żałowałam, że Kitty nie jest sama, bo nie chciałam rozmawiać o Jenny przy obcych.

— Mamo, poznałaś chyba pannę Black, prawda? — powiedziała Kitty. — Caroline, pamiętasz moją teściową, panią Coleman?

— Oczywiście — odparła panna Black. — Miło mi panią znowu widzieć, pani Coleman.

— Może usiądziesz. — Kitty wskazała kanapę. — Jenny przyniosła właśnie herbatę, a pani Baker upiekła ciasteczka.

Usiadłam, czując się dziwnie w płaszczu. One jednak nie zwracały na to uwagi.

— Rozmawialiśmy właśnie z Caroline o Społeczno-Politycznej Unii Kobiet — rzuciła Kitty. — Czy wiesz, że niedawno otwarto jej londyńską siedzibę niedaleko Aldwych? To bardzo wygodne ze względu na prasę, a poza tym możemy mieć większy wpływ na parlament właśnie stąd, a nie z Manchesteru.

— Uważam, że kobiety nie powinny głosować — przerwałam jej. — Niema takiej potrzeby. Ich mężowie mogą to zrobić w ich imieniu.

— Jest wiele niezamężnych kobiet, nie wyłączając mnie, które zasługują na swoją reprezentację — powiedziała panna Black. — Poza tym kobiety nie zawsze mają takie same poglądy jak ich mężowie.

— W każdym dobrym małżeństwie kobieta zgadza się z mężem. Inaczej w ogóle nie powinni decydować się na związek.

— Naprawdę? Czy głosowałabyś tak samo jak twój mąż, Kitty?

— Z całą pewnością zagłosowałabym na konserwatystów.

— A widzi pani, panno Black. Colemanowie zawsze głosowali na konserwatystów.

— Ale tylko dlatego, że konserwatyści najprawdopodobniej poprą ruch sufrażystek — dodała Kitty. — Gdyby kandydaci li-

beralni czy nawet z partii pracy zrobili to samo, głosowałabym na nich. Poczułam się zbulwersowana takim oświadczeniem.

— Nie bądź śmieszna. Na pewno byś tego nie zrobiła.

— Nie interesujęmnie partie polityczne, ale kwestie moralne.

— Wobec tego powinnaś zwrócić uwagę na to, co się dzieje w twoim domu.

— O co ci chodzi, mamo? — spytała, nawet na mnie nie patrząc.

— Skąd tu się wzięła Jenny? Zwolniłam ją w lipcu.

Kitty wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do panny Black, jakby chciała przeprosić za mój nietakt.

— A ja ją znów zatrudniłam w październiku.

— Kitty, zwolniłam ją cztery miesiące temu ze względu na niestosowne prowadzenie. To była nieodwracalna decyzja — ona nie może pracować w tym domu.

Moja synowa w końcu spojrzała mi w oczy, ale wyglądała na niemal znudzoną.

— Poprosiłam Jenny, żeby wróciła, bo jest świetną służącą. Twoje pokojówki były okropne.

Coś mi mówiło, że kłamie, ale nie mogłam zgadnąć, o co chodzi.

— Czy zapomniałaś, co zrobiła? — spytałam.

— Nie, nie zapomniałam — westchnęła. — Po prostu nie sędzę, żeby to było istotne. Mam inne sprawy na głowie i potrzebowałam kogoś, kto mógłby się dobrze zająć domem.

Wyprostowałam się na swoim miejscu.

— To niedopuszczalne — powiedziałam. — Nie możesz trzymać tu dziewczyny, która... — Urwałam i spojrzałam na pannę Black spokojnie przysłuchującą się naszej rozmowie. Nie chciałam niczego owijać w bawełnę, ale wolałam nie prac brudów przy obcych. Nie dokończyłam zdania, wiedząc, że Kitty domyśli się, o co mi chodzi. Dodałam jeszcze:

— Jaki to będzie przykład dla Maude albo mojego syna?

— Nic o tym nie wiedzą. Myślą, że była chora.

— To narusza moralne podstawy tego domu, niezależnie od tego, czy wiedzą o tym, czy nie.

Kitty uśmiechnęła się, co w tej sytuacji uznałam za wysoce nieodpowiednie.

— Ależ, mam — podjęła Kitty — wiesz, że jestem ci wdzięczna, że zajęłaś się domem w czasie mojej choroby. Zachowałaś się wspaniałomyślnie, ale teraz już sama mogę prowadzić własne gospodarstwo. Zdecydowałam, że Jenny może u nas pracować i to wszystko.

— A co na to mój syn?

— Richard w ogóle się tym nie interesuje. Właśnie tego nauczyłam się od ciebie — nigdy nie niepokoić męża sprawami domu.

Zignorowałam tę uwagę, ale dobrze ją sobie zapamiętałam.

— Będę musiała z nim o tym porozmawiać.

— I myślisz, że będzie zadowolony?

— Sądzę, że każdy mężczyzna chce wiedzieć, czy w jego domu nie dzieje się coś niestosownego.

— Zostaniesz na herbatę? — spytała uprzejmie Kitty, chociaż mogło to znaczyć, że spodziewa się, iż chcę już pójść,

Chciałam pójść.

— Nie, dziękuję — powiedziałam, wstając. — Moja noga nie przestąpi progu tego domu, dopóki ona tu będzie. Żegnaj, Kitty.

Obróciłam się na pięcie i wyszłam. Synowa nie pospieszyła za mną.

Ucieszyłam się też, że w przedpokoju nie było tej bezczelnej służącej, bo sama nie wiem, co bym jej powiedziała.

Jedną z niefortunnych konsekwencji mojej nieprzejednanej postawy jest to, że mam teraz poważne dylematy. Nie zależy mi na tym, żeby widywać się z Kitty, ale chciałabym spotykać się z synem i wnuczką. W końcu to nie ich wina, że moja synowa zrobiła się tak niemoralna. Jednak Kitty miała rację — nie powinnam mieszać Richarda w kobiece sprawy.

Mimo to uznałam, że powinien wiedzieć o błędach żony — jeśli nawet nie o Jenny, to przynajmniej o jej przyjaźni z tą po-

dejrzaną panną Black. Zaprosiłam go więc samego pod pretekstem omówienia spraw majątkowych jego zmarłego ojca. Jednak kiedy go zobaczyłam, zrozumiałam, że nie powinnam mówić ani o Jenny, ani o Caroline Black. Nawet po całym dniu pracy promieniał szczęściem.

Wyglądał tak, jak po powrocie z miodowego miesiąca.

Więc o to chodzi, pomyślałam. Znowu wpuściła go do swojej sypialni, żeby móc robić, co jej się żywnie podoba.

Moja synowa wcale nie jest głupia. Bardzo się zmieniła od czasu, kiedy Richard przedstawił mi ją po raz pierwszy. Była wtedy niezdarną dziewczyną z prowincji, która nosiła niemodne suknie. Nie lubię gier i kiedy tak patrzyłam na mojego syna, zrozumiałam, że jest w tym ode mnie lepsza.

RICHARD COLEMAN

W tym roku spędzamy sylwestra w domu.

luty 1907 roku

GERTRUDE WATERHOUSE

Ojej, wróciłam właśnie od Kitty Coleman z potwornym bólem głowy. W styczniu stało się coś, czego zawsze się obawiałam. Kitty Coleman zmieniła dni przyjęć na środy, żeby móc brać udział w jakichś spotkaniach w Highgate we wtorki. (Co, na szczęście, znaczy, że nie będzie przychodzić do mnie!) I teraz czuję się zobligowana, żeby ją odwiedzać. Oczywiście nie co tydzień, ale przynajmniej raz, dwa razy w miesiącu. Udało mi się wymówić od paru pierwszych wizyt. Najpierw mówiłam, że jestem przeziębiona, a potem zasłaniałam się zdrowiem dziewczynek, ale nie mogę tak robić bez końca.

Dzisiaj więc poszłam tam, zabierając Lavinie i Ivy May, żeby mnie wspierały. Kiedy przyszłyśmy, pokój był pełen kobiet. Kitty Coleman przywitała się z nami, a potem uciekła, nikomu nas nie przedstawiając. Muszę przyznać, że to było najgłośniejsze towarzyskie spotkanie, w jakim brałam udział. Wszyscy mówili jednocześnie i nie sędzę, żeby ktokolwiek słuchał. Poza mną, bo ja nadstawiałam uszu, otwierając coraz szerzej oczy. Nie odważyłam się powiedzieć ani słowa. W saloniku pełno było sufrażystek.

Dwie panie omawiały spotkanie, które miało się odbyć w Whitechapel. Jakaś inna pokazywała wszystkim projekt plakatu, na którym kobieta machała z pociągu transparentem z napisem: „Prawo głosu dla kobiet”. Kiedy to zobaczyłam, zwróciłam się do moich córek:

— Lavinio, pomóż przyjaciółce.

Maude podawała herbatę i jej wygląd był doskonałym odzwierciedleniem mojego samopoczucia.

— I nie słuchaj tego, co mówią te panie — dodałam.

Lavinia patrzyła z niechęcią na Kitty Coleman.

— Słyszałaś, co powiedziałam? — zwróciłam się do niej raz jeszcze.

Potrząsnęła głową i wzruszyła ramionami, jakby chciała zrzucić z siebie moje słowa, a potem zrobiła obrażoną minę i ruszyła do Maude.

— Ivy May - powiedziałam — zejźdź, proszę, na dół i spytaj kucharkę, czy nie potrzebuje pomocy.

Ivy May skinęła głową i wyszła. To dobre dziecko. Kobieta obok opowiadała właśnie o tym, jak przemawiała na wiecu w Manchesterze i że rzucano w nią gnijącymi pomidorami.

— Przynajmniej to nie były zgniłe jajka — powiedziała inna i wszystkie wybuchnęły śmiechem.

Prawie wszystkie. Niektóre panie czuły chyba to samo co ja. To musiały być dawne przyjaciółki Kitty, które przyszły tu z nadzieją na miłą rozmowę i doskonale ciasteczka pani Baker.

Jedna z nich, bardziej śmiała, w końcu otworzyła usta.

— O co chodziło na tym wiecu w Manchesterze? Kobieta od pomidorów spojrzała na nią z niedowierzaniem.

— Jak to, o co?! Żeby kobiety miały prawo głosu! Niezorientowana biedaczka sama zrobiła się czerwona jak pomidor. Natychmiast jej pożałowałam, ale na szczęście Caroline Black pospieszyła z pomocą.

— Społeczno-Polityczna Unia Kobiet walczy o ustawę, która dałaby kobietom takie samo prawo głosu, jakie mają mężczyźni — wyjaśniła. — Staramy się zyskać poparcie w całym kraju, zwołując wiece, pisząc do gazet, śląc petycje i wywierając nacisk na parlament. Czy widziała pani biuletyn SPUK? Nie? Proszę wziąć egzemplarz. Tyle się można z niego dowiedzieć. Przy wyjściu może pani złożyć dobrowolny datek na jego dalszą publikację. I po przeczytaniu proszę przekazać go dalej. Taka broszura to potężna broń, kiedy czytają ją kolejne osoby.

Caroline Black była w swoim żywiole. Mówiła tak przekonująco i z taką swadą, że kilka pań rzeczywiście wzięło biuletyn i zostawiło jakieś pieniądze na stoliku przy wyjściu. Wstyd mi

przyznać, aleja też to zrobiłam. Kiedy podsunięto mi te broszury, Caroline Black patrzyła na mnie z tak słodkim uśmiechem, że musiałam wziąć jeden egzemplarz. Nie mogłam jednak ukryć go za kanapą, jak chciałam. Zrobiłam to dopiero w domu.

Kitty Coleman nie zabrała głosu, jak pani Black, ale wciąż była podniecona — oczy jej błyszczały, policzki miała zaczerwienione, jakby była na balu i bez przerwy tańczyła. Nie wyglądała zdrowo.

Wiem, że nie powinnam tego mówić, ale żałuję, że poznała Caroline Black. Zmiana, jaka w niej zaszła, była gwałtowna i z pewnością pozwoliła jej wyrwać się z choroby, ale Kitty do tej pory nie doszła do siebie. Stała się bardzo radykalna. Nie znaczy to, że lubiłam ją w poprzednim wcieleniu, ale wolałabym to niż jej obecny stan. Nawet jeśli nie przyjmuje akurat sufrażystek, to mówi wyłącznie o prawach kobiet, polityce i kobietach, kobietach w dziejach, aż uszy mi puchną. Kupiła sobie bocykl i jeździ nim nawet w czasie deszczu i wiatru, brudząc cały dół sukni, która i tak jest biała od kredy, bo Kitty wypisuje na chodnikach informacje o zebraniach i wiecach. Kiedy widzę ją, jak kuca z kawałkiem kredy w ręce, przechodzę na drugą stronę, udając, że jej nie poznaję. Popołudniami nigdy nie ma jej w domu. Ciągłe chodzi na jakieś spotkania i strasznie zaniedbuje biedną Maude. Czasami myślę o niej jak o trzeciej córce — tak często u nas bywa. Nie, żebym narzekała — Maude pomaga mi w domu, a także Ivy May z lekcjami. Daje dobry przykład Lavinii, która, przykro mi to powiedzieć, zapomina o swoich obowiązkach. To bardzo dziwne, że jedna jest tak miła, choć właściwie pozbawiona opieki, a druga samolubna i niegrzeczna, choć wszyscy jej nadskakują.

Z ulgą opuściłam dom Kitty. Lavinia też chciała jak najszybciej wyjść. Później, w domu, była dla mnie bardzo miła. Powiedziała nawet, żebym poszła się położyć, a sama zajęła się kolacją. Nawet nie mam do niej pretensji o to, że spaliła zupę.

JENNY WHITBY

Jeżu, mam nadzieję, że te przyjęcia długo nie potrważą. Od kiedy pani przeniosła je na środy, dosłownie padam z nóg. Przynajmniej mam Maude do pomocy, chociaż nie wiem, ile to potrwa. Panią całą czas wyglądała tak, jakby chciała uciec z domu, nawet kiedy pojawiła się Lavinia, która dotrzymywała jej towarzystwa.

Ta ciongle mnie śmieszy. Kiedy tu przychodzi, patrzy z gniewem na panią, a kiedy pojawia się pan — obserwuje go z żalem i zdziwieniem. Nic jednak nie powiedziała i nie przynosiła kolejnych listów — bardzo na to uważam. Nie pozwolę jej, żeby zniszczyła tę rodzinę — za bardzo potrzebuje pieniędzy. Jak na razie nie mogę zapłacić za Jacka. A raczej mogę, ale robię coś, co kiedyś było nie do pomyślenia. Podkradam srebrne łyżeczki z kredensu, które pani dostała od swojej matki. Nie używa ich i tylko jaje czasami poleruje. Wiem, że to nie w porządku, ale nie mam wyjścia.

W końcu posłuchałam tych sufrażystek, kiedy przyszłam z ciasteczkami. Chciało mi się splunąć im pod nogi. Ciongle mówił o tym, żeby pomagać kobietom, ale so przy tym bardzo wybredne. Nie walczo o prawo głosu dla mnie, a tylko dla tych kobiet, które mają majontek albo uczyły się na uniwersytecie. Ale ta Caroline Black miała czelność spytać, czy dam cześć swojej zapłaty na „szlachetny cel”. Powiedziałam, że nic nie dam, póki cel nie będzie miał mi nic do zaproponowania.

Byłam tak wściekła, że musiałam opowiedzieć o tym pani Baker przy zmywaniu.

— I co ci odpowiedziała? — spytała.

— O, że mężczyźni nigdy się na to nie zgodzą, że trzeba od czegoś zacząć, a potem walczyć dalej. Ale to tylko taki sposób,

żeby załatwić swoje interesy. Przecież mogłyby walczyć o prawo głosu dla tych kobiet, co pracują... Pani Baker zaśmiała się.

— Przecież nie wiedziałabyś, na kogo głosować. Sama wiesz najlepiej.

— Wiedziałabym! — krzyknęłam. — Nie jestem taka głupia. Na partie pracy, no bo sama pracuję, nie. A nawet na liberałów. Torysi są tacy jak jej mąż i nigdy nie pozwolą kobietom głosować, niezależnie od tego, co mówią.

Pani Baker nic nie powiedziała. Może była zdziwiona, że w ogóle zabieram się do polityki. Prawdę mówione, sama się zdziwiłam. Mam dokoła za dużo sufrażystek i dlatego zaczynam wygadywać bzdury.

Lipiec 1907 roku

MAUDE COLEMAN

-Byłam z tatą w Heath, kiedy to poczułam. Jak zwykle w piątek wybraliśmy się razem i ustawiliśmy teleskop na Parliament Hill. Obejrzeliliśmy kilka gwiazd i czekaliśmy na Marsa. Nie przeszkadzało mi to. Trochę rozmawialiśmy, ale głównie siedzieliśmy, patrząc. Kiedy piłam herbatę z naszego termosu, poczułam tępy ból w dole brzucha, jakbym za bardzo się objadła. A przecież prawie nie tknęłam walijskich grzanek pani Baker, które dostałam na kolację — nigdy nie chce mi się jeść w czasie upałów. Poprawiłam się na składanym krzeselku i starałam się skoncentrować na tym, co mówił tata.

— W czasie niedawnego zebrania Towarzystwa ktoś wspominał, że w tym miesiącu będzie doskonale widać opozycję Marsa — powiedział. — Nie wiem, czy ten teleskop jest dostatecznie silny. Powinniśmy byli pożyczyć jakiś z Towarzystwa, chociaż pewnie jest dzisiaj komuś potrzebny. Będziemy mieli znacznie lepszy widok, kiedy wybudują obserwatorium.

— Jeśli je wybudują — podchwyciłam. Towarzystwo Naukowe Hampstead szukało miejsca w Heath, gdzie mogłoby wznieść obserwatorium astronomiczne, ale wciąż napotykało opory. W tej sprawie co rusz pojawiały się gniewne listy w naszej miejscowej gazecie. Poczulałam swędzenie między nogami — to miejsce zrobiło się mokre, jakbym rozlała herbatę. Nagle zrozumiałam, co się dzieje.

— Och — jęknęłam, zanim zdołałam się powstrzymać. Tata uniósł brwi.

— Nic takiego. To tylko... — Urwałam, krzywiąc się z bólu.

— Nic ci nie jest, Maude?

Ból zrobił się tak silny, że z trudem oddychałam. Ustąpił na chwilę, ale potem znowu się zaczął — jakby ręka ścisnęła mnie co jakiś czas za żołądek.

— Źle się czuję, tato — wyrzuciłam z siebie, kiedy złapałam oddech. — Przepraszam, ale musimy wracać.

Tata zmarszczył brwi.

— Co takiego? Co się dzieje?

Byłam tak zawstydzona, że nie miałam pojęcia, co powiedzieć.

— Ja... ja muszę porozmawiać z mamą. — Natychmiast pożałowałam, że nie wymówiłam się bólem brzucha. Niestety, nie potrafię kłamać.

— Dlaczego...? — Tata urwał. Myślę, że zrozumiał, a przynajmniej nie zadawał więcej pytań. — Zaraz cię odwiozę. — Sięgnął po nakrętkę od teleskopu.

— Mogę pójść sama. To niedaleko, a ty znowu będziesz musiał wszystko ustawiać.

— Nie, odwiozę cię. Nie chcę, żeby moja córka chodziła tu sama po ciemku.

Chciałam mu powiedzieć, że od kiedy mama zaangażowała się w ruch sufrażystek, wszędzie chodzę sama: na cmentarz, do Village, a nawet przez Heath do Hampstead. Czasami towarzyszy mi Lavinia, ale i tak boi się zapuszczać nieco dalej. Jednak wiedziałam, że nie czas na takie rozmowy. Poza tym tata nic nie wie o działalności mamy, która rozmawiała już o prawie głosu dla kobiet ze wszystkimi poza nim i zajmowała się sprawami SPUK wtedy, kiedy nie było go w domu. Pewnie wydawało mu się, że spędza czas jak poprzednio.

Zebraliśmy się w ciszy. Cieszyłam się, że tata nie może widzieć mojej twarzy, bo zrobiłam się cała czerwona. Szłam za nim w dół, ale musiałam przystawać, kiedy ból robił się nieznośny. Tato zachowywał się tak, jakby tego nie dostrzegał — po prostu szedł sobie ścieżką. Kiedy mogłam, biegłam, żeby za nim nadążyć.

Doszliśmy do skraju Heath. Z „Buli and Last” wychodzili właśnie jacyś mężczyźni z piwem.

— Dalej mogę iść sama, tato — powiedziałam. — To już bardzo blisko, a na ulicy jest pełno ludzi. Nic mi się nie stanie.

— Nie opowiadaj głupstw. Tata szedł dalej.

Kiedy dotarliśmy do domu, otworzył drzwi. W holu na stole stała zapalona lampa. Tata chrząknął.

— Mama poszła z wizytą do chorej przyjaciółki, ale Jenny się tobą zajmie.

— Tak. — Stałam odwrócona plecami do ściany na wypadek, gdyby na sukni pojawiła się plama. Spaliłabym się ze wstydu, gdyby tata zobaczył.

— I cóż? — Tato zatrzymał się w drzwiach. — Już wszystko w porządku?

— Tak.

Kiedy zamknął drzwi, wydałam z siebie głuchy odgłos. Uda miałam całe oblepione i otarte. Chciałam się położyć. Jednak najpierw potrzebowałam pomocy. Zapaliłam świecę i poszłam na górę. Zawahałam się na chwilę przy saloniku mamy. Być może jednak tam była i coś czytała.

Spojrzałyby na mnie znad książki i zapytała: „Hej tam, co cię tak wystraszyło?” — jak to czasami robiła.

Otworzyłam drzwi, ale mamy nie było w środku. Ostatnio coraz częściej odnosiłam wrażenie, że salonik nie należy już do mamy, tylko do tych wszystkich kobiet. Wciąż znajdowały się tu dawne jej ślady: musztardowa narzuta na kanapie, flakon z suchymi kwiatami na pianinie, roślinne wzory. Ale przede wszystkim rzucił się w oczy nie dokończony transparent, leżący na kanapie, z napisem: „CZYNY, NIE SŁOWA”, a także cały stos broszur SPUK ułożony na pianinie oraz zeszyty z wycinkami prasowymi na stoliku obok nożyczek, kleju, puszek z kredą, ogłoszeń i różnych list. Tata nigdy tu nie wchodzi. Gdyby to zrobił, byłby bardzo zaskoczony.

Zamknęłam drzwi i wspiąwszy się po schodach, zastukałam do pokoju Jenny.

— Jenny? — zawołałam.

Najpierw nikt mi nie odpowiadał, ale kiedy zastukałam raz jeszcze, usłyszałam mruczenie, a potem Jenny otworzyła drzwi. Na policzku, który dotykał poduszki, miała czerwony ślad. Włożyła tylko długi, biały szlafrok i była bosą.

— Co takiego, panienko? — spytała, trąc oczy. Patrzyłam na jej grube, żółte paznokcie od nóg.

— Potrzebuję pomocy.

— A czy to nie może poczekać do rana? Właśnie zasnąłam, a wstaje wcześniej niż inni.

— Bardzo przepraszam, ale... zaczął mi się period i nie wiem, co robić.

— Co takiego?

Powtórzyłam i zrobiłam się czerwona jak burak.

— O Boże, to okropieństwo — westchnęła Jenny, przyglądając mi się uważnie. — Nie za wcześnie panienka zaczyna? Dwanaście lat... Nawet nie ma panienka cycków!

— Wcale nie jestem taka młoda. Będę miała trzynaście lat za... za osiem miesięcy. — Wiedziałam, że zabrzmiało to głupio i zaczęłam płakać.

Jenny otworzyła szerzej drzwi.

— Nie ma co płakać. — Objęła mnie. — Niech panienka wejdzie. Zaraz to załatwimy.

Pokój Jenny należał kiedyś do niani. Choć byłam tu zaledwie raz czy dwa razy, od kiedy Jenny ją zastąpiła, wciąż wydawał mi się znajomy. Pachniał rozgrzanym ciałem, bawełną i olejkiem kamforowym, jak rozgrzane wytłoczyny, które niania kładła mi na piersi, kiedy byłam przeziębiona. Suknia, fartuch i czepek Jenny wisiały na sznurze. Szczotkę położyła na małym okapie nad paleniskiem, obok zdjęcia przedstawiającego ją z małym dzieckiem. Trzymała je na kolanach w cieniu palmowych liści i miała na sobie swoją najlepszą sukienkę. Oboje z dzieckiem wyglądali na poważnych, jakby nie spodziewali się błysku flesza.

— Kto to? — spytałam. Nigdy nie widziałam tej fotografii. Jenny obciągała właśnie suknię i nawet na mnie nie spojrzała.

— Mój bratanek.

— Nie mówiłaś o nim wcześniej. Jak ma na imię?

— Jack. — Jenny skrzyżowała ręce na piersi. — Czy pani może coś mówić na ten temat panience?

Pokręciłam głową.

— No tak, mogłam się domyślić. Tak jest zajenta ratowaniem kobiet, że nie widzi tych, które ma w domu.

— Wiem, co się dzieje. Czytałam o tym w książkach.

— Ale nie wie panienka, co robić, prawda? A to jest właśnie ważne — co robić. Kogo obchodzi co innego. Nawet mama panienki ciongle powtarza: „Czyny, nie słowa”.

Zmarszczyłam brwi. Jenny zacisnęła usta.

— Przepraszam, panienko — powiedziała. — Pożyczę panience moje, dopóki będzie trzeba.

Uklękła przy małej szafce, w której trzyma swoje rzeczy, i wyjęła z niej długie kawałki materiału oraz dziwny pas, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Pokazała mi, jak się składa materiał, a następnie przymocowuje do pasa. Wyjaśniła też, że zabrudzone ubrania powinnam trzymać w wiaderku ze słoną wodą koło nocnika pod łóżkiem. A potem zeszła na dół, żeby przynieść wiaderko i termofor na bóle. Umyłam się i założyłam materiał. Czułam się tak, jakby moje halki i reformy zwinęły się w walek i utknęły mi między nogami. Przy chodzeniu kołysałam się jak kaczką. Byłam pewna, że wszyscy zauważą, co się stało.

To okropne, że zdarzyło się to przy tacie, ale cieszę się, że nie było z nami Lavinii. Nigdy nie darowałyby mi, że to ja zaczęłam pierwsza. Przecież to ona zawsze była tą ładniejszą i bardziej kobiecą — nawet przed paroma laty ze swoimi lokami i pełną figurą przypominała mi kobiety na obrazach prerafaelitów. Jenny miała rację — jestem płaska, a ubranie wisi na mnie jak na wieszaku. Zawsze uważałyśmy z Lavinią, że to ona pierwsza będzie miała period, pierwsza nałoży gorset, pierwsza wyjdzie za mąż i urodzi dzieci. Czasami mnie to trochę mar-

twiło, ale zwykle czułam tajoną ulgę. Nigdy jej tego nie mówiłam, ale nie wiem, czy chcę wyjść za mąż i mieć dzieci.

Teraz będę musiała ukrywać przed nią ten pas i ból. Nie lubię niczego ukrywać przed najbliższą przyjaciółką, ale ona też nie jest ze mną do końca szczerą. Od kiedy mama związała się z Caroline Black, Lavinia darzy ją szczególną niechęcią, chociaż unika wyjaśnień. Kiedy ją pytam, twierdzi po prostu, że nie znosi sufrażystek, ale wiem, że chodzi o coś jeszcze. Ma to jakiś związek z Simonem i ich rozmową w grobie, ale żadne nic nie chce powiedzieć, Specjalnie wybrałam się na cmentarz, żeby porozmawiać z Simonem, ale tylko wzruszył ramionami i dalej kopał.

Kiedy Jenny wróciła z wiaderkiem, uścisnęła mnie mocno.

— Jest teraz panienka kobieto. Już niedługo trzeba będzie nałożyć gorset. Jutro proszę koniecznie powiedzieć o tym mamie.

Skinęłam głową, chociaż wiedziałam, że nic jej nie powiem. Nie było jej tu, kiedy jej najbardziej potrzebowałam. Jutro nie miało dla mnie żadnego znaczenia.

luty 1908 roku

KITTY COLEMAN

O dziwo trudniej mi było spojrzeć w oczy Maude niż Richardowi. Richard zachował się przewidywalnie — skrywał swoją ziość na posterunku, ale wyładował ją w dorożce. Krzyczał, że kalam nazwisko Colemanów, narażam na niesławę jego matkę i że walczę o bezsensowną sprawę. Mogłam się tego spodziewać, ponieważ znałam relacje innych kobiet. Prawdę mówiąc, miałam szczęście, że do tej pory nie narzekał. Uważał, że moje związki ze SPUK to niegroźne hobby. Dopiero teraz zrozumiał, że też jestem sufrażystką. Tylko jeden z jego argumentów mnie zaskoczył.

— A co z twoją córką?! — krzyczał w dorożce. — Teraz, kiedy powoli staje się kobietą, potrzebuje dobrego przykładu. Zmarszczyłam brwi — wyrażenie, którego użył, wydało mi się dosyć szczególne.

— O co ci chodzi?

Richard patrzył na mnie zdziwiony i zmieszany.

— Nie powiedziała ci?

— O czym?

— Że zaczął jej się... no... — Machnął ręką w stronę mojej spódnicy.

— Naprawdę?—jęknęłam. — Kiedy?

— Pół roku temu.

— A dlaczego ty o tym wiesz, a ja nie?

— Akurat z nią wtedy wyszedłem! To był bardzo upokarzający moment dla nas obojga. W końcu Maude musiała pójść do Jenny. Ciebie nie było w domu. Powinienem być wtedy zgadnąć, jak głęboko zaangażowałaś się w tę bzdurę.

Mógł powiedzieć więcej, ale chyba wyczuł, że nie musi. Przypomniałam sobie, jak sama zaczęłam miesiączkować — pobiegłam wtedy z płaczem do mamy, a ona długo mnie pocieszała.

Milczeliśmy przez resztę drogi. Kiedy dotarliśmy do domu, wzięłam świece z holu i poszłam prosto do córki. Przysiadłam na brzegu jej łóżka i patrzyłam na nią w mdłym świetle, zastanawiając się, co jeszcze przede mną ukrywa i jak jej powiedzieć to, co mam do powiedzenia.

Otworzyła oczy i usiadła, zanim zdążyłam się odezwać.

— O co chodzi, mamó? — spytała tak przytomnie, że zaczęłam wątpić, czy w ogóle spała.

Postanowiłam mówić szczerze i prosto.

— Czy wiesz, co robiłam, kiedy ty uczyłaś się w szkole?

— Byłaś w siedzibie SPUK.

— Byłam w Caxton Hall, w Parlamencie Kobiet. A potem poszłam z innymi na Parliament Square, żeby wdrzeć się do Izby Gmin.

— I... udało ci się?

— Nie. Zostałam aresztowana. Tata odebrał mnie z posterunku przy Cannon Row. Oczywiście, jest wściekły z tego powodu.

— Ale dlaczego cię aresztowano? Co takiego zrobiłaś?

— Nic złego. Po prostu przepychaliśmy się przez tłum, kiedy policjanci złapali mnie i rzucili na ziemię. Kiedy wstawaliśmy, robili to samo.

Wszystkie mamy straszne siniaki na ramionach i plecach.

Nie dodałam, że wiele z nich powstało w czasie jazdy wozem policyjnym. Kierowca skręcał tak gwałtownie, że rzucało mną na boki, a przegrody w środku były bardzo małe i miałam wrażenie, jakby mnie zamknięto w ustawionej na sztorc trumnie. Poza tym czuć tam było uryną i jestem pewna, że policjanci sami to zrobili, żeby nas jeszcze bardziej ukarać.

— Czy aresztowano również Caroline Black? — spytała Maude.

— Nie. Cofnęła się, żeby z kimś porozmawiać, a kiedy do

nas dotarła, już było za późno. Bardzo się z tego powodu zmartwiła.

Nawet pojechała z nami na Cannon Row.

Maude milczała. Chciałam z nią porozmawiać o tym, czego dowiedziałam się od Richarda, ale nie mogłam. Łatwiej mi było mówić o sobie.

— Mam być jutro rano w sądzie — ciągnęłam. — Mogą mnie zesłać do Holloway. Chciałam się pożegnać.

— Ale jak długo będziesz... w więzieniu?

— Sama nie wiem. Nie dłużej niż trzy miesiące.

— Trzy miesiące! A co z nami?

— Z wami? Wszystko będzie w porządku. Chcę cię tylko prosić o przysługę.

Maude spojrzała na mnie wyczekująco.

Jednak zanim wyjęłam listę i zaczęłam jej mówić o tygodniu wyrzeczeń, dzięki któremu miałyśmy zebrać pieniądze na SPUK, wiedziałam, że robię źle. Jako jej matka powinnam ją uspokoić i pocieszyć. Ale nawet po tym, jak mina jej zrzędała, wyjaśniałam, że powinna prosić sąsiadów i gości o datki, a następnie przesłać je wraz z listą do siedziby SPUK pod koniec tygodnia.

Sama nie wiem, dlaczego byłam tak okrutna.

DOROTHY BAKER

Z reguły nie angażuję się w sprawy tej rodziny. Przychodzę o pół do ósmej rano. Gotuję. Wychodzę o siódmej wieczorem — czasami o szóstej, jeśli jedzą zimną kolację. Usuwam się wszystkim z drogi. Nikogo nie oceniam. A jeśli nawet, to nikomu o tym nie mówię. Mam własny domek i dorosłe dzieci z ich problemami — nie potrzebuję więcej. Nie tak jak Jenny, która wsadza nos we wszystko, w co może. To cud, że wciąż ma go na miejscu.

Ale żal mi panienki. Wracalam właśnie do domu w gęstej mgle, kiedy zobaczyłam ją przed sobą. Nigdy wcześniej nie widziałam jej w Tufnell Park. Nie ma powodów, żeby tutaj przychodzić — zwykle sprawy rodziny kierują się w stronę północną i zachodnią, do Highgate i Hampstead, a nie wschodnią, do Tufnell Park i Holloway. Właśnie tego należy spodziewać się po rodzinie z taką pozycją.

Ta okolica nie jest tak bardzo niebezpieczna, ale mimo to nie spodobało mi się, że tu przyszła. Zwłaszcza przy takiej mgle — można w niej zniknąć na dobre i nikt tego nie zauważy. Stwierdziłam, że muszę nad nią czuwać. Od razu zrozumiałam, gdzie idzie. Nie mogę mieć o to do niej pretensji — sama bym to zrobiła, chociaż obrzydł mi już widok tego budynku, bo mieszkam bardzo blisko. Ale przynajmniej nie mam tam kogo odwiedzać. Moje dzieci radzą sobie ze swoimi problemami bez naruszania prawa.

Mimo mgły i nie znanej okolicy panienka bez trudu odnajdywała drogę — od razu widać, że ma głowę na karku. Kiedy znalazła się na miejscu, stanęła i zadarła głowę. Widok otoczonego mgłą budynku musiał zrobić na niej wrażenie. W okolicy nazywają go Zamek. Rzeczywiście, ma wielkie, zakończone łukiem wejście i kamienne wieże z obwałowaniami. Dziwne jak na wię-

zienie. Moje dzieci bawiły się tam w rycerzy i ich damy, kiedy przestały bać się tam chodzić. Jest tam jeszcze rząd okienek oddalonych od ulicy, za którymi muszą być cele.

A potem miałyśmy niespodziankę — niech mnie kule, jeśli ta Black nie chodziła tam i z powrotem wzdłuż bramy. Jest niska, ale długi, szary płaszcz, który trzepotał wokół jej kostek, sprawiał, że wydawała się wyższa. W dodatku śpiewała:

*Chwałę zmyślnej Christabel głoś mój głosie,
Dwadzieścia cztery sufrażystki zamknięto w jednym wozie,
A kiedy go otwarto — do parlamentu wbiegły,
Sam Campbell-Bannerman uznał plan za przebiegły.
Asquith w skarbcu rachował swoje przychody,
Lloyd George do kobiet skierował słów swych słodycz
I wszyscy oni wpadli na pomysł taki na koniec:
— Dajmy prawo głosu kobietom i uściśnijmy ich dłonie.*

A potem obróciła się w stronę okienek i krzyknęła:

— Głowa do góry, moje drogie! Połowa już za nami! Zostały tylko trzy tygodnie! Mamy tyle do zrobienia, jak wyjdziecie! — Jej głos niknął we mgle. Nie wiem, czy uważała, że ktokolwiek w środku ją słyszy.

Panienska zobaczyła już wystarczająco dużo — odwróciła się i uciekła.

Pobiegłam za nią, ale nie jestem tak szybka jak dawniej i wkrótce straciłam ją z oczu. Zmierzchało już i zaczęłam się o nią martwić. Przed chwilą zamknięto sklepy, a wkrótce na ulicach nie będzie nikogo przyzwoitego, by go zapytać o drogę.

Potem skręciłam, a ona wbiegła wprost na mnie. Była bardzo przestraszona.

— Co, do licha, panienska tutaj robi? — spytałam, udając, że nie wiem.

— Pani Baker! — Tak się ucieszyła, że aż chwyciła mnie za ramię.

— Powinna panienska być w domu — zaczęłam ją łajać. — A nie biegać po ulicach.

— Byłam... na spacerze i się zgubiłam.
Spojrzałam na nią. Nie było sensu bawić się w subtelności. — Chciała
panienka zobaczyć, gdzie ją zamknęli?
— Tak. — Spuściła głowę. Zadrżałam.
— To ponure miejsce. Nigdy nie lubiłam tu mieszkać. Hej, ty! —
zawołałam, bo zauważyłam znajomą sylwetkę.
— Dobry wieczór, pani Baker.
— Panienko, to jest Jimmy, syn sąsiadki. Jimmy, odprowadź panienkę do
Boston Arms, dobrze? Potem już trafi do domu.
— Dziękuję, pani Baker — szepnęła panienka. Wzruszyłam ramionami.
— To nie moja sprawa — powiedziałam. — Nikomu o tym nie powiem.
Tylko niech panienka uważa na mgłę.
Zawsze dotrzymuję słowa.

marzec 1908 roku

SIMON FIELD

Na dworze leje, wienc nasza Jenny wpuszcza mnie do środka. Pani Baker nic nie mówi na mój widok — tylko chrzonka. Ale robi mi też jajko na mienko.

— O Boże — wzdycha nasza Jenny, wyglondajonc przez okno. — Co za dzień na wizyty w więzieniu.

— Kto wybiera sie do więzienia? — pytam.

Pani Baker stawia z trzaskiem garnek na kuchni i patrzy groźnie na naszo Jenny. Ale ona wcale sie nio nie przejmuje.

— Pan z panienko Maude. Do tej pory nie mogli tam chodzić. Sufrażystki nie majo wizyt przez pierwsze cztery tygodnie. Poczontkowo miał iść sam pan, ale panienka wymogła, żeby jo wzioł. Tensknii za matko, chociaż sama nie wiem dlaczego. Przecież nigdy nie było jej w domu.

— Dosyć już tego, Jenny — mówi pani Baker.

— Nieważne. To tylko Simon.

— Co jest nieważne? — Maude stoi na dole, trzymajonc renkami brzuch. Patrzy na mnie żałośnie.

Nasza Jenny i pani Baker obracajo sie w jej stronę.

— Nic takiego, panienko — mówi nasza Jenny. — Czy może podać coś jeszcze?

— Nie, dzienkuje. Nic jestem głodna.

— Okropny pech dostać okres przy takiej pogodzie, i to akurat w dniu odwiedzin.

— Na miłość bosko, Jenny, daj jej spokój! — Pani Baker rzadko krzyczy.

— Idź na górę i posprzontaj naczynia.

Nasza Jenny wybiega, a ja mam dosyć rozumu, żeby trzymać jenzyk za zembami.

— Witaj — mówię tylko.

— Dzień dobry.

Trudno to sobie wyobrazić, że mama Maude jest w więzieniu. Kto by pomyślał, że tam skończy? Kiedy dowiedziałem się wszystkiego od naszej Jenny, poinformowałem delikatnie pana Jacksona, że pani Coleman jest w Holloway. Podskoczył, jakby go ktoś uszczypnął.

— Na Boga, co się stało?

Prawdę mówione, nie bardzo wiedziałem.

— Jakież kobiece sprawy, panie.

Tak się we mnie wgąpił, że musiałem powiedzieć coś jeszcze.

— No, chodzi o te kobiety, co jeżdżą na bicyklach, piszą na chodnikach i krzyczą pod parlamentem.

— O sufrażystki?

— Chyba tak, panie.

— Dobry Boże — powtórzył. — Więzienie to okropne miejsce dla kobiety. Mam nadzieję, że dobrze ją tam traktują.

— Pewnie tak jak wszystkich w tym więzieniu. Moją kuzynę pogryzły tam tylko wszy, to wszystko.

— To niewielka pocięcha, Simon.

— Przepraszam, panie.

Chciałbym coś teraz powiedzieć Maude, ale nie wiem, jak ją pocieszyć. A potem ktoś puka do drzwi od ogrodu i do środka wchodzi ociekająca wodą Livy, więc dalej milczę. Maude nie wygląda na zadowoloną, Livy podchodzi do niej szybko, żeby ją uściskać. Widzi mnie przez ramię Maude, ale nic nie mówi. Dziwnie mnie traktuje od tamtego pocałunku. To było rok temu, ale nic nie wróciło do normy. Nasz tato pewnie miał rację.

Po raz pierwszy od dawna spotykamy się we trójkę. Kiedy były młodsze, częściej odwiedzały mnie na cmentarzu.

— Ojej, jaka jesteś blada — mówi Livy. — Pewnie bardzo się martwisz z powodu tej wizyty.

Livy jest taka, że mówi tego rodzaju rzeczy, ale chodzi jej o coś innego. Wcale nie uważa, że należy się martwić z powodu

wieźnienia — dla niej to pyszna zabawa, chociaż nigdy się do tego nie przyzna. Jest tak podekscytowana, że domyślam się, o co za chwilę zapyta.

Najpierw jednak sadza Maude przy stole.

— Cóż, chciałabym ci coś zaproponować. — Zachowuje się tak, jakby tu nikogo nie było, jakbym ja nie siedział przy stole, pani Baker nie obierała ziemniaków przy kuchni, a nasza Jenny nie zносиła właśnie tacy po śniadaniu. Ale doskonale wie, że wszyscy jej słuchamy. — Domyślam się, że mi odmówisz, więc obiecuję przynajmniej, że pozwolisz mi skończyć.

— W porzondku — mówi Maude.

— Chce pójść dzisiaj z tobą do wieźnienia.

— Nie możesz...

— Jeszcze nie skończyłam. Maude marszczy brwi, ale milczy.

— Wiem, że to będzie straszne, że będziesz się bardzo martwić, dlatego pomyślałam, że powinnam ci pomóc jako najlepsza przyjaciółka. Pociesze cię i podtrzymam w obliczu tego nieszczęścia.

Wszyscy czekaliśmy na odpowiedź Maude — nasza Jenny stanęła w drzwiach pomywalni, a pani Baker patrzyła na ziemniaka, jakby wcale nie słuchała.

— Ale co na to twoi rodzice? — zapytała Maude. — Jestem pewna, że ci nie pozwolą.

Livy uśmiechnęła się lekko.

— Mama nie musi wiedzieć, a tato się nie przejmuj. Na pewno się zgodzi. Wiem, że sobie poradzi. Livy zna sposoby na mężczyzn. Widziałem na cmentarzu, jak wywraca oczami i zamiata spódnicę, a mężczyźni robią to, o co jej chodzi. Nawet pan Jackson przynosi jej osobiście konewkę, jeśli jej potrzebuje — choć to może dlatego, że ciongle ma wyrzuty z powodu stłuczonego anioła. Miejsca, gdzie przyklejono głowę, prawie nie widać, ale nos jest straszny. Pewnie powinni byli zostawić obtłuczony. Kiedyś zabrałem Livy, żeby pokazać jej wszystkie uszkodzenia

innych aniołów na cmentarzu. Myślałem, że to jej dobrze zrobi, ale to jeszcze bardziej ją zmartwiło.

— Maude, jesteś gotowa?

Wszyscy się odwracamy, bo tata Maude schodzi właśnie po schodach. Nasza Jenny robi wielkie oczy, a pani Baker kaleczy się w palec i musi go ssać — dlatego domyślam się, że nigdy wcześniej tego nie robił/Pewnie denerwuje się z powodu wyjazdu do Holloway albo nie chce siedzieć sam na górze.

Nawet Maude patrzy na niego ze zdziwieniem.

— Tak, tato. Chce tylko... wziąć coś z mojego pokoju. Zaraz wracam. Patrzy na Livy, a potem przeciska się obok taty i biegnie na górę. Pan Coleman wciąż stoi przy schodach, jakby sam był zaskoczony tym, że się tu znalazł.

Livy szykuje się, żeby wypróbować swoje sztuczki.

— Panie Coleman...

Ale tata Livy właśnie mnie zobaczył.

— Pani Baker, co to za chłopak je nasz chleb?

— To chłopiec od ogrodnika — odpowiada bez mrugnięcia okiem.

Dobrze wybrała. Ogrodem zajmuje się pani Coleman. Jeśli pan Coleman tam wychodzi, to pewnie tylko po to, żeby wypalić papierosa. Na pewno nie zwrócił uwagi na to, jak wygląda pomocnik ogrodnika.

Pan Coleman wygląda przez okno.

— I zawsze wybiera takie dni?

— Ma pan rację, wielki z niego hultaj. Słyszysz, Simon, nie będziesz miał dzisiaj pracy. Zmykaj szybko.

Pije szybko herbatę, wkładam czapkę i wychodzę na deszcz. Nie zamieniam nawet słowa z Maude i nie słyszę szczebiotania Livy. Nie szkodzi, przynajmniej mam pełny żółondek.

LAVINTA WATERHOUSE

Tak naprawdę wcale nie było to trudne. Odwołałam się tylko do jego cieplejszych uczuć. A ma je z całą pewnością. Gołym okiem widać, że jest załamany tym, co się stało z jego żoną. Ale zdaje się, że tylko ja potrafię mu współczuć. Czuję też, że z powodu listu jesteśmy jakoś szczególnie ze sobą związani. Chociaż nie wie, że to ja go napisałam, musi rozumieć, że ktoś się o niego troszczy.

Bardzo długo nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie wyrzucił żony z domu zaraz po tym, jak dowiedział się prawdy. Teraz, kiedy jestem starsza, lepiej rozumiem mężczyzn. Wiem, że szlachetnie zataił własne uczucia, byle tylko chronić dobre imię rodziny.

Zgodził się, żebym pojechała z nimi do Holloway. Powiedziałam mu mniej więcej to samo co Maude — że będę starała się pocieszać moją najlepszą przyjaciółkę — i tylko dodałam, że jako ojciec i dżentelmen z pewnością to rozumie.

Nie mogę przestać myśleć, że po części wynikało to z tego, że woli moje towarzystwo od Maude. Z pewnością to ja byłam bardziej rozmowna w dorożce. Ale jak mogłam nie być? Przecież mieliśmy zobaczyć wnętrze więzienia! Trudno mi sobie wyobrazić coś bardziej podniecającego.

Zimny prysznic (poza deszczem, cha, cha!) czekał na mnie jedynie koło naszego domu. Zauważyłam bowiem, że Ivy May odsunęła zasłonkę i patrzyła przez okno. Miałam wrażenie, że przewierca mnie wzrokiem. Liczę jednak na to, że mnie nie zdradzi, bo powiedziałam mamie, że wybieram się z Maude do biblioteki.

Nigdy wcześniej nie widziałam tego więzienia. Kiedy podeszliśmy do zakończonej łukiem, drewnianej bramy, aż ścisnęłam rękę przyjaciółki.

— Wygląda jak zamek — szepnęłam. Ku memu zdumieniu wyrwała mi się.

— To nie bajka — syknęła.

Trochę mnie to zmroziło, ale doszłam do siebie, kiedy zobaczyłam kobietę, która otworzyła nam bramę. Była gruba, niska, a u pasa jej szarego stroju pobrzękiwał pęk kluczy. Przypominała mi postać z Dickensa, chociaż nie powiedziałam tego Maude. Musiałam zasłonić usta, żeby kobieta nie zauważyła mojego uśmiechu. Ale i tak go zobaczyła, jędza.

Weszliśmy do izby przyjęć. Usiadłam wraz z Maude na wąskiej ławce, a jędza zaczęła wpisywać pana Colemana do swojej książki. Zdziwiłam się, że umie pisać i czytać.

Jędza spojrzała na nas.

— Tylko jedna z pańienek — powiedziała. — Więźniowie mogą przyjmować tylko troje gości naraz, a jeden już tam jest. — Spojrzała na mnie złym okiem.

— Ktoś tam jest? — zdziwił się pan Coleman. — Kto taki? Jędza powiodła palcem w górę strony.

— Panna C. Black — odparła.

— A niech to! Co, do diabła, tu robi?!

— Przyszła z wizytą, tak jak pan.

— Nie należy do naszej rodziny. Proszę jej powiedzieć, żeby sobie poszła.

Jędza uśmiechnęła się lekko.

— Ma prawo się z nią widzieć, tak jak wszyscy. To pańska żona decyduje, kogo chce przyjąć.

Biedny pan Coleman był wściekły, ale nic nie mógł na to poradzić.

— Zaczekajcie tu na mnie — powiedział do nas.

— Aleja chcę się zobaczyć z mamą! — jęknęła Maude.

— Lepiej zaczekaj tu z Lavinią. Nie można jej przecież zostawić samej. Obrócił się do kobiety.

W odpowiedzi jędza wydała z siebie twierdzący pomruk. Uśmiechnęłam się z ulgą, dziękując mu za ten gest.

— Ale przecież Lavinia może zostać tu sama — naciskała Maude. — Prawda, Lavinio?

Chciałam zaprotestować, ale w tym momencie włączyła się ta jędza:

— Nie chcę, żeby siedziały tutaj we dwójkę. — Wskazała Maude. — Ty idź z tatą, a ty — wskazała mnie — zostań.

Podeszła do drzwi i krzyknęła coś w głąb korytarza.

Byłam tak przerażona, że nie mogłam mówić. Miałam zostać sama w więzieniu z tą okropną jędzą! I to tylko dlatego, żebyśmy nie rozmawiały!

Z pewnością chodziło tylko o to, żeby mi dokuczyć. Zwróciłam się do pana Colemana, ale okazało się, że wcale nie jest tak szlachetny, jak sądziłam. Po prostu skinął głową w stronę jędzy.

Pojawiła się jeszcze jedna ubrana na szaro kobieta, ale tym razem wysoka. Ona też potrząsała kluczami w irytujący sposób.

— H15, drugi oddział — powiedziała do niej jędza. — Ma już jednego gościa.

Strażniczka przytaknęła, po czym skinęła na Maude i pana Colemana.

Ruszyli za nią, nawet na mnie nie patrząc.

Cóż. Kiedy już Sobie poszli, jędza uśmiechnęła się do mnie zza swego stołu. Zdziwiłam się, że dysponuje pełnym garniturem zębów — spodziewałam się raczej, że ma szczyrby między ich poczerniałymi resztkami. Nie zwróciłam na nią uwagi. Siedziałam jak myszka na swoim miejscu. Strasznie się bałam.

Jednak problem z myszkami polega na tym, że nie mogą się powstrzymać i wciąż szukają okruszków. W pokoju nie było zbyt wielu ciekawych rzeczy — tylko stół i parę pustych ławek. Dlatego zajęłam się obserwowaniem jędzy. Cały czas siedziała za stołem i wpisywała coś do książki. Była wyjątkowo odpychająca — jeszcze gorsza niż u Dickensa. Nad wargą miała brodawkę i zaczęłam się zastanawiać, czy wyrastają z niej włosy. Aż zachichotałam na tę myśl. Nie sądzę, żeby zauważyła, że ją obserwuję — patrzyłam przez rzęsy, udając, że oglądam swoje paznokcie. Jednak ona burknęła:

— Z czego się śmiejesz?

— Z własnego żartu — odparłam odważnie. — To nie ma z panią nic wspólnego. I proszę się do mnie zwracać: „panno Waterhouse”.

Roześmiała się bezczelnie, więc wyjaśniłam jej, że prawie na pewno jesteśmy spokrewnieni z malarzem J.W. Waterhouse'em, chociaż *Papa* uważa, że nie. I że pisałam do niego, by to ustalić. (Nie dodałam, że pan Waterhouse nie odpowiedział na mój list). Oczywiście zbyt wiele sobie wyobrażałam. Więzienna strażniczka z brodawką, nawet jeśli potrafiła pisać, z całą pewnością nie słyszała o malarzu. Opisałam jej obraz *Pani z Shallot*, który wisi w Tate, ale chyba nie zrozumiała. Nawet nie słyszała o tej bohaterce. Tylko tego brakowało, żeby spytała jeszcze, kto to Tennyson.

Na szczęście następna strażniczka przerwała tę jałową konwersację. Jędzka powiedziała, że z przyjemnością z nią porozmawia, bo „ma dość tych malowanych bzdur”.

Chciałam pokazać jej język — im dłużej tu siedziałam, tym mniej się bałam. Ale w tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi, a ona poszła otworzyć. Druga strażniczka patrzyła na mnie, jakbym była jakąś rzeźbą w muzeum.

Jędzka wróciła z ubranym na czarno mężczyzną w meloniku. Stał przy jej stole, a ona zaczęła przeglądać swoją książkę.

— Pani Coleman miała już dzisiaj trzech gości — powiedziała w końcu.

— Jak widać, jest bardzo popularna. Czy pisał pan do nas w sprawie widzenia?

— Nie — odparł mężczyzna.

— Musi pan wcześniej spytać ją, czy zechce pana przyjąć. — Jędzka najwidoczniej cieszyła się nieszczęściem innych. — A pani Coleman poinformuje nas, czy zechce pana przyjąć.

— Rozumiem. — Mężczyzna odwrócił się w stronę wyjścia.

Cóż. Tym razem nawet się nie zdziwiłam. Więc kiedy spojrzał na mnie i cofnął się jak spłoszony koń, uśmiechnęłam się do niego słodko.

— Dzień dobry, panie Jackson.

Na szczęście wyszedł przed powrotem Maude i jej ojca, bo inaczej mogłoby dojść do dziwnej sceny. Przynajmniej tym razem jęzga trzymała język za zębami, a ja też powstrzymałam się od komentarzy. To bardzo dziwne, że pan Jackson chciał odwiedzić matkę Maude. Ten dzień był tak ciężki, że kiedy dotarłam do domu, musiałam się zdrzemnąć, a potem zjadłam słodki pudding, żeby dojść do siebie. W mojej głowie kłębiły się myśli, które same układały się w całość. Dotyczyły matki Maude i pana Jacksona. Usilnie starałam się jednak je rozdzielić i myślę, że mi się udało.

MAUDE COLEMAN

Poszliśmy z tatą za strażniczką. Korytarz wychodził na wewnętrzny dziedziniec, z którego widać było cały budynek aż po dach. Na każdym piętrze znajdowały się rzędy drzwi. Tuż przed nimi biegły chodniki, którymi przechodziły inne, ubrane na szaro strażniczki.

Nasza strażniczka weszła po schodach na drugie piętro i ruszyła jednym z chodników, mijając kolejne drzwi. Między żelazną poręczą po mojej stronie i tąz drugiej strony rozpostarto żelazną siatkę. Dostrzegłam w niej dziwne rzeczy — drewnianą łyżkę, biały czepek, uszkodzony but. Na środku drzwi znajdowały się skórzane klapki. Nagle poczułam przemożną chęć, by podnieść taką klapkę i zajrzeć do środka. Zwolniłam, a wtedy tata wraz ze strażniczką znaleźli się parę kroków przede mną, i uniosłam klapkę, przystawiając oko do otworu.

Cela była bardzo mała — mogła mieć pięć stóp na siedem. Przypominała wielkością naszą pomywalnię. Poza tym niewiele dostrzegłam — jakąś deskę opartą o ścianę, ręcznik na gwoździu i kobietę siedzącą w kącie na stołku. Miała zmierzwione, ciemnobrązowe włosy, oliwkową cerę i mocno zaciśnięte szczęki, jak żołnierze, których widziałam w czasie parady. Trzymała się bardzo prosto — moja babcia zawsze każe mi tak siedzieć. Ubrana była w ciemnozieloną suknię z przyszytymi do niej białymi strzałkami — znakiem więźnia — a także fartuch w kratę i biały czepek, podobny do tego, który widziałam w siatce. Na kolanach trzymała kłębek wełny i druty.

Chciałam, żeby na mnie spojrzała. Kiedy w końcu nasze oczy się spotkały, od razu wiedziałam, kim jest. Nigdy wcześniej nie widziałam Emmeline Pankhurst — słynnej pani Pankhurst, przywódczyni sufrażystek. Mama zawsze miała nadzieję.

że do nas przyjdzie, ale nigdy tego nie zrobiła. Słyszałam kiedyś, jak Caroline Black mówiła, że ma „ciemnoniebieskie i tak władcze oczy, że wszystko by się dla nich zrobiło — nawet gdyby trzeba było rozkopać Snowdon, bo akurat zasłaniał jej widok”.

Pani Pankhurst uśmiechnęła się do mnie.

— Maude!

Odskoczyłam od otworu. Tata patrzył na mnie wyraźnie zbulwersowany. Strażniczka zatrzymała się, słysząc jego okrzyk. Podbiegłam do niego.

— Co, do licha, robiłaś?! — szepnęła, złapawszy mnie za ramię.

— Przepraszam. Strażniczka chrząknęła.

— Chodźcie szybciej, bo w ogóle jej nie zobaczycie. Nieco dalej przed drzwiami stały dwie kobiety — jeszcze

jedna strażniczka i Caroline Black. Pod szarym płaszczem miała śnieżnobiałą suknię z paroma rzędami falbanek na piersi, a na głowie kapelusz ze zwiedniętymi pierwiosnkami. Wyglądała tak, jakby wybrała się na przechadzkę w Hyde Parku. W porównaniu z jej strojem moje zwykle niebieskie paletko i stary słomkowy kapelusz wydały się bardzo szare.

Kiedy podeszliśmy bliżej, usłyszeliśmy, jak mówi w głąb celi:

— Fiolet oznacza dumę, biel czystość, a zieleń nadzieję. Czy to nie świetny pomysł? Sama bym się dzisiaj tak ubrała, ale chciałam cię ucieszyć pierwiosnkami. Pomyśl, jak to będzie wyglądało, kiedy wszystkie wystąpimy w tych samych kolorach! — Spojrzała na nas z uśmiechem i dodała: — Nowi goście.

— Kto przyszedł? — Głos dobiegał z celi.

— Mamo! — krzyknęłam. Podbiegłam trochę, ale zaraz się zatrzymałam. Mimo że drewniane drzwi były otwarte, drogę zagradzały mi kraty.

Chciało mi się płakać.

Cela mamy była taka sama jak pani Pankhurst, nawet jeśli idzie o kłębek szarej wełny i szaro-czerwoną skarpetę między drutami. Mama stała przy ścianie.

— Witaj, Maude — powiedziała. — Więc przyszłaś odwiedzić swoją starą matkę.

Podobnie jak pani Pankhurst miała na sobie suknię z ciemnozielonej serży z białymi strzałkami. Suknia była za duża — zakrywała jej stopy i kryła talię. Mimo to od razu zauważyłam, że bardzo schudła. Pod oczami miała cienie, a jej cera była pożółkła i krostowata. Oczy jej świeciły, jakby miała gorączkę.

— Witaj, Richardzie — zwróciła się do taty, który stał za mną i Caroline Black.

We trójkę tworzyliśmy dziwną grupę. Któreś z nas co rusz zaglądało do celi, jakbyśmy oglądali zwierzę w zoo. Dwie strażniczki stały po obu stronach drzwi niczym warta.

— Na miłość boską, Kitty, czy ty nic nie jesz?! — spytał tata.

Wzdrygnęłam się, a Caroline Black pokręciła głową, aż pierwiosnki poruszyły się na jej kapeluszu. Wolałabym, żeby tata zastanowił się nad tym, co mówi, ale jego też mi było żal — wyglądał na bardzo spiętego i zażenowanego.

Jednak mama wcale się tym nie przejęła, tylko uśmiechnęła się, jakby powiedział jakiś dowcip.

— Gdybyś zobaczył, co nam tu dają, też byś nie jadł. Na początku ugryzłam kamień, który był w chlebie. To mi wystarczyło.

— Pisałam do ciebie, mamó — powiedziałam szybko — ale list do mnie wrócił.

— Przez pierwsze cztery tygodnie nie możemy dostawać żadnej korespondencji — wyjaśniła mama. — Caroline mogła ci to powiedzieć. A ile zebrałaś w czasie tygodnia wyrzeczeń? Mam nadzieję, że sporo.

— Nie... nie pamiętam — szepnęłam.

— Nie pamiętasz? Niemożliwe, to przecież było tylko cztery tygodnie temu, a ty masz dobrą głowę do liczb. A może wstydzisz się, że nie było tego zbyt wiele? Nieważne, i tak nie oczekuję, żebyś zebrała tyle, co ja. Ile tego było? Dziesięć funtów?

Skinęłam głową, chociaż uzbierałam ledwie jedną dziesiątą tej kwoty. Miałam też prosić sąsiadów i gości o datki, ale jakoś

nie mogłam się na to zdobyć. Oddałam jedyne moje kieszonkowe z całego miesiąca, a pani Baker i pani Waterhouse dołożyły po parę szylingów. Znienawidziłam listę, którą dostałam od mamy.

— Czy wiesz — wtrąciła Caroline Black — że niektóre kobiety przez cały tydzień jadły tylko czarny chleb i kleik? To był hołd dla wszystkich uwięzionych. A zaoszczędzone dzięki „więziennej diecie” pieniądze przekazały SPUK.

Roześmiały się obie z mamą, Caroline Black ukazując zęby z boku.

— A jak się miewa pani Pankhurst? — spytała jeszcze. — Widziałaś ją?

— Trochę się niepokoimy — odparła mama. — Nie wyszła wczoraj na spacer i dzisiaj rano nie było jej w kaplicy. Mam nadzieję, że nie zachorowała.

— Ja ją widziałam — rzekłam, zadowolona, że wiem coś, co je zainteresuje.

— Widziałaś? Kiedy? — zapytała mama.

— Przed chwilą. Parę cel dalej.

Mama i Caroline Black rozpromieniły się i tylko nasza strażniczka zmarszczyła brwi.

— I jak wyglądała? — ciągnęła mama. — Czym się zajmowała?

— Robiła na drutach.

— Coś ci powiedziała?

— Nie, tylko się do mnie uśmiechnęła.

— Natychmiast przestań! — krzyknęła strażniczka. — Nie wolno mówić o takich rzeczach. Powinnam natychmiast cię stąd wyprowadzić.

— To dobra wiadomość — powiedziała mama, nie przejmując się strażniczką. — Po prostu robiła na drutach? Tak jak ja. — Spojrzała na kłębek wełny oraz skarpetę na stołku i się zaśmiała. — Zmuszają mnie, żebym robiła to, na czym zupełnie się nie znam. Ale do czasu wyjścia zostanę prawdziwą specjalistką od dziergania na drutach.

— Czy to dla ciebie? — Trudno mi było wyobrazić sobie mamę w szarych skarpetach w czerwone paski.

— Nie, nie. To dla więźniów z męskiego oddziału. Chodzi o to, żeby nas zająć. Inaczej jest tu potwornie nudno. Na początku myślałam, że zwariuję, ale jakoś mi przeszło. Poza tym mogę czytać Biblię.

Wskazała półkę, na której znajdowały się dwie książki, a także cynowy talerz i kubek, drewniana solniczka, kawałek żółtego mydła, mała szczotka i grzebień.

— I spójrzcie, co nam jeszcze dali. — Podniosła drugą książkę. Zmrużyłam oczy, żeby móc odcyfrować tytuł: *Jak utrzymać zdrowy dom*.

— Przeczytałam to od deski do deski.

i wiecie, co tu piszą? Że trzeba spać przy otwartym oknie!

Mama spojrzała na małe, zakratowane okienko i zaczęła się śmiać.

Caroline Black dołączyła do niej po chwili.

— Kitty — powiedział cicho tata. Odetchnęłam, kiedy mama przestała się śmiać.

— Mam nadzieję, że dostałaś dobrą nauczkę — dodał. Mama zmarszczyła brwi.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Dosyć już tego. Kiedy stąd wyjdiesz, wrócimy do normalnego życia.

— To zależy, co dla ciebie znaczy słowo „normalne”. Tata zacisnął usta.

— Nie myślisz chyba, że zaprzestaną naszej walki?

— No chyba nie będziesz tego kontynuować!

— Mylisz się, Richardzie. Więzienie sprawiło, że nareszcie dojrzałam. O dziwo, nuda mnie zahartowała. „To, co nie jest w stanie mnie złamać, tylko mnie wzmacnia”. Cytat z Nietzschego.

— Za dużo czytasz — mruknął tata. Mama uśmiechnęła się lekko.

— Wcale tak nie myślałeś, gdy mnie poznałeś. Ale i tak, kiedy wyjdę, nie będę miała czasu na czytanie.

— Porozmawiamy o tym, jak wrócisz — powiedział tata,

zerkając na Caroline Black. — Trudno wymagać, żebyś mogła się na tym wszystkim skupić.

— Nie ma o czym rozmawiać. Podjęłam już decyzję. To nie ma nic wspólnego z tobą.

— Ależ ma, przecież jestem twoim mężem.

— Przepraszam, Richardzie, ale nic w moim życiu nie miało znaczenia do momentu, kiedy wstąpiłam do SPUK.

— Jak możesz to mówić przy Maude? Mama spojrzała na mnie.

— Dlaczego?

— Czy dziecko nie ma dla ciebie żadnego znaczenia?

— Ależ oczywiście, że ma. To dla Maude siedzę w tym więzieniu. Robię to, żeby mogła głosować.

— Nie, robisz to po to, żeby pokazać wszystkim, jaka jesteś ważna. I żeby móc zaniedbywać rodzinę.

— Rzeczywiście czuję się ważna — potwierdziła mama. — Chyba po raz pierwszy w swoim życiu mam wyraźny cel. Nareszcie coś robię! Nie jestem taką optymistką jak Caroline i pani Pankhurst, żeby uważać, że przyniesie to rezultaty już za mojego życia. Ale w przyszłości kobiety będą mogły głosować. Maude na pewno tego doczeka.

— Przestań wygłaszać swoje mowy! — jęknął tata. — Zejdź na ziemię. Twierdzisz, że robisz to dla swojej córki. A spytałaś chociaż Maude, czy chce, żebyś zostawiła ją samą? Zrobiłaś to?

Pięć par oczu zwróciło się wprost na mnie. Tata patrzył wściekle, mama z zainteresowaniem. Dwie strażniczki przyglądały mi się bez emocji. Tylko w brązowych, psich oczach Caroline Black dostrzegłam odrobinę współczucia. Spasowiałam cała i zaczął mnie boleć brzuch.

Cofnęłam się o krok, potem jeszcze jeden, i zanim się spostrzegłam, odwróciłam się i zaczęłam uciekać.

— Stój! Zatrzymaj się! — krzyknęła jedna ze strażniczek. Biegłam chodnikiem, potem po schodach i przez dziedziniec

— drogą, którą się tu dostaliśmy. Cały czas ścigały mnie okrzyki

kobiet w szarych strojach, które nie mogły mnie dogonić. Otworzyłam drzwi, podbiegłam do ławki i wpadłam w ramiona Lavinii.

— Moje biedactwo — powiedziała, klepiąc mnie po plecach. — No, nie płacz już. Wszystko w porządku. Dobrze, że przyszłam. Chyba...

RICHARD COLEMAN

Kiedy wróciliśmy z Holloway, od razu poszedłem do saloniku Kitty, w którym trzyma swoje książki. Dopiero tam się przekonałem, jak bardzo zaangażowała się w tę sprawę.

Chciałem spalić Nietzschego, ale w końcu spaliłem wszystkie ulotki, gazetki i transparenty, jakie tam znalazłem.

maj 1908 roku

ALBERT WATERHOUSE

Biedny Richard. Nigdy nie sądziłem, że będę go żałował, chociaż ciągle powtarzałem, że jego żona oznacza kłopoty.

Obaj mieliśmy dziś wyrównać boisko do krykieta i szliśmy właśnie wieczorem do Heath, kiedy dostrzegliśmy jej sylwetkę. Cieszę się, że Trudy nigdy nie prosiła mnie o bicykl. Kitty Coleman jechała z suknią zadartą aż do kolan i wesoło pedałowiała. Udało mi się nawet dostrzec jej piękną łydkę, zanim odwróciłem wzrok.

Richard udawał, że jej nie widzi, więc też poczułem się do tego zobowiązany. Ale kiedy zadzwoniła, musieliśmy ją pozdrowić.

Pomachała nam, a potem pojechała swoją drogą, błyskając drugą łydką. Stwierdziłem, że świetnie wygląda jak na sześć tygodni spędzonych w Holloway, ale nie powiedziałem tego Richardowi. Uznałem, że najlepiej w ogóle zignorować to, co widzieliśmy.

Jednak Richard poruszył ten temat, co mnie zaskoczyło, ponieważ nie jesteśmy ze sobą zbyt blisko.

— Powiedz, Albercie, jak radzisz sobie z żoną? Potknąłem się o jeden z kamieni na ścieżce.

— Jak radzę sobie z żoną? — Wystarczy mi prawdziwe przywiązanie, pomyślałem, odzyskując równowagę. Nie powiedziałem tego głośno — mężczyźni nie mówią takich rzeczy.

— Kitty mnie szantażuje — dodał Richard.

— To znaczy?

— Mówi, że jeśli zabronię jej pomagać sufrażystkom, to zacznie przemawiać na wiecach. Wyobrażasz sobie nazwisko Colemanów na tych piekielnych ulotkach, które rozdają? Albo na plakatach lub — jeszcze gorzej — wypisane kredą na chodnikach? Moja matka omal nie umarła ze wstydu z powodu

Holloway, a to by ją jeszcze dobiło. Co ty byś zrobił na moim miejscu? Próbowałem wyobrazić sobie Trudy w takiej sytuacji, ale jakoś nie mogłem. Prawdę mówiąc, bardziej ode mnie przejmuje się dobrym imieniem Waterhouse'ów. I wolałaby raczej przez tydzień głodować, niż przemawiać publicznie. Jeśli już stara się wyrzucić na mnie presję, to chodzi jej o kolor zasłon w przedpokoju albo o nadmorską miejscowość, do której chce wyjechać na wakacje.

Richard patrzył na mnie tak, jakby czekał na odpowiedź.

— Może to tylko przejściowy okres w jej życiu — podsunąłem mu. — Być może ruch sufrażystek nagle się skończy. Zdaje się, że w czerwcu planują dużą demonstrację w Hyde Parku, prawda? Nawet Trudy o niej wie, a przecież nie jest sufra-żystką. Może to im wystarczy i twoja żona będzie się mogła później ustatkować.

— Może — powtórzył, ale bez większego przekonania.

KITTY COLEMAN

Maude unika mnie już od paru tygodni — od kiedy wyszłam z Holloway. Początkowo tego nie zauważałam, bo ciągle byłam zajęta, głównie czerwcową demonstracją. Na całym świecie nie było jeszcze większego zgromadzenia. Dlatego wciąż mam pełne ręce roboty — rezerwuję miejsca w pociągach z całego kraju, staram się zdobyć pozwolenia na trasę przemarszu i wykorzystanie Hyde Parku, negocjuję z policją, szukam mówczyń i orkiestr dętych, robię transparenty. Czuję się tak, jakbym planowała bitwę. Nie, nie bitwę, a całą wojnę.

Caroline ma wspaniały pomysł na to, co mogłybyśmy włożyć. To będzie bardzo dramatyczne, a ja uczcę w ten sposób wyzwolenie z Holloway i mojego marnego życia. Właśnie tego mi trzeba — stroju wyzwolonej. To będzie cudowny dzień.

Jednak w tym całym zamęcie dostrzegłam, że Maude wychodzi z pomieszczeń, w których się pojawia, i że je głównie u Waterhouse'ów. Richard tylko wzruszył ramionami, kiedy mu o tym powiedziałam.

— Czego się spodziewałaś? — mruknął tylko.

Trudno mi z nim rozmawiać — od mego wyjścia z więzienia on też mnie unika. Na szczęście zdążyłam się na to uodpornić!

Wcale się nie zdziwiłam na widok tego, co zastałam w swoim saloniku. Mężowie innych sufrażystek robili gorsze rzeczy. Żeby to ukrócić, musiałam uciec się do szantażu, którego do tej pory się wstydzę, chociaż wiem, że był konieczny. I w dodatku skuteczny — Richard może nie lubić sufrażystek, ale jeszcze bardziej boi się swojej matki.

W sobotę rano zastałam osowiałą Maude w dużym salonie i wpadłam na pewien pomysł.

— Może pojedziesz ze mną do miasta — zaproponowałam. — Popatrz, możemy skorzystać z samochodu. — Wskazałam maszynę Jenkinsów, która stała na ulicy. Pani Jenkins, bogata członkini SPUK z Highgate, zgodziła się łaskawie, żebyśmy korzystały z jej samochodu. Jej mąż nic o tym nie wie, używamy go tylko wtedy, kiedy on pracuje albo wyjeżdża z miasta. Oczywiście musiałyśmy przekupić Freda, kierowcę, ale bardzo się opłaciło.

Maude przez chwilę wpatrywała się w lśniący w słońcu samochód.

Widziałam, że ma ochotę, ale wydaje jej się, że nie powinna.

— Bardzo proszę — powiedziałam. — Jest taki piękny słoneczny dzień. Pojedziemy z opuszczonym dachem.

— Gdzie się wybierasz?

— Do Clements Inn. Ale na krótko — dodałam szybko, wiedząc, że nie lubi SPUK. — A potem na Bond Street. Później będziemy mogły zatrzymać się przy saturatorze u Fortnuma i Masona. Tak dawno nie jadłyśmy tam lodów.

Sama nie wiem, dlaczego tak mi na tym zależało. Nigdy nie byłam troskliwą matką, ale teraz mam wrażenie, że walczę o coś w imieniu mojej córki. I dlatego chciałam ją w to włączyć — nawet za cenę przekupstwa lodami.

— Dobrze — powiedziała w końcu.

Poleciałam jej i Jenny, żeby przyniosły transparenty, które szyłam — lub raczej próbowałam szyć, a potem zapłaciłam dodatkowo Jenny i pani Baker, żeby zrobiły to za mnie. Jednak ciągle nie mam tylu, ile obiecałam zrobić. Włączyłam w to też Maude, chociaż szyje jeszcze gorzej ode mnie.

Przejażdżka samochodem była naprawdę ekscytująca. Jeździłam już wiele razy, ale wciąż to uwielbiam. Fred zakłada do prowadzenia specjalne gogle, aleja nigdy tego nie robię. Czuję, że ograniczałyby moje pole widzenia. Przywiązałyśmy sobie kapelusze szalami. Na moim, fioletowo-biało-zielonym, widniał napis: „Prawo głosu dla kobiet”. Zaproponowałam drugi taki Maude, ale mi podziękowała. Wiatr i tak szarpał nam ubra-

nia, a kurz osiadał na całym ciele. Było cudownie. Aż zachłystywałam się prędkością — mijaliśmy wózki mleczarzy, omnibusy, cyklistów, a nawet taksówki i inne automobile. Puby, pralnie, kawiarnie — wszystko zamazywało się w tym pędzie.

Nawet Maude dobrze się bawiła, chociaż niewiele mówiła — i tak trudno by nam było rozmawiać przy hałasie silnika. Po raz pierwszy od paru miesięcy wyglądała na rozluźnioną, kiedy tak siedziała na tylnym siedzeniu między mną a transparentami. Gdy przejeżdżałyśmy przez aleję platanów, których gałęzie tworzyły nad naszymi głowami zielony baldachim, Maude uniosła głowę i spojrzała w niebo.

Następnie pomogła mi przenieść transparenty do Clements Inn — Fred nigdy nam nie pomaga, ponieważ potępia ruch su-frażystek — ale potem wyszła na dwór do kierowcy. Próbowалаm załatwić wszystko jak najszybciej, lecz spotkałam tyle towarzyszek i miałam tyle spraw, że kiedy wróciłam do automobilu, oboje z Fredem byli nadąsani.

— Przepraszam — rzuciłam wesoło. — No, jedziemy teraz do Collingwoda przy Bond Street.

Tym razem nie chodziło o sprawy SPUK, ale wiązało się to ściśle z prawami kobiet.

Maude zrobiła zdziwioną minę.

— Czyżby tata kupił ci coś nowego? Richard kupował tam dla mnie biżuterię.

— W pewnym sensie — zaśmiałam się. — Sama zobaczysz.

Ale kiedy zobaczyła naszyjnik w czarnym, wyłożonym aksamitem pudelku, który jubiler podał mi z dumą, nie skomentowała tego tak, jak oczekiwałam. Po prostu milczała.

Naszyjnik składał się ze szmaragdów, ametystów i pereł, tworzących fioletowo-białe kwiaty z zielonymi listkami. Kamienie pochodziły z moich starych naszyjników — perły dostałam na bierzmowanie, ametysty odziedziczyłam po matce, a szmaragdy dostałam od teściowej w prezencie ślubnym.

— Świetna robota — pochwaliłam jubilera. — To naprawdę wspaniały naszyjnik.

Maude wciąż na niego patrzyła.

— Podoba ci się? spytałam. — Widzisz, chodziło mi o kolory. To barwy SPUK. Wiele kobiet będzie je nosić.

— Myślałam...—urwała nagle.

— Tak?

— Że... że odziedziczę tamte naszyjniki.

— Mój Boże, więc oto chodzi? No a teraz odziedziczysz ten.

— Tata będzie zły — dodała cicho Maude. — I babcia też. To były jej szmaragdy.

— Dostałam go od niej. Te kamienie należą do mnie. Ona nie ma tu nic do gadania.

Maude milczała i było to gorsze niż jej wcześniejsze dąsy.

— Jedziemy na lody do Fortnuma i Masona? — spytałam.

— Nie, dziękuję, mam — rzekła smutno. — Wolałabym wrócić do domu.

Myślałam, że ten naszyjnik jej się spodoba. Jednak ostatnio coraz trudniej ją zadowolić.

RICHARD COLEMAN

Natychmiast je zauważyłem. Kitty właśnie przeglądała się w lustrze przed wyjazdem na przyjęcie mojej mamy. Jenny trzymała jej pelerynę, a Maude tylko patrzyła ze schodów. Suknia Kitty miała głębokie wycięcie i kiedy zerknąłem na jej dekolt, poznałem te szmaragdy. Mama nosiła je często, kiedy chodzili z ojcem na przyjęcia i inne spotkania, w tym raz na audiencję u królowej. Teraz wyglądały obrzydliwie — pomieszane z innymi klejnotami.

Nic nie powiedziałem. Szantaż Kitty na dobre zamknął mi usta. Za to wściekłem się na siebie, że nie radzę sobie z własną żoną. Mąż nie powinien być tak bezradny i zupełnie pozbawiony autorytetu. Kitty doskonale wiedziała, co robi.

Później, kiedy zobaczyłem minę mojej matki, gdy spojrzała na naszyjnik Kitty, pomyślałem, że najchętniej zmiażdżyłbym w rękach śliczną szyję mojej żony.

EDITH COLEMAN

Mysle, że lubi mnie dręczyć.

W tym roku czułam się fatalnie za każdym razem, kiedy ze względów towarzyskich musiałam odwiedzić dom mojego syna. Jeszcze gorzej było, kiedy dostała się do Holloway i nazwisko Colemanów pojawiło się w gazetach. Byłam upokorzona, ale cała sprawa przyschła szybciej, niż się spodziewałam. Moi przyjaciele — moi dobrzy przyjaciele — w ogóle o tym nie wspominali, chcąc mi zaoszczędzić wstydu. Cieszyłam się jedynie, że James tego nie dożył.

Jednak szmaragdy okazały się najgorsze. Matka Jamesa dała mi je na dzień przed naszym ślubem, zakładając, że będę o nie dbała, a następnie przekazuje własnej synowej. Wówczas nie mówiło się o takich rzeczach. Nawet nie przyszło mi do głowy, że mogłabym ich nie nosić, a następnie nie oddać ich w odpowiednim czasie. Nikt z Colemanów nie myślał, że można by je zbezczęścić, jak to zrobiła Kitty.

Włożyła je na moje majowe przyjęcie. Miała na sobie ciemnozieloną jedwabną suknię ze zbyt dużym wycięciem. Natychmiast domyśliłam się, że to te kamienie, chociaż wcześniej nie widziałam tego naszyjnika. Moje szmaragdy poznałabym wszędzie. Kitty od razu zauważyła moją reakcję i tylko biedny Richard niczego się nie domyślał. Klejnoty to sprawa kobiet, a nie mężczyzn. Nigdy nie powiem mu, co się stało.

Nie zrobiłam jej sceny — nie mogłam przy wszystkich gościach. Poza tym odniosłam wrażenie, że sprawiłoby jej to przyjemność. Czekałam więc tylko, aż wyjdą ostatni zaproszeni. A potem siedziałam w ciemności i płakałam.

czerwiec 1908 roku

LAYINIA WATERHOUSE

Początkowo nie chciałam pomagać Maude. Wołałam nie mieć nic wspólnego z transparentami sufrażystek. Ale Maude jest kiepską szwaczką i kiedy któregoś dnia zobaczyłam W szkole jej pokłute i poobcierane palce (ktoś powinien ją nauczyć, jak się obchodzić z naparstkami!), w końcu się nad nią zlitowałam i zaczęłam przychodzić popołudniami do Colemanów.

I bardzo dobrze! Biedna Maude jest bardzo wolna, a jej okropna matka dosłownie zarzuciła ją pracą. Czułam się nieswojo, siedząc w tym saloniku i szyjąc. Bałam się, że lada chwila pojawi się w nim pani Coleman, a ja czułam się przy niej niezręcznie, od kiedy dowiedziałam się o t y m . Jednak wygląda na to, że ona rzadko bywa w domu, a kiedy już tu przychodzi, to bez przerwy rozmawia przez telefon, który kazała sobie zainstalować, i nawet nas nie zauważa. Zrobiłam się bardzo nerwowa z powodu telefonu — podskakuję, gdy dzwoni, i bałabym się go odebrać. Kiedy nie ma pani Coleman, robi to Maude, zapisując te wszystkie absurdalne informacje o zebraniach i petycjach.

Na szczęście szyję bardzo dobrze — zrobiłam trzy transparenty, a Maude tylko jeden, i to w dodatku brzydki. Poza tym lubię z nią siedzieć — możemy rozmawiać i śpiewać. Czasami, kiedy palce zaczynają jej krwawić, Maude odkłada igłę i czyta na głos jakąś książkę. Jenny bez przerwy przynosi nam herbatę, a czasami nawet kawę, jeśli ją mocno poprosimy.

Na szczęście zajmujemy się wyłącznie szyciem. Dostajemy materiał i wycięte litery, a także hasła na karteczkach przypiętych do przyszłych transparentów. Litery są zwykle białe, a sukno zielone albo czarne.

Myślę, że nawet gdyby mi zapłacili, nie wymyśliłabym żadnego hasła. Niektóre są tak skomplikowane, że zupełnie ich nie rozumiem. Co to na przykład znaczy:

PODATKI BEZ REPREZENTACJI TO TYRANIA? Albo jeszcze gorsze: „WOLA" KOBIEŃ ZWYCIĘŻY „NIEWOLE" ASOUTH. Nie mam pojęcia, dlaczego mieszają w to premiera.

Jednak najlepsze są błędy. Pierwszy raz przydarzyło mi się to, kiedy przyszywałam litery na kolejnym transparentie z napisem: CZYNY, NIE SŁOWA. (Mam już dosyć tych słów!) Kiedy zwijałam gotowy transparent, zerknęłam na niego i stwierdziłam, że napis wygląda trochę inaczej: SŁOWA, NIE CZYNY. Już chciałam zabrać się od odpruwania liter, kiedy spojrzałam na Maude, która ssała ze zmarszczonymi brwiami swój palec. Niczego nie zauważyła! Cichutko zwinęłam materiał, odłożyłam go na miejsce i uśmiechnęłam się do siebie. Na wiecu będzie mnóstwo transparentów uszytych przez kobiety z całego kraju. Co jakiś czas wpada tu matka Maude, łapie kolejny ich stos i wychodzi bez podziękowania. Nie sądzę, żeby ktoś powiązał mnie z tymi błędami. Po tej refleksji zaczęłam robić coraz więcej „błędów". Najpierw jeszcze parę SŁÓW, NIE CZYNÓW, a potem ŁOWY NA CZYNIE i wsunęłam dodatkowe S do kieszeni fartuszka. Świetnie się bawiłam, tworząc błędy: PRACUJĄCE KOBIEŃ DOMAGAJĄ SIĘ PRAWA GŁOSU zamieniłam na GŁOSUJĄCE KOBIEŃ DOMAGAJĄ SIĘ PRAWA PRACY, a hasło SILNE NADZIEJĄ zamieniłam na SINE NADZIEJĄ. Zrobiłam ich z pół tuzina, kiedy Maude przyłapała mnie na gorącym uczynku. Pomagała mi zwinąć kolejny transparent i nagle powiedziała: — Zaczekaj chwilę.

Rozwinęła sukno, na którym było napisane: KTO CHCE BYĆ WOLNY, NIECH UCIECZE. Użyłam do niego kilku zaoszczędzonych wcześniej liter.

— Ależ, Lavinio, to nie to hasło — dodała po chwili. — Tu powinno być: „Kto chce być wolny, niech uderzy". Wiesz, z Byrona!

— Ojej — zachichotałam.

— Czy ty w ogóle nie czytasz tego, co tutaj masz? I skąd się wzięły dodatkowe litery?

Uśmiechnęłam się nieśmiało.

— Chyba dostałyśmy za dużo. Stąd całe zamieszanie. — I wyjęłam z kieszeni litery.

— Doskonale wiedziałaś, co tu powinno być. — Maude pokręciła głową.

— Nie mam pojęcia, co teraz zrobić? Mama na pewno przeliczy transparenty i będzie chciała wiedzieć, dlaczego jednego brakuje.

Wstałam z miejsca.

— Och, chyba już ucieczę — powiedziałam.

To było niezbyt mądre, ale Maude się roześmiała. I obie zaczęłyśmy się śmiać tak, że aż łzy popłynęły nam z oczu. Patrzyłam na nią z prawdziwą przyjemnością. Maude jest ostatnio tak bardzo poważna. W końcu po prostu zwinęłyśmy transparent i odłożyłyśmy na stos gotowych.

Nie sądziłam, że pójdę na marsz do Hyde Parku — aż drżałam na myśl, że mogłabym się znaleźć między tysiącami su-frażystek. Ale po tylu dniach szycia, a także różnych informacjach, które do nas docierały, uznałam, że to może być zabawne. Przyjadą tam kobiety z całego kraju — i to nie tylko sufrażystki w pełnym tego słowa znaczeniu. A poza tym będzie tam muzyka, a także różne przedstawienia i przemówienia. W końcu dowiedziałam się od Maude, że wszyscy mają być ubrani na biało, zielono i fioletowo, więc wymyśliłam dla nas wspaniałe stroje. Włożymy nasze białe suknie i ozdobimy słomkowe kapelusze kwiatami z ogrodu Colemanów. Być może matka Maude jest grzesznicą, ale ma za to cudowne kwiaty.

— Ostróżki, chabry, jaśmin i bez indyjski razem z liśćmi — zdecydowałam. — To będzie naprawdę piękny widok.

— Ale przecież nie chciałaś iść — oponowała Maude. — I co powie twoja mama?

— *Maman* pójdzie z nami. Nie musimy przecież brać udziału w marszu. Możemy tylko popatrzeć.

Maude uważa, że *Maman* się nie zgodzi, ale nigdy mi jeszcze nie odmówiła.

GERTRUDE WATERHOUSE

To nie było zbyt mądre z mojej strony, ale nie mogłam powstrzymać jej w inny sposób. Kiedy Livy i Tvy May wróciły ze szkoły, miałam już obwiązaną nogę w kostce. Siedziałam, wspierając ją na stołku.

— Potknęłam się na progu — wyjaśniłam, kiedy Livy krzyknęła na ten widok. — Jest tylko zwichnięta. Na szczęście nic nie złamałam.

— Och, mamó, jesteś taka niezdarna — powiedziała.

— Tak, wiem.

— Czy doktor powiedział, jak długo musisz oszczędzać nogę?

— Co najmniej tydzień.

— Ale to znaczy, że nie możesz nas zabrać na niedzielny marsz!

— Tak, bardzo mi przykro. Wiem, że miałaś na niego olbrzymią ochotę. Osobiście bardzo się go bałam.

— Ale musimy iść — jęknęła Livy. — Musimy, prawda, Ivy May?

Ivy May oglądała bandaż. Powinnam była zawiązać go trochę mocniej.

— Może tata mógłby nas zabrać — podrzuciła Livy.

— Nie — powiedziałam szybko. Nie chciałam mieszać w to Alberta. —

Pójdziecie z nim rano do kościoła, a po południu ma mecz krykieta.

Najlepiej będzie, jeśli zostanieie w domu.

— Więc mogłybyśmy pójść z Maude i jej mamą.

— Nie — rzuciłam jeszcze szybciej.

— Nic nam nie będzie.

— Nie.

Livy popatrzyła na mnie tak, że z trudem to wytrzymałam.

— Ależ, Livy, kochanie — rzekłam, siląc się na lekki ton.

— Sama nie wiem, dlaczego tak bardzo ci na tym zależy. Przecież twój przyszły mąż będzie mógł głosować za ciebie.

— Nic z tego — oznajmiła Livy. — Osobiście popieram ruch sufrażystek. Ivy May zachichotała.

— Livy chce się pokazać.

— Cicho, Ivy May. Jestem pewna, że też chcesz pójść do Hyde Parku — stwierdziła Livy.

— Naprawdę popierasz te sufrażystki? — spytałam zdziwiona.

— Tak! I uważam, że wybrały sobie świetne kolory — fioletowe, zielone i białe szale oraz biżuteria. A te kobiety w samochodach tak pełne energii i oddania sprawie... — Urwała, widząc moją minę.

— Nie pochwalam ani tego marszu, ani samych sufrażystek

— powiedziałam chłodno, z nadzieją, że w ten sposób zakończę dyskusję.

Ale oczywiście mi się nie udało. Livy płakała przez dwa dni i nie odzywała się do mnie nawet słowem. W końcu poddałam się w sobotę wieczorem. Nawet mój podstępny plan nie zdołał jej powstrzymać. Nie chciałam jednak, żeby Livy zorientowała się, iż próbowałam jąprzechrzyć, więc w końcu musiałam powierzyć obie córki Kitty Coleman.

Ivy May przyłapała mnie, jak chodziłam na mojej „zwichniętej” nodze. To dobre dziecko — nic nie powiedziała.

MAUDE COLEMAN

Wysiadłyśmy z omnibusu przy Euston Station i zaczęłyśmy się przepychać przez tłum, który zgromadził się na chodniku. Z dworca wylewała się rzeka kobiet, które przyjechały tu z północy specjalnymi pociągami. Złapałyśmy się z Lavinia i Ivy May za ręce, bo wciąż potraçały nas osoby mówiące z akcentem z Birminghamu, Manchesteru czy hrabstwa Lancashire.

Mama sprawnie przeciskała się przez tłum — wydawało się, że ścisk wcale jej nie przeszkadza, co jest dziwne, zważywszy na to, jak bardzo nie lubi ciasnoty. Kiedy dotarłyśmy do ulicy przy St Pancras Station, zaczęła przyglądać się kolejnym ubranym na białe kobietom z transparentami.

— O, są! — krzyknęła i rozepchnęła ludzi na chodniku, żeby się dostać na samą ulicę.

Nareszcie mogliśmy oddychać nieco swobodniej. Czułam się dziwnie, stojąc na ulicy, na której nie było dorożek, wozów czy automobilów, a tylko długi rząd ubranych na białe kobiet, którym z chodnika przyglądali się zarówno mężczyźni, jak i inne panie.

Mama poprowadziła nas do grupy kobiet, które pamiętałam z naszych przyjęć.

— Jesteśmy, Eunice — powiedziała, kładąc dłoń na ramieniu wysokiej, piegowatej kobiety z szarfą, na której widniał napis: FUNKCYJNA. — Och, a tam widzę Caroline! — krzyknęła, machając ręką. — Caroline! Caroline pospieszyła w naszą stronę. Cała była zarumieniona, a niesforne kosmyki wystawały jej spod kapelusza. Na ramieniu miała spory tobolek przywiązany do tyczki. Mama pocałowała ją na powitanie.

— Masz wszystko?

— Tak sędę — sapnęła Caroline Black. — Na szczęście chłopak przeniósł mi wczoraj zbroję, inaczej nigdy bym sobie nie poradziła. Nie wiedziałam, o czym rozmawiają, ale zanim zdążyłam zapytać, mama obróciła się w moją stronę.

— Posłuchaj, Maude, zostawię was z Eunice, która będzie się wami opiekować.

— Ale ty też pójdziesz, prawda? — Staralam się ukryć strach, który mnie nagle chwycił. — Pójdziesz z nami?

— Tak, wezmę udział w marszu. Ale będę w innej jego części. Nic wam nie będzie. Znasz przecież te panie.

— Gdzie idziesz? Co chcesz zrobić? — To niespodzianka.

Ale myślałyśmy, że będziesz z nami. Powiedziałam pani Waterhouse, że się nami zajmiesz.

Zniecierpliwiona mama potrząsnęła głową.

— To, co mam do zrobienia, jest znacznie ważniejsze. Poza tym Eunice i tak lepiej się wami zajmie. Dlatego została funkcyjną, bo jest świetnie zorganizowana. Jesteście w dobrych rękach. Spotkamy się na koniec, po Wielkim Krzyku, który zaplanowano na piątą. Przyjdźcie pod trybunę numer pięć, gdzie będzie przemawiała pani Pankhurst. Tam was odbiorę. A teraz naprawdę musimy iść. Bawcie się dobrze! I pamiętaj, Maude, piąta trybuna zaraz po Wielkim Krzyku.

Złapała Caroline Black za ramię i po chwili zniknęły w tłumie.

Próbowałam jeszcze je śledzić, ale nie mogłam — przypominały gałązkę niesioną przez rwący potok.

Lavinia pobladła.

— Co my bez niej zrobimy? — jęknęła. Było to dosyć obłudne, zważywszy na to, jak bardzo nie lubi mamy.

— Czeka nas wspaniały dzień, co, dziewczęta?! — krzyknęła do nas Eunice, pomagając kobietom rozwinąć transparenty z napisem: SILNE NADZIEJĄ. — Muszę sprawdzić też inne transparenty w mojej części. Zostańcie tutaj, zaraz wrócę.

Odeszła, zanim zdążyłyśmy cokolwiek powiedzieć.

— Jasna cholera — mruknęłam pod nosem. Zostałyśmy same.

Lavinia spojrzała na mnie przerażona zarówno moimi słowami, jak i całą sytuacją.

— Mama miała rację — jęknęła. — Powinnam była zostać w domu. Czuję się tak słabo...

— Przestań — rzuciłam ostro. — Poradzimy sobie.

Popołudnie nie zapowiadało się przyjemnie, a byłoby fatalnie, gdyby zemdląca. Rozejrzałam się, szukając czegoś, czym można by ją zająć.

— Popatrz na ten zespół. Orkiestra Dęta z Hackney — przeczytałam. — Czyż nie mają ślicznych mundurów?

Wiedziałam, że Lavinia woli umundurowanych mężczyzn. Zaczęła właśnie mówić, że chce wyjść za wojskowego. Muzycy robili miny do kobiet, a grający na eufonium mężczyzna mrugnął do mnie, zanim zdążyłam odwrócić wzrok.

Lavinia patrzyła na transparent, przy którym miałyśmy czekać.

— Sine nadzieją — przeczytała i zachichotała.

— Co powiedziałaś?

— Nie, nic takiego.

Po chwili poczułyśmy się pewniej. Kobiety dookoła śmiały się i wymieniały uwagi, wyraźnie podniecone perspektywą marszu. Panował wielki hałas, który tworzyły wysokie damskie głosy, znacznie mniej groźne niż męskie. Trudno było nie ulec ogólnemu nastrojowi. Poza tym nie wszystkie kobiety były sufrażystkami — niektóre przyszły tu z ciekawości i dlatego nie powiewały transparentami i nie krzyczały. Wiele z nich przyszło z córkami, czasami całkiem małymi. Były tam nawet malutkie dziewczynki, ubrane na biało, z zielonymi i fioletowymi wstążkami we włosach, siedzące w ciągniętym przez kucyka wózku.

Lavinia ścisnęła mnie za ramię.

— To takie podniecające — powiedziała. — Chyba wszyscy tu są.

Poza mamą, pomyślałam. Cały czas zastanawiałam się, co mogą robić z Caroline Black.

Następnie orkiestra z kapelmistrzem, który miał gęste, opadające wasy, zaczęła grać marsza z *Aidy* i wszyscy wstali, równając szyki, jakby przez pochód przeciągnięto druty. Wokół zaczął narastać szum. Wszyscy czekali, co się stanie. Nagle koło nas znowu pojawiła się Eunice i krzyknęła:

— Transparenty w górę!

Stojące najbliżej kobiety uniosły tyczki i włożyły ich końce do uchwytów, które wcześniej sobie przypasały. Po nich zrobiły to następne, które to dostrzegły, i tak dalej. W końcu przed nami i za nami unosiło się prawdziwe morze transparentów.

Szum ucichł po paru minutach dalszego postoju.

— Czy już nigdy nie ruszymy? — jęknęła Lavinia, wiercąc się niecierpliwie. — Nogi mnie strasznie rozbolały.

I właśnie wtedy pochód się przesunął. Przed nami powstało nagle wolne miejsce.

— Naprzód! — krzyknęła Eunice. — Za mną, dziewczęta!

Ruszyliśmy przed siebie. Kiedy tłum na chodniku zaczął wiwatować na naszą cześć, poczułam mrowienie na plecach. Poza naszym do Hyde Parku zmierzało jeszcze sześć innych pochodów, które wyruszyły z różnych punktów Londynu. Poczułam dreszcz podniecenia na myśl o tym, że jestem częścią tak olbrzymiego przedsięwzięcia. Tysiące kobiet robiło to samo w tym samym czasie.

Dopiero po paru minutach udało nam się wyrównać krok. Co chwila zatrzymywałyśmy się i ruszały spod St Pancras i Euston Station. Po obu stronach ulicy stali mężczyźni — niektórzy marszczyli brwi, inni gwizdali, ale większość patrzyła z takim uśmiechem jak mój wujek, kiedy wydaje mu się, że powiedziałam coś głupiego. Obserwujące nas kobiety były bardziej przyjazne — machały do nas i uśmiechały się serdecznie. Parę nawet dołączyło do pochodu.

Na początku Lavinia była bardzo podniecona i podśpiewywała sobie z orkiestrą lub śmiała się, kiedy wiatr zaczynał szar-

pać transparentami. Ale kiedy tempo się wyrównało i prze-szliśmy koto Euston, kierując się do Great Portland Station, zaczęła ciągnąć się noga za nogą.

— I to wszystko? —jęknęła. — Będziemy tylko iść?

— W Hyde Parku będą przemówienia. To nie tak daleko. Poza tym będziesz mogła pooglądać sklepy przy Oxford Street — rzekłam pewnie, chociaż tak naprawdę nie znałam ani trasy przemarszu, ani zbyt dobrze samego Londynu. Rzadko jeździłam do centrum i zwykle po prostu chodziłam za rodzicami. Wiedziałam więcej o Afryce niż o topografii Londynu.

— Tam jest Simon. — Ivy May wyciągnęła rękę. Poczuliśmy ulgę, widząc znajomą twarz w obcym tłumie.

— Simon! — krzyknęłyśmy jednocześnie z Lavinią. Rozjaśnił się na nasz widok i wyszedł z tłumy.

— Co tutaj robisz, łobuziak! — Lavinia ścisnęła go za ramię.

Simon poczerwieniał.

— Szukałem was — mruknął.

— Chcesz z nami pójść? — spytałam. Simon rozejrzał się dookoła.

— Ale tutaj nie ma menżczyzn.

— Są. W orkiestrze. Zostań z nami.

— Może na chwile. Ale muszę przyprowadzić konia z Hyde Parku.

— Jakiego konia?

Simon spojrział na mnie ze zdziwieniem.

— Konia, który był dla pań. Dla twojej mamy. Nic ci nie mówiła?

— Mama nie ma żadnego konia. W ogóle ich nie znosi.

— Nie, konia ma znajomy pana Jacksona, Panie chciały go wypożyczyć.

— Pana Jacksona? A co on ma z tym wspólnego? Simon wyglądał tak, jakby żałował tego, co powiedział.

— Twoja mama pytała pana Jacksona, czy nie zna kogoś, kto by jej pożyczył konia. Miał być biały. A pan Jackson zna ko-

gos takiego przy Baker Street. Zapłacił mi, żebym przyprowadził i odprowadził to zwierze.

Orkiestra zaczęła grać piosenkę króla piratów z *Piratów z Penzance*. Staralam się przemyśleć to, co mi powiedział Simon, ale było to dosyć trudne ze względu na rozgardiasz i zgiełk.

— Przecież mama nie chodzi teraz na cmentarz. Jak mogła spotkać się z panem Jacksonem?

Simon wzruszył ramionami.

— Był u niej w Holloway. A poza tym słyszałem, jak rozmawiali ostatnio na cmentarzu o sufrażystkach i w ogóle.

— Ale chyba nie jedzie konno? Nie wiesz, gdzie jest? Simon ponownie wzruszył ramionami.

— Sama zobacz. So na poczontku defilady.

— Czy to daleko?

— Pokaże ci. — Simon błyskawicznie dał nura w stojący na chodniku tłum. Pewnie poczuł ulgę, że nie musi już iść z samymi kobietami.

Ruszyłam za nim, ale Lavinia złapała mnie za rękę.

— A co ze mną?! — krzyknęła.

— Zostań tu. Wróć do ciebie.

— Nie możesz zostawić mnie samej!

— Nie jesteś sama, masz Ivy May. Zostań przy transparencie. —

Wskazałam napis: SILNE NADZIEJĄ. — Na pewno wrócę. I pewnie zaraz znowu pokaże się Eunice. Tylko powiedz jej, że poszłam oglądać transparenty, a nie do mamy.

— Idziemy z tobą! — krzyknęła Lavinia, ale wyrwałam się jej i zniknęłam w tłumie, zanim połapała się w sytuacji. Niezależnie od tego, co robiła mama, wolałam, żeby tego nie widziała.

SIMON FIELD

Moge tylko powiedzieć, że pani Coleman nie miała tego na sobie, kiedy przekazywałem jej konia. Pewnie włożyła to pod suknie albo co.

Jestem zaskoczony, ale staram się tego nie okazywać. Nie mogę oderwać oczu od jej nóg. Tylko raz widziałem kobiece nogi w czasie przedstawienia o Dicku Whiltingtonie, a i to tamta kobieta nosiła rajtuzy, a jej tunika siengąła aż do kolan. Pani Coleman nie jest przebrana za Dicka, ale Robin Hooda. Ubrała się w krótko, zielono tunikę z pasem, zielone butki i zielono-fiole-towo czapkę z białym piórem. Ma zupełnie gołe nogi od kostek aż do... no, wysoko.

Prowadzi białego konia, na którym jedzie panna Black. Na zdrowy rozum powinna się przebrać za lady Marion albo braciszka Tucka, ale ona ma na sobie pełno zbroje z hełmem, na którego czubku kołysze się białe pióro, tak jak pióra koni w kondukcje żałobnym. W jednej rence trzyma lejce, a w drugiej transparent z napisem, którego nie mogę przeczytać.

Maude tylko patrzy. Nie można mieć o to do niej pretensji — wszyscy gapio się na nogi Kitty Coleman. Musze powiedzieć, że so pienkne. Cały jestem czerwony i mi staje przy tych wszystkich ludziach. Musze skrzyżować przed sobo rence, żeby to zasłonić.

— Kim ma być panna Black? — pytam, żeby oderwać myśli od pani Coleman.

— Joanno d'Arc. — Maude wypluwa z siebie te słowa. Nigdy o niej nie słyszałem, ale nic o tym nie mówię. Wiem, że Maude chce, żebym był cicho.

Staliśmy na chodniku trochę z przodu, a teraz obie panie nas mijaj o. Maude wyglonda tak, jakby chciała coś powiedzieć do

swojej mamy. Milczy jednak. Pani Colemannej nie widzi — ma na Iwarzy zabawny uśmiech i patrzy daleko przed siebie, jakby wypatrzyła coś na horyzoncie.

A potem nas mijajo. Maude nic nie mówi i ja też. Patrzymy, jak nas mijajo. Maude parska śmiechem.

— Co tam? — pytam.

— Na transparencie Caroline Black jest błąd — odpowiada, nie wyjaśniając jednak, o co chodzi.

KITTY COLEMAN

Przez większą część marszu czułam się tak, jakby to był sen.

Byłam tak podniecona, że prawie nic nie słyszałam. Otaczał mnie gwar widzów, pobrzękiwanie i skrzypienie uprząży, klekot zbroi Caroline — ale wszystko to wydawało mi się odległe. Stukot końskich kopyt wydawał się stłumiony, jakby okrecono je szmatami albo jakby na drodze rozsypano trociny, co się czasami robi w czasie pogrzebów.

Niczego konkretnego też nie widziałam. Staralam się skoncentrować na twarzach wzdłuż trasy, ale wszystkie zdawały mi się zamazane.

Usiłowałam wyobrazić sobie, że widzę tych, których znam — Richarda, Johna Jacksona, Maudc, a nawet moją zmarłą matkę — ale z marnym skutkiem. Łatwiej mi było patrzeć ku naszemu przeznaczeniu, cokolwiek by nam niosło.

Wyraźnie czułam powietrze i słońce na moich nogach. Po wielu latach noszenia długich i ciężkich sukien, których halki spowijały mnie niczym bandaże, było to niezwykle doznanie.

A potem usłyszałam huk, który nic był stłumiony. Spojrzałam na tłum, w którym dostrzegłam kogoś przypominającego mojego zmarłego brata.

Mężczyzna stał na chodniku naprzeciwko i z niedowierzaniem wpatrywał się w transparent Caroline. Jego zdziwienie było tak wielkie, że nie mogłam się oprzeć i odwróciłam się, żeby zobaczyć, na co patrzy.

Coś huknęło raz jeszcze. Zanim koń się cofnął, zdołałam jeszcze odczytać napis na transparencie: SŁOWA, NIE CZYNY.

Do licha, pomyślałam, kto zrobił taki głupi błąd? A potem kopyto spadło wprost na moją pierś.

LAVINIA WATERHOUSF

Na początku nie rozmawiałam z Maude i Simonem, kiedy wrócili. Milczałam przez całe Portland Place i Upper Regent Street, a nawet kiedy zatrzymano nas na trochę na Oxford Street. Nie mogłam jej wybaczyć tego, że mnie tak zostawiła.

Ona też milczała i tylko szła z gniewną miną, w ogóle nie zauważając, że postanowiłam zerwać z nią kontakty. Nie ma nic bardziej przykrego niż sytuacja, kiedy ktoś nie zauważa, że chcemy go ukarać. Wyglądało to nawet tak, jakby to mnie spotkała kara — strasznie ciekawiła mnie sprawa matki Maude i konia, ale skoro z nią nie rozmawiałam, nie mogłam się niczego dowiedzieć. Chciałam, żeby przynajmniej Ivy May ze mną porozmawiała, przez co łatwiej byłoby mi znieść sytuację z Maude. Poprawiłam jej kapelusik, który zsunął się niebezpiecznie do tyłu, ale ona tylko skinęła mi w podzięcie głową. Zwykle nic nie mówi, kiedy ktoś chce, żeby otworzyła usta.

A potem wszyscy znowu się zatrzymali. Simon pobiegł, żeby odebrać konia, a my przesunęłyśmy się do wejścia Marble Arch. Wciąż na nas naciskano, ponieważ wiele osób chciało tamtędy wejść do Hyde Parku. Czułam się jak ziarnko piasku w klepsydrze, które czeka na swoją kolej, żeby precyzyjnie przemieścić się na drugą stronę. Zrobiło się tak ciasno, że chwyciłam rękę Maude i Ivy May.

Kiedy udało nam się przejść, nagle przed nami otworzyła się zielona, słoneczna przestrzeń, pełna świeżego powietrza. Zachłysnęłam się nim, jakby to była życiodajna woda.

Strumień ludzi płynął w kierunku wozów, na których pojawiły się sufrażystki. W swoich białych sukniach przypominały mi kłębiaste obłoczki na horyzoncie.

— Przesuwać się, przesuwać — mówiła kobieta z szarfą

z napisem; DOWÓDCA POŁOWY. — Za wami czekają tysiące innych. Proszę przejść w szyku do trybun.

Chodziło o to, żeby kontynuować przemarsz, ale wszyscy i tak rozeszli się po parku. Mężczyźni, którzy do tej pory byli widzami, wmieszali się między panie. I kiedy chcąc nic chcąc, podeszliśmy do trybun, ludzie znowu zaczęli nas popychać. *Maman* byłaby przerażona, widząc nas' bez opieki wśród tych wszystkich mężczyzn. Zobaczyłam nawet tę głupią Eunice, jak krzyczała do kogoś, żeby jej przyniósł transparent. Właśnie tak się nami opiekowała.

Wszędzie było pełno transparentów, a ja szukałam tych, które sama robiłam. Było ich jednak tak wiele, że moje błędy zupełnie się między nimi zagubiły. Nawet nie przypuszczałam, że tyle osób może zgromadzić się w jednym miejscu. To było jednocześnie przerażające i ekscytujące. Czułam się tak jak wtedy, kiedy tygrys w zoo popatrzył wprost na mnie swoimi żółtymi ślepiami.

— Widzisz trybunę numer pięć? — spytała Maude.

Nie widziałam żadnych numerów, ale Ivy May wyciągnęła rękę w stronę jednej z trybun i ruszyliśmy w tamtym kierunku. Maude wciągała mnie coraz głębiej w tłum i musiałam mocniej ścisnąć dłoń Ivy May, gdyż zrobiła się mokra od potu.

— Nie idźmy już dalej — powiedziałam do Maude. — Straszny tu ścisk.

— Jeszcze trochę. Przecież szukam mamy. — Maude wciąż mnie ciągnęła.

Zewsząd otaczali nas ludzie. Przed sobą miałyśmy tylko nogi i plecy. Tłum za nami napierał coraz mocniej. Czułam nawet czyjeś ręce na plecach i ramionach.

A potem poczułam rękę na pośladkach — czyjeś palce gładziły je łagodnie. Byłam tak zaskoczona, że przez moment tylko stałam. Dłoń uniosła moją suknię i zaczęła grzebać w halkach. I to w takim tłumie — aż trudno mi było uwierzyć, że nikt tego nie zauważył.

Kiedy przesunęłam się trochę, ręka zrobiła to samo. Spojrzałam przez ramię — stojący za mną mężczyzna był w wieku taty, wysoki, siwiejący, z cieniutkim wąsikiem i binoklami.

Wpatrywał się z przejęciem w trybunę i trudno mi było uwierzyć, że to jego ręka, gdyż wyglądał na kogoś ze wszech miar godnego szacunku. Uniosłam nieco nogę i mocno przydepnęłam jego stopę. Mężczyzna skrzywił się, ale zabrał rękę. Po chwili cofnął się i zniknął w tłumie. Ktoś inny zajął jego miejsce. Zadrżałam i szepnęłam do Maude:

— Chodźmy stąd.

Zagłuszył mnie jednak sygnał trąbki. Tłum ruszył do przodu, unosząc z sobą Maude. Następnie odepchnięto mnie gwałtownie na lewo.

Rozejrzałam się, ale nigdzie nie dostrzegłam mojej przyjaciółki.

— Proszę o uwagę. Chciałabym otworzyć ten wiec zorganizowany z tak wspaniałej okazji w Hyde Parku rozległ się mocny głos.

Jakaś kobieta wdrapała się na podwyższenie na trybunie. W swojej fiołkowej sukni wyglądała jak lawenda na lodach waniliowych. Stała prosto i spokojnie.

— To pani Pankhurst — rozległy się szepty dookoła.

— Bardzo się cieszę, widząc dookoła tyle osób, zarówno kobiet, jak i mężczyzn popierających to najprostsze z praw naszego społeczeństwa. Nasz premier, pan Asquith, mówił, że chciałby zobaczyć tych, którzy są zwolennikami prawa głosu dla kobiet. Cóż, mogę tylko powiedzieć, że gdyby teraz stał na moim miejscu, nie potrzebowałby już więcej dowodów!

Tłum wydał z siebie pełen aprobaty okrzyk. Oparłam się o ramiona kobiety przede mną i podskoczyłam, starając się coś dojrzeć.

— Maude! — krzyknęłam, ale było tak głośno, że nie miała szans mnie usłyszeć.

Kobieta rzuciła mi groźne spojrzenie i strząsnęła moje dłonie z ramion. Pani Pankhurst czekała, aż aplauz ucichnie.

— Przed nami jeszcze wiele przemów — powiedziała, kiedy wokół zapanowała cisza. — Dlatego bez specjalnych ceremonii...

— Maude! Maude! — krzyknęłam.

Pani Pankhurst przerwała na chwilę i uniosła głowę.

— Chciałabym zapowiedzieć...

— Maude!

— Lavinio! — usłyszałam jej głos i dostrzegłam rękę po mojej prawej stronie. Też zaczęłam machać w tamtym kierunku, przeciskając się przez tłum.

Pani Pankhurst znowu urwała.

— Cicho. Cii... — syczały kobiety na trybunie.

Wciąż przepychałam się przez oporny tłum, nie zważając na to, co dzieje się na podwyższeniu. Nagle dostrzegłam przed sobą ostróżki i jaśmin, którymi sama dzisiaj rano ozdobiłam kapelusz Maude. W końcu ją znalazłam.

Przytuliłyśmy się do siebie. Serce Maude biło mocno, a ja drżałam.

— Chodźmy już stąd — szepnęła Maude.

Skinęłam głową i trzymając ją mocno za rękę, pozwoliłam, by to ona torowała nam drogę w tłumie. Za nami została trybuna i przemawiająca pani Pankhurst.

W końcu znowu otworzyła się przed nami przestrzeń. Kiedy doszliśmy do linii drzew, przystanęłam.

— Zaraz zwymiotuję — powiedziałam.

Maude zaprowadziła mnie do drzewa, za którym mogłam się schować.

Później znalazłyśmy zacienione miejsce, trochę oddalone od tego drzewa.

Przez parę minut w milczeniu obserwowałyśmy ludzi, którzy w pośpiechu lub spacerkiem przechodzili od jednej trybuny do drugiej. Z naszego miejsca widziałyśmy cztery z nich. Z tej odległości przemawiające kobiety wyglądały jak malutkie figurki, których ręce poruszały się niczym ramiona wiatraków.

Bardzo chciało mi się pić.

Wiedziałam, że Maude się w końcu odezwie i zada to nieuniknione pytanie. Bałam się tej chwili.

— Lavinio — powiedziała wreszcie — gdzie jest Ivy May? Po raz pierwszy tego dnia zaczęłam płakać.

— Nie mam pojęcia.

MAUDE COLEMAN

Marna siedziała zaledwie dwa drzewa dalej. Nie zauważyłyśmy jej jednak aż do końca wiecu.

W czasie kolejnych wystąpień nie było sensu nikogo szukać w tłumie, który zgromadził się wokół trybun. Lavinia rozpaczała, ale ja wiedziałam, że Ivy May to rozsądna dziewczynka — być może mało mówi, ale wszystko słyszy, więc z całapew-nościązapamiętała, że miałyśmy spotkać się z mamą przy piątej trybunie po Wielkim Krzyku, cokolwiek by to miało być.

Mówiłam to sobie i powtarzałam to Lavinii, gdy tylko chciała mnie słuchać. W końcu położyła głowę na moich kolanach i zasnęła, co jest dla niej typowe w trudnych chwilach. Uwielbia melodramaty, ale prawdziwy dramat wydaje jej się nudny. Wierciłam się na swoim miejscu, czekając, aż skończą się przemowy i Lavinia się zbudzi.

W końcu dobiegł do nas głos trąbki. Na drugi sygnał Lavinia uniosła głowę. Twarz miała czerwoną i wymiętą.

— Która godzina? — spytała, ziewając.

— Sama nie wiem. Pewnie koło piątej.

Tłum w oddali zaczął wymachiwać rękami i krzyczeć. Rozległ się trzeci sygnał trąbki. Głos tłumu zaczął narastać niczym *crescendo* w symfonii. Brzmiało to tak, jakby wszyscy krzyczeli: „Włos na głowie”. Dopiero za trzecim razem zrozumiałam, że tłum woła: „Głos dla kobiet”. Ostatni okrzyk zabrzmiał jak uderzenie pioruna, a po nim nastąpiły radosne nawoływania i śmiechy przypominające deszcz.

Nagle tłum zafalował i ruszył w naszą stronę. W morzu twarzy szukałam choć jednej znajomej. W końcu wypatrzyłam Eunice z przekrzywioną szarfą i tyczką. Przeszła szybko, nie zwracając na nas uwagi, a my nie próbowałyśmy jej zatrzymać.

— Idziemy do piątej trybuny — powiedziałam. — Ktoś tam na pewno będzie.

Wzięliśmy się za ręce i zaczęliśmy przepychać się przez tłum, co było bardzo trudne, ponieważ wszyscy zdążali w przeciwnym kierunku.

Ludzie byli wyczerpani — dzieciom chciało się pić, kobiety coraz bardziej się niecierpliwiły, a mężczyźni martwili, jak dotrą do domu.

Ponieważ nikt już nie kontrolował tłumy, na ulicach pewnie zapanował chaos. Pełno tam było ludzi, dorożek i przepełnionych omnibusów.

Powrót do domu zajmie wiele czasu.

W końcu dotarliśmy do piątej trybuny, ale ktoś zdjął już z niej numer.

Pani Pankhurst i inne kobiety zeszły z wozu, który służył jako podwyższenie, a jakiś mężczyzna zaprzęgał do niego konia.

— Zabierają trybunę! — krzyknęłam. — Jak znajdziemy mamę?

— Tam jest Caroline Black. — Lavinia pociągnęła mnie za rękaw. — Co ona ma na sobie?

Caroline Black stawiała ciężko nogi, bo wciąż była ubrana w zbroję Joanny d'Arc. Białe piórko na jej hełmie poruszało się w takt kroków.

Miała ponurą minę i aż ścisnął mi się żołądek, kiedy zobaczyłam, że jest sama.

— A, znalazłam was — powiedziała na nasz widok, ale nie uśmiechnęła się tak słodko jak zwykle. — Gdzie byliście? Szukam was już od dawna!

— Gdzie jest mama? — krzyknęłam.

Caroline Black wyglądała, jakby zaraz miała się rozpłakać.

— Twoja mama... miała mały wypadek.

— Co się stało?

— Wszystko szło tak dobrze... — Caroline Black potrząsnęła głową. —

Świetnie się bawiłyśmy, a ludzie nam wiwatowali. A koń był tak łagodny.

Z przyjemnością na nim jechałam. I tylko...

— Co się stało?! Gdzie jest mama?! — z trudem wydusiłam z siebie te słowa.

— Kiedy byliśmy przy Oxford Street, ktoś rzucił petardę. Koń się wystraszył, a Kitty obróciła się jednocześnie w jego

stronę, żeby zobaczyć mój transparent. Sama nie wiem dlaczego... Koń stanął dęba, tak że omal nie spadłam, a potem uderzył Kitty w pierś.

— Gdzie teraz jest?

— Kitty uparła się, że skończy marsz. Prowadziła konia, jakby nic się nie stało. Mówiła, że wszystko jest w porządku, tylko trochę brakuje jej powietrza. A ja, głupia, jej pozwoliłam. A potem nie chciała odejść w czasie wystąpień. Mówiła, że musi na was czekać.

— Gdzie ona jest, na miłość boską?! — krzyknęłam. Lavinia aż podskoczyła, słysząc mój głos, a parę osób obejrzało się za siebie. Jednak Caroline Black nawet nie drgnęła.

— Siedzi tam, pod drzewami. — Wskazała miejsce, z którego przyszliśmy.

Ruszyłam w tamtą stronę, ale Lavinia złapała mnie za ramię.

— A co z Ivy May?! — krzyknęła. — Musimy ją znaleźć!

— Chodźmy najpierw do mojej mamy. Potem zajmiemy się twoją siostrą. Wiedziałam, że Lavinia jest na mnie wściekła, ale nie zwracałam na to uwagi. Po chwili dotarłam pod drzewa. Mama siedziała na jednej nodze, oparta o gruby pień, a drugą wyciągnęła przed siebie.

— O mój Boże — szepnęła Lavinia na widok jej nagiej skóry.

Zapomniałam, że nie widziała mamy w jej przebraniu.

Mama uśmiechnęła się na nasz widok, ale twarz miała spiętą, jakby usiłowała coś przed nami ukryć. Z trudem oddychała.

— Witaj, Maude — powiedziała. — Podobało ci się?

— Mamo, jak się czujesz? Mama potarła pierś.

— Boli.

— Musimy dotrzeć do domu, moja droga — wtrąciła Caroline Black. — Możesz iść?

— Nie wolno jej chodzić — przerwałam, przypominając sobie zajęcia z pierwszej pomocy. — Może jej się pogorszyć.

— Czyżbyś chciała zostać lekarzem? — spytała mama. —

Myślałam, że astronomem, ale wiadomo, że często się mylę. I tak najważniejsze, żebyś została kimkolwiek. Byle nie żoną. Ale nie mów tacie. — Skrzywiła się, próbując zaczerpnąć tchu. — Idź na uniwersytet. — Cicho, mamó. Nic nie mów.

Spojrzałam za siebie. Caroline Black i Lavinia patrzyły na mnie tak, jakbym to ja miała się wszystkim zająć.

A potem zobaczyłam idącą w naszą stronę znajomą postać.

— Bogu dzięki, że pan tu jest, panie Jackson — westchnęła Lavinia, łapiąc go za ramię. — Czy może pan poszukać Ivy May?

— Nie — powiedziałam. — Niech pan sprowadzi dorożkę. Musimy zawieźć mamę jak najszybciej do lekarza.

Pan Jackson spojrzał na mamę.

— Co się stało, Kitty?

— Witaj, John — wymamrotała mama. — Widzisz, przebrałam się za Robin Hooda i kopnął mnie koń.

— Proszę pana, Ivy May się zgubiła! — krzyknęła Lavinia. — Moja mała siostra zgubiła się w tym potwornym tłumie!

Pan Jackson spoglądał to na mamę, to znów na Lavinie. Wiedziałam, że sam nie podejmie decyzji — musiałam zrobić to za niego.

— Niech pan idzie po dorożkę — zarządziłam. — Na pewno sprowadzi pan ją szybciej niż któraś z nas i będzie pan mógł przenieść do niej mamę. Caroline, proszę zaczekać tu z mamą, a ja z Lavinie poszukam Ivy May.

— Nie! — krzyknęła Lavinia, ale pan Jackson pobiegł już do bramy.

Mama skinęła głową.

— Dobrze, Maude. Świetnie sobie radzisz.

Pozostała przy drzewie z Caroline Black, która klęczała przy niej w swojej zbroi.

Wzięłam Lavinie za rękę.

— Znajdziemy ją — powiedziałam. — Obiecuję.

LAVINIA WATERHOUSE

Nie znalazłyśmy jej. Szukałyśmy wszędzie, ale nigdzie jej nie było. Chodziłyśmy tam i z powrotem po parku, przeszukując te miejsca, gdzie wcześniej stały tłumy. Przemierzałyśmy trawniki, które wyglądały tak, jakby je stratowało bydło. Ludzi było już znacznie mniej, więc nie powinnyśmy mieć problemów z wypatrzeniem samotnej dziewczynki. Ale żadnej tam nic było. Zamiast tego po parku kręciły się grupki młodych mężczyzn. Bardzo się zdenerwowałam, kiedy jacyś zaczęli nas wołać. Wzięłyśmy się z Maude pod rękę i szłyśmy tuż obok siebie. To było potwornie frustrujące — nie mogłyśmy znaleźć ani jednego policjanta czy choćby jakiejś sufrażystki z napisem: FUNKCYJNA czy DOWÓDCA POŁOWY. Nikt z dorosłych nie mógł nam pomóc. A potem podeszli do nas jacyś nieokrzesani mężczyźni. — Hej, dziewczyny! — zaczęli wołać. — Chcecie się z nami napić? Niemal pogubiłyśmy nogi, uciekając z parku. Nie biegli za nami, ale i tak nie chciałam tam wracać — zrobiło się zbyt niebezpiecznie. Stałyśmy przy bramie Marble Arch i zaglądałyśmy do środka, osłaniając oczy rękami. Staralam się wypatrzeć nie tylko Ivy May, ale również Simona. Nie widziałyśmy go od momentu, kiedy poszedł odebrać konia (którego prowadziła matka Maude w tym kostiumie! Po prostu brakuje mi słów. Nic dziwnego, że koń ją kopnął). Wspominał jednak, że może wrócić do parku. Cały czas miałam nadzieję, że może za chwilę go zobaczę — w towarzystwie Ivy May. Przyszliby, trzymając się za rękę i jedząc lody, które przynieśliby również dla nas. Ivy May spojrzałaby na mnie bezczelnie, z lek-

kim uśmiechem i błyskiem w oku, a ja bym ją uszczypnęła za to, że tak bardzo mnie wystraszyła.

— Nie ma jej tu — powiedziała Maude. — Inaczej na pewno udałoby nam się ją znaleźć. Może poszła do domu? Być może trafiła z powrotem do Euston i wsiadła tam do omnibusu. Ivy May nie jest taka głupia.

Sięgnęłam po małą łódkę, która wisiała na moim nadgarstku.

— Nie miała pieniędzy na bilet — szepnęłam. — Kazałam jej wszystko oddać, żeby ich nie zgubiła.

— Może znalazła drogę do domu — powtórzyła Maude. — Powinniśmy chyba poszukać jej jeszcze na trasie przemarszu.

— Jestem tak strasznie zmęczona, że nie dam rady. Zostańmy tu jeszcze chwilę.

I wtedy go zobaczyliśmy. Wydawał się tak mały na tle parku. Szedł w naszą stronę i kopał porozrzucane na trawie rzeczy

— kawałki papieru, kwiaty, damską rękawiczkę. Nie zdziwił się ani na nasz widok, ani kiedy Maude powiedziała mu o Ivy May.

— Ivy May zginęła — powiedziałam. — Po prostu zginęła.

— Zaczęłam płakać.

— Trzeba jej poszukać — dodała Maude.

Simon popatrzył na nas. Nigdy dotąd nie wyglądał tak ponuro.

— Możliwe, że wróciła drogą, którą tu przyszliśmy — dodała Maude. — Chodź z nami.

— W co była ubrana? — zapytał Simon. — Nie przyglądałem się jej wcześniej.

Maude westchnęła.

— Miała białą sukienkę. Białą sukienkę, tak jak wszystkie kobiety. I słomkowy kapelusz, ozdobiony kwiatami jak nasze.

Simon stanął obok i ruszyliśmy Oxford Street. Tym razem szliśmy chodnikiem wraz z innymi powracającymi z Hyde Parku, bo na jezdni było pełno dorożek, omnibusów i samochodów. Simon przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby tam również się rozejrzeć. Zaglądał przy tym do bram i uliczek, a także wpatrywał się w twarze przechodniów.

Nie sądziłam, że przejdziemy całą trasę — chciało mi się pić, bolały mnie nogi i czułam potworne zmęczenie. Ale kiedy dotarliśmy na Upper Regent Street, zobaczyłam pompę z wodą dla koni. Podstawiłam pod nią całą twarz, nie dbając o to, że może być niedobra albo że zniszczy mi fryzurę — po prostu musiałam się napić.

Kiedy dotarliśmy do punktu wyjścia, zegar na wieży St Pancras Station wybił ósmą.

— *Maman* pewnie strasznie się martwi — powiedziałam. Mimo zmęczenia bałam się wracać do domu.

— Ciągłe jest dosyć jasno — zauważyła Maude. — To najdłuższy dzień w roku, wiedziałś o tym? No, może drugi co do długości po wczorajszym.

— Maude, przestań, na miłość boską! — Nie mogłam znieść tego, że mówi jak nauczycielka. Poza tym rozboleła mnie głowa.

— Lepiej wracajmy do domu — dodała, nie zwracając na mnie uwagi. — Musimy powiedzieć o tym twoim rodzicom, żeby mogli zawiadomić policję. A ja zobaczę, co z mamą.

— Twoja matka... — zaczęłam. Nagle tak się rozżłościłam, że chciało mi się płuć. Maude odesłała pana Jacksona ze swoją matką, chociaż mógł nam pomóc. Byłam pewna, że znalazłby Ivy May. — To twoja cholerna matka wpakowała nas w te kłopoty.

— To nie jej wina! — krzyknęła Maude. — Sama koniecznie chciałaś tu przyjść!

— Nawet nie wiesz, co zrobiła twoja matka.

— Nie, Livy — ostrzegł mnie Simon. — Nawet się nie waż. Maude spojrzała najpierw na Simona, a potem na mnie.

— Nie chcę tego słuchać — powiedziała. — Nigdy mi o tym nie mów.

— Idźcie już do domu! Obydwie! — zawołał Simon. Nigdy wcześniej nie podnosił głosu. — O, tu jest omnibus. — Nawet nas popchnął w jego kierunku.

— Nie możemy zostawić Ivy May! — powiedziałam,

stając. — Nie możemy odjechać i zostawić jej w tym okropnym miejscu.

— Ja jej poszukam — powiedział Simon. Mogłabym go za to pocałować, ale on już biegł z powrotem Euston Road.

JENNY WHITBY

Nigdy nie przypuszczałam, że coś takiego zobaczę.

Nie wiedziałam, kto może dzwonić do drzwi w niedzielę po południu. Wróciłam właśnie od mamy i nie zdążyłam jeszcze włożyć czepka i fartucha. Normalnie nie byłoby mnie tam o tej porze — zwykle przychodziłam po tym, jak Jack szedł do łóżka, ale tego dnia tak się wybiegał, że zasnął zaraz po piontej.

Może ktoś ukradł klucze pani i panience Maude. A może to sąsiadka, która chciała pożyczyć znaczek albo trochę oliwy do lampy. Ale kiedy otworzyłam drzwi, stał w nich ten człowiek z cementarza z parno na renkach. A w dodatku ona nie miała na sobie normalnej spódnicy! Nogi miała gołe, jak się z nimi urodziła. Otworzyła oczy, jakby się właśnie obudziła.

Stałam w progu, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa, a pan Jackson wpełchnął się do środka, a za nim wsunęła się ta pani Black.

— Musimy ją położyć do łóżka — powiedziała. — Gdzie jest jej mąż?

— W „Buli and Last” — odpowiedziałam. — Zawsze tam chodzi po grze. Poprowadziłam ich na górę do jej pokoju. Pani Black miała na sobie zbroję, która szczenkała przy każdym kroku. Wyglądała tak dziwnie, że zaczęłam się zastanawiać, czy to nie sen.

Pan Jackson położył panio na łóżku i powiedział:

— Proszę z nią zostać. Sprowadzę jej męża.

— A ja poszukam lekarza — rzuciła pani Black.

— Najbliższy mieszka przy pubie na Highgate Road — zaczęłam. —

Moge...

Ale wyszli, zanim zdążyłam skończyć, i pani Black nie zo-

stała przy przyjaciółce. Wyglądało to tak, jakby nie chciała zostać. Byłam wieniec sama z partio, która leżała, patrzono na mnie. Nie wiedziałam, co robić. Zapaliłam świece i chciałam właśnie zasłonić okno, ale ona szepnęła:

— Zostaw. I otwórz okno.

Wyglądała głupio. w tym zielonym stroju z gołymi nogami. Pan Coleman wściekłby się, jakby jo tak zobaczył. Otworzyłam okno i usiadłam na łóżku, żeby zdjąć jej zielone butki.

— Jenny, chce cie o coś prosić — powiedziała bardzo cicho.

— Tak, pani.

— Czy ktoś wie o tym, co sie stało?

— A co sie stało? — powtórzyłam. — To był chyba wypadek.

Oczy jej błysnęły i potrząsnęła głową.

— Nie ma czasu na głupoty, Jenny. Porozmawiajmy szczerze. .. o tym, co sie stało dwa lata temu.

Od razu wiedziałam, o czym mówi. Tylko udawałam. Teraz postawiłam butki na podłodze.

— Nie, nikt poza mno i panio Baker. Sama sie domyśliła. A, i jeszcze Simon.

— Chłopiec z cmentarza? Jak to możliwe?

— To była jego matka.

— I to wszystko? Nikt wiecej?

Nie spojrzałam jej w oczy, zdejmujonc niewielko zielono czapeczke.

— Nikt. — Nie powiedziałam o liście panienci Livy. Nie było sensu jej niepokoić. Wiadomo, że ja, Simon i pani Baker beńdzie-my milczeć, ale lichu wie, co może strzelić do głowy paniencie. A może już strzeliło... Ale pani nie musiała o tym wiedzieć.

— Nie chce, żeby mcńczyźni sie o tym dowiedzieli.

— Oczywiście. — Siengnęłam do guzików z tyłu jej stroju.

— Obiecuj, że tak beńdzie.

— Obiecuje.

— I obiecuj coś jeszcze.

— Tak, pani.

— Obiecuj, że beńdziesz chronić Maude przed szponami mojej teściowej. Ściongnełam jej strój i otworzyłam usta. Cała jej pierś była jednym wielkim siniakiem.

— Boże, co sie stało?!

— Obiecuj.

Teraz zrozumiałam, o co jej chodzi.

— Ależ, pani, to na pewno sie wam zagoi. Zaraz beńdzie tu doktor. Pani Black po niego poszła, a pan... pan z cmentarza poszedł po pana Colemana.

Pani próbowała coś powiedzieć, ale jej nie dałam. Zaczęłam sie kreńcić, piononc, co mi przyszło do głowy.

— Jest teraz w pubie, ale zaraz wróci. Włóżymy tylko te koszule, zanim wszyscy sie tu zejdo. To ładno z koronkami. No, raz, przez głowę... Tak, dobrze... A teraz jeszcze włosy. Już lepiej, prawda?

Opadła na poduszki, jakby była zbyt słaba, żeby ze mno walczyć.

Oddychała cienżko i chrapliwie. Nic mogłam tego słuchać.

— Zapale tylko lampy. Dla pana i doktora. To zajmie chwile. —

Wybiegłam, zanim zdonżyła coś powiedzieć.

Pan Coleman przyszedł, kiedy zapalałam lampy w holu, potem doktor i panna Black. Poszli na górę, a potem w domu zrobiło sie cicho. Nie mogłam sie powstrzymać — stanęłam pod drzwiami, żeby posłuchać.

Doktor mówił tak cicho, że usłyszałam tylko „krwotok wewnentrzny”.

A potem pan Coleman zaatakował pannę Black.

— Dlaczego, do licha, od razu nie zawołaliście lekarza?! — krzyczał. — Podobno miało tam być dwieście tysieny ludzi. Na pewno znalazłby sie też jakiś lekarz.

— Nic pan nie rozumie — powiedziała panna Black. — Był taki ścisk, że nie można sie było ruszyć.

— Wienc czemu od razu nie przywiozła jej pani do domu? Wystarczyło trochę zdrowego rozsondku, a mogła wyjść z tego cało!

— Myśli pan, że jej o to nie prosiłam? Nie zna pan swojej żony, jeśli sądzi pan, że by się na to zgodziła. W tak ważnym historycznym momencie chciała być w Hyde Parku i wysłuchać wystompień. Nikt i nic nie mogło jej powstrzymać. Nawet pan.

— To hiperbola! — wrzasnął pan Coleman. — Nawet w obliczu tragedii stać was tylko na przesadę. Do diabła z historycznym momentem! Obejrzała pani przynajmniej jej pierś? Zobaczyła, co się stało? I kto, na miłość boską, kazał Kitty prowadzić konia. Przecież zupełnie sobie z nimi nie radzi!

— To był jej pomysł. Nikt jej nie zmuszał. Nigdy nie wspominała, że nie lubi koni.

— A gdzie jest Maude? — spytał pan Coleman. — Co się stało z moją córką?

— Pewnie... pewnie zaraz będzie w domu. — Panna Black zaczęła płakać.

Nie słuchałam wiecej. Zeszłam do kuchni i postawiłam czajnik na ogień. A potem sama się rozbeczałam.

IVY MAY WATERHOUSE

Nad je go ramieniem zobaczyłam spadającą gwiazdę. Siebie.

SIMON FIELD

Nigdy wcześniej nie widziałem trupa. To dziwne stwierdzenie w ustach grabarza. Cały czas mam do czynienia z nieboszczykami, ale wszyscy są w trumnach z zabitymi wiekami, a potem jeszcze przykrytymi ziemio. Czasami stoję na trumnie w grobie i tylko cal dzieli mnie od ciała. Ale nic nie widzę. Gdybym spendzał wiecej czasu poza cmentarzem, ciongle widywałbym trupy. Zabawne, co? Nasza mama i siostry widziały setki martwych kobiet i niemowlont, a także sońsiadów zmarłych z głodu i zimna.

To dziwne widzieć ciało kogoś, kogo znam. Gdybym jej nie szukał, na pewno bym jej nic poznał. To nie znaczy, że ktoś jo pokaleczył albo zmiażdżył. Po prostu jej tam nie ma. So nogi, rence, głowa — wszystko na swoim miejscu. Ciało leży koło stajni, za kupo cegieł. Twarz jest czysta i nawet gładka, usta zamknięte, oczy troche otwarte, jakby patrzyła ukradkiem przez rzensy. Ale kiedy patrzę na twarz — jej tam nie ma. To już nie jest osoba, ale przedmiot — tak jak worek ziemniaków. — Ivy May — mówię cicho, kucajone przy niej. Mówię to, chociaż wiem, że nie żyje. Myślę, że może ocknie sie, kiedy powiem jej imie. Nic takiego. Nie otwiera oczu i nie patrzy na mnie jak zwykle; tak jakby wszystko wiedziała i nic nie chciała powiedzieć. Nie siedzi z wyprostowanymi nogami, tak jak lubiła. Nie stoi tak, jakby mogła znieść wszystkie ciosy.

Ciało po prostu leży. A ja musze je jakoś przenieść ze stajni przy Edgware Road do Dartmouth Park.

Zastanawiam sie, jak to zrobić, żeby nikt mnie nie zobaczył. Jeśli ktoś mnie zauważy, pomyśli, że ja to zrobiłem.

Potem podnoszę głowę i widzę menżczyznc, który stoi przy

stajni. Jest wysoki. Mogę jedynie dostrzec światło lampy odbite w jego binoklach i cienki wonsik. Patrzy na mnie, a kiedy widzi, że patrzę, cofa się za budynek.

Może myśli, że to zrobiłem, i chce iść na policje. Ale nie, to on to zrobił. Nasz tatko mówi, że zbrodniarz zawsze wraca na miejsce zbrodni —jakby coś go tam ciongneło. Biegnę za stajnie, ale już go tam nie ma. Wiem jednak, że wróci. Jeśli ja jej nie zabiorę, on to robi.

Poprawiam jej sukienkę i włosy. Zapinam but, który spadł z jej nóżki. Kiedy zarzucam ją na plecy, widzę, że leżała na swoim słomkowym kapeluszu. Jest cały zniszczony, a kwiaty pogniecione. Poza tym trudno by mi było go podnieść z tym cieżarem, wienc zostawiam go na ziemi. Jeśli ktoś zapyta, powiem, że siostra zasnęła. Trzymam się z daleka od pubów. Ide wonskimi uliczkami, a potem parkami: Regents, Primmers Hill i już zaczyna się Heath. Prawie nie ma przechodniów. Nikt o nic nie pyta. O tej porze ludzie albo są zbyt pijani, albo planują własne łajdactwa i nie chcą zwracać na siebie uwagi.

Przez całą drogę myślę o słomianym kapeluszu. Żałuję, że go tam zostawiłem. Wolałbym nie zostawiać po niej ani śladu. Zanoszę ją wienc do domu, a potem wracam parkami i uliczkami. Bez cieżaru zajmuje mi to bardzo mało czasu. Ale kiedy docieram na miejsce, kapelusza i kwiatów już tam nie ma.

MAUDE COLEMAN

Czekałam na stopniach z kutego żelaza prowadzących do naszego ogrodu. W powietrzu unosił się zapach jaśminu, mięty i zwilżonej rosą trawy. Od strony stawu przy końcu ogrodu dobiegał skrzekot żab, a od kuchni pochłipywanie Jenny.

Nigdy nie potrafiłam czekać — zawsze wydaje mi się to stratą czasu i czuję się winna, że próżnuję. Nie mogłam jednak nic zrobić. Kiedy babcia przyjechała do nas, od razu zasiadła w saloniku i zajęła się robótką, ale mnie by to nie odpowiadało. Spojrzałam więc w gwiazdy i zaczęłam wyszukiwać konstelacje — Wielką Niedźwiedzicę, Kruka i Wilka.

Zegar pobliskiego kościoła wybił dwunastą.

Tato stanął w otwartych, przeszklonych drzwiach i zapalił papierosa. Nie patrzyłam na niego.

— Czyste niebo — powiedział.

— Tak.

— Szkoda, że nie możemy rozstawić teleskopu w ogrodzie. Może udałoby się zobaczyć księżycy Júpitera. Ale przecież nie wypada, prawda?

Nie odpowiedziałam, chociaż sama o tym myślałam.

— Przepraszam, że cię skrzyczałam, kiedy wróciłaś do domu, Maude.

Byłem bardzo zdenerwowany.

— W porządku.

— Bałem się, że ciebie też stracę. Poprawiłam się na zimnym metalu.

— Nie mów tak, tato. Zakaszłał.

— Tak, masz rację.

W tej chwili usłyszeliśmy przeciągły, wysoki krzyk od strony Waterhouse'ów. Cała zadrżałam.

— Co to takiego było?

Potrząsnęłam głową. Nic mu nie mówiłam o zaginięciu Ivy May. Ktoś za nami chrząknął. To lekarz zszedł na dół. Teraz, kiedy czekanie się skończyło, wołałam nie ruszać się ze schodów. Nie chciałam widzieć swojej matki. Czekałam na nią całe życie, a teraz chciałam to wydłużyć w nieskończoność —jeśli tylko to mi pozostało.

Tata rzucił papierosa do ogrodu i ruszył za lekarzem. Słyszałam jeszcze syk niedopałka w mokrej trawie. Kiedy ucichł, weszłam do domu.

Mama leżała bardzo spokojnie. Była blada, miała otwarte i nienaturalnie błyszczące oczy. Usiadłam obok. Spojrzała na mnie. Zdawałam sobie sprawę, że czeka, aż coś powiem.

Nie wiedziałam, co mówić ani co robić. Wiele razy ćwiczyłyśmy z Lavinia takie sceny, ale to wszystko wydawało mi się teraz zupełnie nieodpowiednie. Czułabym się głupio, wygłaszając jakies melodramatyczne czy banalne uwagi.

W końcu uciekłam się jednak do banału:

— Bardzo ładnie dzisiaj pachnie w ogrodzie. Zwłaszcza jaśmin.

Mama skinęła głową.

— Zawsze lubiłam zapach jaśminu w letnią noc — powiedziała. A potem zamknęła oczy.

Czy nasza rozmowa miała się zakończyć na jaśminie? Na to wyglądało.

Mocno ścisnęłam jej rękę i zaczęłam wpatrywać się w jej twarz, jakby to miało mi pomóc lepiej ją zapamiętać. Nie mogłam się z nią pożegnać.

Doktor dotknął mego ramienia.

— Będzie lepiej, jak panienka już pójdzie — powiedział. Puściłam rękę mamy i znowu wyszłam do ogrodu. Po mokrej trawie dotarłam aż do płotu. Wciąż stała przy nim drabina, chociaż nie spotykałyśmy się już z Lavinia przy ogrodzeniu. Weszłam na górę — po stronie Waterhouse'ow nie było drabiny. Przez chwilę balansowałam na szczycie płotu, a potem sko-

czyłam na mokrą trawę, brudząc sobie suknię. Kiedy doszłam do siebie, ruszyłam prosto w stronę przeszklonych drzwi, które prowadziły do ich salonu.

Cała rodzina tworzyła półkole, jakby ustawił ich tak jakiś malarz. Ivy May leżała na szezlongu, z włosami na twarzy i zamkniętymi oczami. Lavinia leżała u stóp siostry z głową opartą o szezlong. Pani Waterhouse siedziała w fotelu po drugiej stronie i trzymała Ivy May za rękę. Pan Waterhouse opierał się o kominek, zasłaniając sobie oczy. Tylko Simon stał ze spuszczoną głową przy drzwiach.

Wystarczyło, że ich zobaczyłam, niby razem, a jednak każde pograżone w swoim smutku, żeby zrozumieć, że Ivy May nie żyje.

Miałam pustkę w sercu, a teraz poczułam ją w żołądku.

Kiedy weszłam, wszyscy na mnie spojrzeli. Lavinia podskoczyła i z płaczem rzuciła mi się w ramiona. Spojrzałam przez jej ramię na panią Waterhouse. Odniosłam wrażenie, że widzę własne odbicie. Miała suche oczy i wyraz twarzy kogoś, kto już nigdy nie podniesie się po tym, co przeżył.

Dlatego zwróciłam się właśnie do niej.

— Moja mama nie żyje.

KITTY COLEMAN

Przez całe życie Maude trwała przy moim boku, nawet jeśli jej tam nie było. Odpychałam ją, ale ona się nie poddawała.

A teraz trzymałam jej rękę i nie chciałam jej puścić. To ona musiała to zrobić. Gdy tak się w końcu stało, wiedziałam, że zostałam sama i że czas już odejść.

SIMON FIELD

Następnego dnia pan Jackson poszedł i strzelił temu białemu koniowi prosto w głowę.

Później, kiedy kopałem z naszym tatko i Joem, przyszła policja, żeby mnie przesłuchać. Nasz tatko nie wyglondał nawet na zaskoczonego. Pokreścił tylko głowo, a ja wiedziałem, co myśli — że nie powinienem się zadawać z dziewczynami.

Policjanci stawiali mi różne pytania — nie tylko na temat tego, jak znalazłem Ivy May, ale co robiłem tego dnia, dlaczego wzięłem konia i jak to było z panią Coleman i panem Jacksonem. Moim zdaniem, niewiele wiedzieli, a w dodatku nie byli zbyt uprzejmi. Wyglondało to tak, jakby chcieli sobie ułatwić prace i zwalić wszystko na mnie.

Kiedy zanosilo się na to, że w końcu mnie oskarżo, powiedziałem: — Kto byłby taki głupi, żeby najpierw zabić dziewczynkę, a potem zanieść jo do rodziców.

— Zdziwiłbyś się, gdybyśmy ci powiedzieli, co robio różni przestempcy — mruknoł jeden z nich.

Pomyślałem o tym wysokim menźczyźnie koło stajni. Ale kiedy miałem im opisać, jak znalazłem Ivy May, nawet o nim nie pisnołem. Tak byłoby łatwiej — mieliby przynajmniej kogo szukać.

Ale wiedziałem, że go nie znajdo — nie te fagasy. Ale ja tak. Kiedyś. Dla Ivy May.

JOHN JACKSON

Umówiłem się z panną Coleman przy jej rodzinnym grobie. Zastanawiałem się, czy nie spotkać się z nią przy grobie Faradaya, gdzie spędziłem tyle chwil z jej matką, ale był to niemądry, sentymentalny i w dodatku ryzykowny pomysł. Gdybyśmy spotkali się w alejce odszczepieńców, mogłoby to wzbudzić podejrzenia, a tak po prostu wyglądało na to, że omawiamy szczegóły pogrzebu.

Ubrała się na czarno, a włosy upięła sobie wysoko pod czarnym słomkowym kapeluszem. Nigdy nie widziałem jej w tej fryzurze — wyglądała o parę lat starzej. Nie wie o tym, ale zaczyna przypominać Kitty.

— Dziękuję, że pani przyszła, panno Coleman — powiedziałem, kiedy stanęliśmy przed grobem. — Szczerze pani współczuję. Dla nas wszystkich była to wielka tragedia. Przynajmniej pani matka połączyła się z Bogiem.

Spojrzałem szybko na ziemię. Często składałem kondolencje rodzinom na cmentarzu, ale teraz te słowa wydały mi się zupełnie nieodpowiednie.

— Moja mama nie wierzyła w niebo — powiedziała Maude. — Wie pan o tym.

Przez chwilę zastanawiałem się, co miały znaczyć te ostatnie słowa. Czy Maude wiedziała o tym, co łączyło mnie z jej matką? Miała tak nieprzenikniony wyraz twarzy, że trudno mi było zgadnąć.

— Simon nie powiedział, w jakiej sprawie chciał się pan ze mną spotkać — podjęła po chwili. — Zakładam, że chodzi o pogrzeb mojej mamy, chociaż sądziłam, że tata omówił już z panem wszystkie szczegóły.

— Tak, widziałem się z nim wczoraj. Ale nie wspomniałem mu o jednej rzeczy. Może omówimy to razem.

Maude uniosła brwi, ale milczała.

Trudno mi było to powiedzieć — tak dobierać słowa, żeby zaoszczędzić jej wstrząsu.

— Pani matka powiedziała mi kiedyś, że woli kremację od zwykłego pogrzebu.

Maude popatrzyła na urnę Colemanów, jakby nigdy wcześniej jej nie widziała.

— Tak, wiem. Zawsze bała się, że pochowają ją żywą.

— Więc może mogłaby pani powtórzyć to ojcu?

— Dlaczego nie powiedział mu pan o tym wczoraj? Milczałem przez chwilę.

— To nie było oficjalne. Pani Coleman nie zostawiła żadnego dokumentu. Dlatego stwierdziłem, że nie powinienem się wtrącać.

Maude wydeła wargi.

— Tata i tak o tym wie. Sprzeczał się z tego powodu. Uważa, że powinniśmy postępować zgodnie z ogólnie przyjętymi normami, jeśli idzie o... o ciało.

— Nie zgodzi się, nawet jeśli się dowie, że właśnie tego pragnęła jego żona?

— Zrobi tak, żeby to dobrze wyglądało. — Maude urwała. — Stracił ją, a teraz, kiedy znów jąodzyskał, zrobi wszystko, by ją zatrzymać.

— Wszyscy ludzie tak robią—powiedziałem. — Czy myśli pani, że wszystkie te urny i anioły w jakimkolwiek stopniu wyrażają osobowość zmarłych? Że coś dla nich znaczą? Trzeba być całkowicie pozbawionym egoizmu, żeby zrobić to, czego życzyła sobie osoba zmarła i nie ulec własnym czy społecznym oczekiwaniom. Miałem nadzieję, że pani ojciec jest właśnie takim człowiekiem.

— Ale jeśli wszystkie te pomniki nic nie znaczą dla zmarłych, to to samo dotyczy ich ciał — zauważyła Maude. — Skoro im nie zależy, to może powinniśmy myśleć właśnie o so-

bie? W końcu to my zostajemy. Często miałam wrażenie, że cmentarz to bardziej miejsce dla żywych niż dla zmarłych. Tak projektujemy grób, by przypominał nam zmarłych i to, co po nich zostało.

— Czy urna na grobie rodzinnym będzie pani przypominać matkę — to, kim była i czego pragnęła?

— Nie, wcale — przyznała. — Moja mama chciałaby grobu z pomnikiem pani Pankhurst, a pod jej nazwiskiem widniałby napis: „Prawo głosu dla kobiet”.

Pokręciłem głową.

— Nie, gdyby sama miała decydować, wybrałaby grób bez pomnika i napisów, a tylko z polnymi kwiatkami.

Maude zmarszczyła brwi.

— Ale mama umarła, prawda? Umarła na zawsze. Nie zaprojektuje już swojego grobu.

To niezwykła młoda osoba — niewielu mogłoby to powiedzieć i nawet nie drgnąć.

— A ponieważ nie żyje — ciągnęła — wszystko jej jedno, co stanie się z jej ciałem. Wiemy przecież, że nie pogrzebią jej żywcem. Nam pozostał żal. A ponieważ mój ojciec poniósł największą stratę, to on powinien decydować w tej sprawie.

Pochyliłem się i strząsnąłem pajaka z grobu Waterhouse'ów. Wiedziałem, że nie powinienem od niej zbyt wiele wymagać — w końcu ma tylko trzynaście lat i właśnie straciła matkę. Stwierdziłem jednak, że muszę to zrobić dla Kitty.

— Prosiłbym tylko panią, panno Coleman, żeby przypomniała pani ojcu o woli jego żony. Oczywiście on sam zdecyduje, co z tym zrobić.

Skinęła głową i chciała odejść.

— Maude — powiedziałem.

— Tak?

— Cośjeszcze.

Przymknęła na chwilę oczy, a potem znowu na mnie spojrzała.

— Twoja matka... — Urwałem nagle. Nie mogłem jej tego

powiedzieć. To byłoby naruszenie moich obowiązków i mógłbym z tego powodu stracić pracę. Chciałem jednak ostrzec. — Będzie lepiej, jeśli jak najszybciej porozmawia pani o tym z ojcem.

— Dobrze.

— To bardzo pilne. Bardziej, niż się pani wydaje.

— Porozmawiam z nim dzisiaj. — Odwróciła się i pośpieszyła ścieżką do wyjścia.

Stałem tam jeszcze jakiś czas, patrząc na grób Colemanów. Trudno mi było wyobrazić sobie, że właśnie tutaj pochowają Kitty. Chciało mi się śmiać na widok tej absurdalnej urny.

RICHARD COLEMAN

Przyszła do mojego gabinetu, kiedy pracowałem. Na jej widok przestałem pisać.

— O co chodzi, Maude?

Wzięła głęboki oddech. Była bardzo zdenerwowana.

— Mama mówiła mi kiedyś, że chciałyby, żeby ją spalono i rozrzuciono jej prochy.

Spojrzałem na swoje ręce. Miałem plamkę atramentu na jednym mankiecie.

— Twoja matka mówiła mnóstwo rzeczy, które się nie sprawdziły.

Kiedyś powiedziała, że chce mieć czworo dzieci. A czy masz jakieś siostry lub braci? Czasami to, co myślimy i co robimy, to dwie zupełnie różne sprawy.

— Ale...

— Wystarczy, Maude. Nie mam już w tej sprawie nic więcej do powiedzenia.

Maude zadrżała. Powiedziałem to ostrzejszym tonem, niż chciałem.

Trudno mi ostatnio zapanować nad głosem.

— Przepraszam, tato — szepnęła. — Chodziło mi tylko o mamę. Nie chciałam cię denerwować.

— Wcale mnie nie zdenerwowałaś! — Przycisnąłem pióro tak mocno do papieru, że złamałem stalówkę. — Cholera! — Rzuciłem pióro.

Maude wymknęła się bez słowa.

Im szybciej skończy się ten tydzień, tym lepiej.

LAYINIA WATERHOUSE

Zakupy u Jaya przy Regent Street, 22 lipca 1908 roku;

1. Jedna czarna suknia ze zwykłego jedwabiu dla mnie — na pogrzeb i na niedziele. Moja dawna wełniana będzie na co dzień. Widziałam też śliczną jedwabną ze zdobieniami z krepy aż pod samą szyję, ale niestety była za droga.

2. Jedna czarna suknia z bombazyny dla *Maman*. Wygląda na cienką i wyświeconą, więc usiłowałam ją przekonać, żeby kupiła sobie jedwabną, ale powiedziała, że nie mamy na to pieniędzy i lepiej będzie, jeśli ja dostanę to,

0 co mi chodzi. To bardzo miło z jej strony.

3. Jedna czarna bawełniana spódniczka dla mnie, dwie pary reform obszytych czarną wstążką.

4. Jeden czarny filcowy kapelusz z welonem dla mnie. Nalegałam na welon — po płaczu wyglądałam naprawdę okropnie i będę chciała zakryć czerwone oczy i nos. *Maman* nie kupiła sobie kapelusza, ale powiedziała, że ufarbuje jakieś nakrycie głowy. Ale nabyła przynajmniej kilka strusich piór, by je ozdobić.

5. Dwie pary czarnych bawełnianych rękawiczek dla mnie i mamy. Mają śliczne zapięcia z gagatu. *Maman* wybrała sobie zwykłe, bez zapięć, ale nie zauważyła, kiedy je zamieniłam. Również rękawiczki, wstążkę do kapelusza i czarny fular dla taty.

6. Siedem obszytych czarną wstążką chusteczek — dwie dla mamy, pięć dla mnie. Potrzebowałam więcej, ale *Maman* nie pozwoliła mi ich kupić. Sama wcale nie płacze, ale nalegałam, by też je miała na wypadek, gdyby zaczęła.

7. Dwieście stron papieru z czarną obwódką średniej wielkości.

8. Sto kart pamiątkowych z napisem:

IVY MAY WATERHOUSE LAT 10

Śliczny Kwiatuszku, pachniesz teraz Na łąkach Pana w niebie, Wielu w Dniu Sądu przejmie żalność szczerą, Że żyli dłużej od Ciebie.

Sama wybrałam to epitafium, ponieważ *Mamon* poczuła się źle i musiała wyjść ze sklepu. Subiekt powiedział, że nadaje się ono raczej dla niemowlęcia, ale mi się bardzo spodobało, zwłaszcza fragment o kwiatuszku, który pachnie w niebie, i nalegałam, żeby je wydrukować.

Mogłabym spędzić cały dzień u Jaya — to wielka pociecha przebywać w sklepie, w którym najważniejsze są ludzkie uczucia. *Mamon* jednak nie chciała zostać dłużej i zezłościła się na mnie. Nie wiem, co z nią począć.

Biedactwo, zrobiła się bardzo blada i prawie nic nie mówi, chyba że ma się czemuś sprzeciwić. Większość czasu spędza w swoim pokoju, leżąc w łóżku, jakby była chora. Rzadko wychodzi, żeby się z kimś spotkać, więc musiałam się zająć bawieniem gości — nalewaniem herbaty i

pilnowaniem, by Elizabeth donosiła ciasteczka. Przyjechało tylu kuzynów, że nam się skończyły, i musiałam wysłać ją do piekarni po więcej. Sama nic nie jem, z wyjątkiem kawałka lub dwóch chleba z rodzynekami, który zaleca sam królewski lekarz.

Próbowałam zainteresować *Maman* kondolencjami, które przysły pocztą, ale odnoszę wrażenie, że ich nie czytała. Sama musiałam na nie odpowiedzieć. Bałam się, że gdybym zostawiła to *Maman*, szybko by o tym zapomniała, co byłoby dużym nietaktem.

Ludzie piszą zadziwiające rzeczy o Ivy May —jaki z niej był aniołek i dobra córka, jak wielkim była wsparciem dla mamy i że wszystkim będzie jej brakować. Czasami mam ochotę zapytać, czy nie pomylili osób. Ale zamiast tego podpisuję się tylko wyraźnie, dużymi literami, żeby wiedzieli, kto się wszystkim zajął.

Przy śniadaniu *Maman* powiedziała mi, że nie chce, żebym wracała do szkoły, i że mogę skończyć semestr w domu. (Co zupełnie mi odpowiada, bo nie mam nastroju na siedzenie w klasie. Pewnie wszystkim bym przeszkadzała swoim płaczem). A w następnym semestrze zmienię szkołę i zacznę chodzić do Sainte Union przy Highgate Road. Aż zadrżałam na tę wieść, bo dziewczęta, które tam 'chodzą, mają takie śliczne mundurki. Oczywiście trochę mnie to zaskoczyło, bo szkoła jest katolicka, ale może nie powinnam się dziwić—*Maman* widziała się wczoraj wieczorem z księdzem z parafii św. Józefa przy Highgate. *Papa* nie protestował. Jeśli znajduje pociechę w katolicyzmie, cóż można powiedzieć?

Papa ma pełne ręce roboty w związku z przygotowaniem do pogrzebu, co tylko wychodzi mu na dobre. Pomagam mu, kiedy mogę, gdyż *Maman* nie jest w stanie. Kiedy przyszedł do nas przedstawiciel zakładu pogrzebowego, to ja wybrałam sukienkę do trumny (tę z białej bawełny z bufiastymi rękawami, która kiedyś należała do mnie), a także kwiaty (lilie) oraz fryzurę (luźne loki i wianuszek z białych róż). Natomiast *Papa* zdecydował w sprawie trumny, koni i tym podobnych. Poszedł również na cmentarz, na plebanię oraz na policję.

To był prawdziwy wstrząs, kiedy przyprowadził do domu policjanta, który miał mnie przesłuchać! Ten człowiek starał się być miły, ale zadawał mi tyle pytań, że w końcu sama nie wiedziałam, kiedy dokładnie zgubiła się moja siostra. Staralam się trzymać dzielnie, ale zużyłam chyba wszystkie kupione chusteczki. Na szczęście *Maman* była na górze i nie słyszała szczegółów. *Papa* miał łzy w oczach, kiedy usłyszał to wszystko. Policjant wypytywał mnie o mężczyznę w tłumie. Pytał też o Simona, jakby go o coś podejrzewał! Natychmiast wyprowadziłam go z błędu i opowiedziałam o tych ludziach, którzy ścigali mnie i Maude. I o tym, jak bardzo się przestraszyłyśmy.

Nie wspomniałam tylko o mężczyźnie, który mnie dotykał. Wiedziałam, że powinnam, że właśnie o to mu chodzi, ale nie mogłam przemóc wstydu. Z trudem znosiłam myśl, że to właśnie

on złapał Ivy May. Gdybym tylko o nim opowiedziała, to byłoby jak przyznanie, że to właśnie on maczał w tym palce. Wolałam, przynajmniej w myślach, nie wiązać z nim mojej siostry.

Nikt nie powiedział, co się stało z Ivy May. Ale domyśliłam się. Nie jestem idiotką. Widziałam ślady na jej szyi.

Dziś wieczorem, kiedy stanęłam przy oknie, zobaczyłam Maude w jej pokoju. Pomachałyśmy sobie, ale czułam się bardzo dziwnie i po chwili się wycofałam. Nie możemy się spotykać, ponieważ żałoba wyklucza towarzyskie wizyty. Poza tym nie sądzę, żeby takie spotkanie przyniosło mi ulgę — myślę tylko o jej matce, która zostawiła nas w tym tłumie, i o tym, jak spocona ręka Ivy May wyslizguje się z mojej.

Usiadłam na swoim łóżku i spojrzałam na białe, stojące w kącie łóżeczko, które należało do Ivy May. Nigdy już nie będziemy leżeć razem w ciemności i opowiadać sobie historii — to znaczy, ja jej nie będę opowiadać. Zostałam sama.

Poczułam taki ból na widok tego łóżeczka, że zesłam na dół i poprosiłam tatę, żeby je zabrał.

GERTRUDE WATERHOUSE

Ciężar winy tak mnie przygniótł, że nie mogę wstać z łóżka. Był tu już ksiądz i lekarz, ale żaden z nich nie potrafił mi pomóc.

Nie powiedziałam im — ani Albertowi — że tylko udawałam. Mój kochany Albert wciąż myśli, że miałam zwichniętą nogę. Gdybym nie udawała i zabrała dziewczynki na ten marsz, albo lepiej — nie pozwoliła Livy iść, Ivy May wciąż byłyby z nami.

Zabiłam córkę z powodu własnej głupoty, a skoro jej już tu nie ma, sama nie chcę żyć.

EDITH COLEMAN

Przede wszystkim od razu wymówiłam pracę tej bezczelnej służącej. Przykro mi przyznać, że mimo żałoby sprawiło mi to olbrzymią satysfakcję. Oczywiście płakała i załamywała ręce, ale nie zmieniłam decyzji - - prawdę mówiąc, utwierdziłam się tylko w przekonaniu, że dobrze zrobiłam. Jenny miała czelność wspomnieć Maude.

— Co panienka teraz robi? — biadoliła.

— To samo co do tej pory. Ja się nią zajmę. Zostanę tu tak długo, jak będzie trzeba. Ale to nie powinno cię interesować.

Spojrzała na mnie ze strachem.

— Zwolniłam cię już dwa lata temu — dodałam. — Mam nadzieję, że pamiętasz, z jakiego powodu. Moja synowa nie powinna była cię znowu przyjąć. Spakuj się szybko. Przyślę ci zapłatę.

— A co z moimi referencjami?

— Czy sądzisz, że mogę dać referencje komuś takiemu? — parsknęłam.

— Ale jak inaczej znajdę nowo o pracę?

— Powinnaś była o tym pomyśleć, zanim zaczęłaś się gzić z tamtym mężczyzną.

Jenny wybiegła z pokoju. O dziwo, po paru minutach pojawiła się pani Baker, żeby się za nią wstawić.

— Dlaczego miałabym zatrzymać kogoś tak niemoralnego? — powiedziałam jej. — Jestem pewna, że będzie lepiej, jeśli zostanie w domu i zajmie się tym swoim biednym dzieckiem.

— Tylko czym je wyżywi? Powietrzem?

— Słucham?

— Nieważne, proszę pani. Nie chodzi mi o Jenny, tylko o panienkę.

Maude straciła matkę i nie chcę, żeby musiała się

rozstać z najbliższymi jej osobami. Jenny opiekowała się nią od dziecka. Jest dla niej jak rodzina.

— Nie jest jej żadną rodziną! — Wpadłam we wściekłość. Z trudem panowałam nad swoim głosem. — To bezczelność stawiać ją na równi z Colemanami! Poza tym Maude nie potrzebuje Jenny, bo ma mnie! — Chciałam nawet powiedzieć, że dzięki stracie matki zyskała babkę, ale się powstrzymałam.

Jenny musiała odejść. Maude nic nie powiedziała, chociaż stała bardzo blada w holu i długo za nią patrzyła.

Potem, ze względu na nią Richarda, podjęłam kolejną decyzję.

Następnego dnia po śmierci Kitty do domu zaczęły napływać kwiaty: piękne wiązanki z lili, irysów, chabrow i białych róż, z fioletowymi, białymi i zielonymi wstążkami. Do tego napisy: „Poległej towarzysze”, „Silne nadzieją— tak w niebie, jak i na ziemi” oraz „Poległa dla sprawy”. A poza tym ten piekielny telefon wciąż dzwonił, więc musiałam kazać go wyłączyć. Jednak później zaczęły przychodzić do nas coraz to nowe sufrażystki, pytając o pogrzeb, więc poleciłam wynajętej pokojówce, żeby odprawiała je z kwitkiem. To jasne, że zaczynają traktować Kitty jak męczennicę. Zaczęłam się bać tego, co by się stało, gdyby sufrażystki pojawiły się większą grupą na pogrzebie — mogłyby go zamienić w polityczny wiec. Nie mogłam pozwolić, żeby nazwisko Jamesa znowu obrzucono błotem.

I nie pozwoliłam. Przedstawiłam mój plan Richardowi, a on od razu się zgodził. Reszta poszła już łatwo — w końcu dyskrecja jest podstawą działalności zakładów pogrzebowych.

JENNY WHITBY

Dogoniła mnie, kiedy szłam z torbo uiico. Przestałam już płakać — za bardzo bałam się tego, co miało się ze mno stać. Nic nie powiedziała. Zarzuciła mi tylko rence na szyję i przycisnęła mnie mocno.

Nie może nic zrobić — trzynastoletnia dziewczynka nie poradzi sobie z tako babko. Czuje się okropnie, że nie dotrzymałam słowa danego jej matce, ale ja też nie mam żadnego wpływu na te jendze. Pani powinna była o tym wiedzieć. Nie mogę też ukryć jej sekretu. To jest już teraz w renkach Boga, czy raczej panienki Livy,

Nie powinnam się już teraz tym wszystkim przejmować — mam inne problemy. Bende musiała utrzymać moje marne i syna bez pensji i pracy. Nie mam czasu na łzy. W torbie schowałam pozostało cześć zastawy, ale to nie wystarczy na długo.

ALBERT WATERHOUSE

Muszę przyznać, że wstyd mi za własną córkę. Wiem, że przeżywa ciężkie chwile, tak jak my wszyscy. Zastanawiałem się nawet, czy to wytrzyma. Jednak bardzo żałuję, że obie z Maude powiedziały sobie te wszystkie okropności, i to publicznie, przy grobie Ivy May, której nie potrafiłem ochronić przed złymi ludźmi. Cieszę się tylko, że Trudy, którą pocieszała jej siostra, nie słyszała tej kłótni. Nie zniosłaby czegoś takiego. Na początku poszło o sukienkę Maude. Nie znam się na tym, ale miała na sobie piękny strój ze szlachetnego jedwabiu, którego Livy jej zazdrościła. Moja córka powiedziała więc, że jest zbyt ostentacyjny dla trzynastoletniej dziewczynki.

— Lavinio, przecież nawet nie wiesz, co to słowo znaczy — odpowiedziała jej Maude. — Suknie żałobne z definicji nie mogą być ostentacyjne.

Zdziwiło mnie to, ponieważ Maude jest zwykle bardzo łagodna. Jednak trzeba pamiętać, że straciła matkę. Livy była wstrząśnięta i — niestety — wściekła.

— Wiem dosyć, żeby móc stwierdzić, że nie powinnaś nakładać tego płaskiego kapelusza do tej sukni — powiedziała Livy. — A tym bardziej upinać włosów. To wygląda idiotycznie, a w dodatku kosmyki opadają ci na szyję. Masz zbyt rzadkie włosy, żeby upinać je tak jak ja.

— Być może zapomniałaś, że nie mam matki, żeby poprosić ją o radę — rzekła Maude. — Ani siostry. Ani nawet służącej.

— Ja też nie mam siostry! To ty zapomniałaś!

Maude wyglądała na naprawdę zmartwioną tym, co powiedziała, i gdyby Livy pozwoliła jej przeprosić, zapewne na tym by się skończyło. Ale oczywiście nie mogła jej nie dopiec:

— Myślisz tylko o sobie! Czy nie zastanawiałaś się nad biedną matką, która straciła córkę? Czyż może być coś gorszego?

— Być może strata matki — bąknęła Maude. Rozmowa przybrała tak dziwny obrót, że w końcu musiałem się wtrącić, żałując, że nie zrobiłem tego wcześniej. (Często mi się to zdarza).

— Livy, proszę, odprowadź mamę do powozu ~— powiedziałem, starając się pokazać Maude, jak bardzo mi przykro.

— Lavinio, tato. Ile razy mam ci powtarzać?

Livy odwróciła się i ruszyła w stronę matki. Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć — sam nie wiem co — ale Maude w tym czasie uciekła w głąb cmentarza.

W nocy nie mogłem spać i zszedłem na dół ze świecą, żeby wziąć egzemplarz „Cassell's” czy „Queen”. Nigdy wcześniej nie zaglądałem do kobiecych lektur — na szczęście nie muszę zajmować się domem. W końcu jednak znalazłem to, czego szukałem. W obu było napisane, że okres żałoby po dziecku i po którymś z rodziców jest taki sam i wynosi rok.

Zostawiłem obie książki na stoliku otwarte na tej stronie, ale kiedy rano zszedłem do pokoju, leżały już gdzie indziej.

MAUDE COLEMAN

Jeszcze do tej pory drzę. Nigdy wcześniej nie byłam tak wściekła. Mam również pretensje do siebie za to, co powiedziałam. Lavinia wydobyła ze mnie wszystko, co najgorsze. Znacznie trudniej pogodzić mi się z tym niż z jej uwagami. Przyzwyczaiałam się już do tego, że mówi głupoty, i do tej pory udawało mi się nie zniżyć do jej poziomu.

Siedziałam bardzo długo przy śpiącym aniele. Sama nie wiedziałam, gdzie biegnę, aż się tam znalazłam. I tam właśnie mnie znalazł. Chyba się tego spodziewałam. Przysiadł na marmurowej płycie, ale nie patrzył na mnie i wciąż milczał. Już taki jest.

Spojrzałam na pogodne, błękitne niebo. Dzień był obrzydliwie ładny jak na pogrzeb — jakby Bóg stroił sobie z nas żarty.

— Nienawidzę Lavinii — powiedziałam i kopnęłam wykę, która rosła koło grobu z aniołem.

— Jakbym słyszał Livy — mruknął Simon. Miał rację.

— Ale przecież nie jesteś Livy — dodał. Wzruszyłam ramionami.

— Posłuchaj, Maude... — zaczął, ale zaraz urwał.

— Co takiego?

Simon postukał palcem w marmur.

— Kopiemy właśnie grób twojej mamie.

— A. — Nie miałam pojęcia, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

— Ale za wcześnie na to. Pogrzeb ma być pojutrze. Tam jest piach, wienc powinniśmy kopać jutro po południu. Inaczej może się zawalić. To niebezpieczne, bo wzmocnienia mogo tak długo nie wytrzymać. A poza tym obok jest grób Ivy May. Wca-

le mi się to nie podoba — ziemia jest wtedy bardziej wzruszona. No, ale chyba nie mam wyboru, prawda?

— Kto kazał wam wykopać teraz grób mamy?

— Zarzondca. Dzisiaj rano. Nasz tato próbował z nim rozmawiać, ale powiedział, żeby zabrać się do roboty zaraz po pogrzebie Ivy May.

Mówił, że bierze wszystko na siebie.

Kiedy urwał, czekałam, aż znowu zacznie. Wiedziałam, że chce mi coś powiedzieć i że muszę tylko wykazać cierpliwość.

— Rozejrzałem się wieniec po biurze, ale nie znalazłem nic poza mapami. Ale potem usłyszałem, że ktoś zarezerwował kaplicę na jutro rano. Inne trumny przyjadą tu z kościołów. Teraz już wiem, dla kogo jest kaplica.

Potrząsnęłam głową.

— Tata mówił mi, że nabożeństwo za mamę odbędzie się w piątek po południu. W kościele Św. Anny.

— Jeden z żałobników z pogrzebu Ivy May powiedział mi, że jutro też ma pogrzeb w kaplicy. — Simon nie zwrócił uwagi na moje słowa. — To będzie twoja mama. Tylko jej grób będzie gotowy na rano.

Wstałam. Czułam ból, kiedy tak mówił o mamie, ale nie chciałam tego okazać.

— Dziękuję, że mi powiedziałaś. Spytałam tatę, czy coś się zmieniło.

Simon skinął głową.

— Po prostu chciałem, żebyś o tym wiedziała — mruknął zakłopotany.

Zastanawiałam się, czy wie o prośbie pana Jacksona dotyczącej kremacji

— dowiedział się przecież tylu rzeczy. Ale jeśli nawet tak było, nie

wspomniał o tym ani słowem. Pan Jackson spojrzał na mnie, kiedy

staliśmy przy grobie Ivy May, ale tylko pokręciłam głową w odpowiedzi

na to milczące pytanie. Zresztą pewnie sam się domyślił, że tato nie

zgodził się na spalenie zwłok, bo inaczej dostałby oficjalną wiadomość.

Poruszyłam jednak inny temat, bo byłam pewna, że Simon zna

odpowiedź na moje pytanie.

— Co się wtedy stało z Ivy May? — Spojrzałam mu prosto w oczy. — Nikt nie chce mi powiedzieć.

Simon poprawił się na płycie. Przez dłuższy czas milczał i zaczęłam się zastanawiać, czy mam powtórzyć pytanie. W końcu chrząknął.

— Ktoś jo udusił.

Powiedział to takim głosem, że mnie samej ścisnęło się gardło.

— Jakiś mężczyzna?

Simon skinął głową, a widząc jego minę, zrozumiałam, że nie powinnam pytać dalej.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

— Przykro mi z powodu twojej mamy — dodał nagle. Pochylił się w moją stronę, pocałował w policzek i zeskoczył z grobu. Tyle go widziałam.

W przedpokoju naszego domu natknęłam się na babcię, która oglądała przyniesione niedawno kwiaty — lilie przewiązane zieloną, białą, fioletową i czarną wstążką.

— Sufrażystki! — mamrotała. — Dobrze, że... — Urwała, kiedy mnie zobaczyła. — Już wróciłaś?

— Nie byłam u Waterhouse'ow. Jeszcze — wyznałam.

— Jeszcze nie? Wobec tego idź.

— Pójdę — skłamałam. — Ale chciałam najpierw... porozmawiać z panią Baker.

Zbiegłam po schodach, zanim zdołała się zorientować, że wcale nie mam zamiaru iść na stypę do Waterhouse'ow. Nie zamierzałam jej mówić, że nie chcę patrzeć na pozbawioną życia twarz pani Waterhouse. Trudno mi było wyobrazić sobie, co czuje matka, która straciła własne dziecko, w dodatku w tak tajemniczych i okropnych okolicznościach. Mogłam to tylko porównać z bólem i pustką, którą poczułam po śmierci mamy. W moim życiu zabrakło nagle tego, co uważałam za oczywiste. Być może mama nie zajmowała się mną ostatnio, ale przynajmniej żyła. Miałam teraz wrażenie, że była tarczą chroniącą mnie przed ogniem — kiedy zginęła, poczułam na twarzy jego palący oddech.

Jednak pani Waterhouse przeżywała coś, co trudno mi było nawet opisać. Czyżby Lavinia miała rację i ta śmierć była czymś jeszcze gorszym? Sama nie wiem. Czułam tylko, że pozbawione życia spojrzenie pani Waterhouse we mnie samej otwiera otchłań.

Zamiast więc iść na stypę do Waterhouse'ów, pobiegłam do pani Baker, żeby zapytać o naszą. Skoro sama ją przygotowywała, to powinna wiedzieć o wszelkich zmianach.

Mieszła właśnie auszpik w garnku stojącym na kuchni.

— Dzień dobry, panienko — powiedziała. — Powinna panienka coś zjeść. Ostatnio nic panienka nie bierze do ust...

— Dziękuję, nie jestem głodna. Chciałam... chciałam zapytać, czy wszystko będzie gotowe na piątek? Babcia mnie przysłała.

Pani Baker spojrzała na mnie dziwnie.

— Tak, oczywiście. — Odwróciła się do garnka. — Przecież rozmawiałam z nią dziś rano. Nic się nie zmieniło w ciągu tych dwóch godzin. Galareta wołowa zastygnie w ciągu nocy, a szynkę przyniosą dziś po południu. Pani Coleman chciała, żebym przygotowała wszystko wcześniej, bo będę musiała jej pomóc. Nie jest zadowolona z tej nowej pokojówki. Nie, żebym sama wszystko zrobiła. Nie będę pełzać na kolanach. — Spojrzała na garnek. Wiedziałam, że brakuje jej Jenny, chociaż nie chciała się do tego przyznać.

Z całą pewnością uważała, że pogrzeb odbędzie się w piątek. Jeśli tata go przełożył, to wiedział o tym tylko on i być może babcia. Bałam się ich o to pytać, a poza tym wiedziałam, że i tak nic mi nie powiedzą.

Kiedy następnego dnia zeszłam na śniadanie, zarówno tata, jak i babcia siedzieli przy stole w swoich najlepszych strojach żałobnych, wpatrując się w nietknięte filiżanki z kawą. Mieli dziwne miny, ale powiedzieli tylko: „Witaj, Maude”, a ja usiadłam i spojrzałam na zimną owsiankę. Próbowałam jeść, ale nie mogłabym przełknąć ani odrobiny i tylko bełtałam w niej łyżką.

Odezwał się dzwonek u drzwi. Tata i babcia podskoczyli.

— Ja otworzę — powiedziała babcia do wynajętej pokojówki, która czała się przy kredensie. Spojrzałam na tatę, ale nawet nie podniósł głowy — wpatrywał się w gazetę, chociaż nie sędzę, by ją czytał.

Usłyszałam przyciszone głosy dobiegające z przedpokoju, a potem ciężkie kroki i skrzypienie schodów. Kiedy odgłosy kroków przeniosły się do pokoju mamy, wiedziałam, że Simon miał rację.

— Czemu to zrobiłeś, tato? Wciąż patrzył gdzie indziej.

— Skończ owsiankę, Maude.

— Nie jestem głodna. Dlaczego zmieniłeś datę pogrzebu?

— Idź się przebrać w swoją nową sukienkę, Maude — odezwała się od drzwi babcia.

Nie ruszyłam się z miejsca.

— Chcę wiedzieć, dlaczego to się stało? Mam prawo wiedzieć.

— Nie masz żadnego prawa! — ryknął ojciec i uderzył pięścią w stół, aż kawa wylała się z filiżanek. — Nie chcę tego więcej słyszeć. Jesteś moją córką i masz robić, co ci każę! A teraz idź się przebrać!

Nie ruszyłam się z miejsca. Tata spojrzał na mnie.

— Czy już nikt mnie nie słucha w moim własnym domu? Czy z jej powodu nawet córka odmawia mi posłuszeństwa?

Nie ruszyłam się z miejsca.

Tata zamachnął się i zrzucił ze stołu miskę z owsianką, która rozbiła się tuż przed przerażoną służącą.

— Richardzie! — rzuciła ostrzegawczo babka i obróciła się do mnie.

Miała twarz pomarszczoną mocniej niż zwykle, jakby źle spała w nocy.

— Pogrzeb odbędzie się dziś rano, bo nie chcemy, żeby brał w nim udział obcy element. Teraz idź się przebrać, a ja porozmawiam z panią Baker.

Wkrótce zajędzie po nas powóz.

— Nie chciałem, żeby przejęły go sufrażystki — wtrącił nagle

tata. — Widziałaś, co się działo, jak ją wypuścili z więzienia. Świątowały tu swoje zwycięstwo. Do licha, nie pozwolę z niej zrobić męczennicy! Poległa w boju towarzyszka—już tak mówią. Cholera je wszystkie! — Oparł się o krzesło z twarzą tak pełną bólu, że prawie byłam gotowa wybaczyć mu jego zachowanie.

Wiedziałam, że nic nie mogę zrobić, więc pobiegłam na górę. Kiedy przechodziłam obok pokoju mamy — którego unikałam przez cały tydzień, zostawiając babci wszystkie czynności — usłyszałam miarowe odgłosy. Ludzie z zakładu pogrzebowego przybijali wieko trumny. Znalazłszy się w swoim pokoju, przebrałam się szybko. I dopiero wtedy zrozumiałam, że jednak mogę coś zrobić. Wzięłam papier i pióro i napisałam krótką notatkę, zatrzymując się tylko, by przypomnieć sobie adres, który tak często widywałam w rubryce na listy miejscowej gazety. Potem chwyciłam kapelusz i rękawiczki. Pobiegłam na dół, mijając tatę i babcię, którzy popatrzyli na mnie ze zdziwieniem.

Pani Baker stała przy stole ze skrzyżowanymi na piersi rękami, patrząc na rozłożone przed nią potrawy, w tym imponującą szynkę w galarecie. — Pani Baker, jeśli lubiła pani moją mamę, proszę znaleźć kogoś, kto by to natychmiast przekazał pod ten adres — szepnęłam. — Zanim będzie za późno.

Pani Baker spojrzała na adres, a potem bez słowa podeszła do drzwi wychodzących na ogród. Kiedy wsiadałam do powozu, zauważyłam, jak przekazuje mój list jakiemuś chłopcu. Nie wiem, co mu powiedziała, ale ten pomknął przed siebie jak wicher.

Lał deszcz. Ludzie z zakładu pogrzebowego wyłożyli ulicę przed naszym domem słomą, ale nie było to konieczne, gdyż ulewa zagłuszała wszelkie odgłosy. Paru sąsiadów zauważyło karawan i wyszło przed dom, ale większość nic nie wiedziała o przyspieszonym pogrzebie.

W powozie siedzieliśmy w milczeniu. Patrzyłam przez okno najpierw na mijane domy, a potem na długi przycmentarny mur z cegły i żelaza. Przed nami jechał przeszkłony karawan, cały

skapany w deszczu. Mijani ludzie zdejmowali na chwilę kapelusze na jego widok.

Na cmentarzu powitał nas pan Jackson z wielkim parasolem. Najpierw pomógł wysiąść babci, a potem mnie. Skłonił mi się lekko, a ja również zdołałam skinąć głową. A potem poprowadził nas do wejścia do kaplicy, gdzie już czekała ciocia Sarah. Jest ona dwanaście lat' starsza od mamy i mieszka w Lincolnshire. Nie spotykały się często. Ciocia pocałowała mnie zdawkowo na powitanie i potrząsnęła dłonią taty. A potem poszliśmy na nabożeństwo.

Siedziałam z przodu, między tatą a ciocią Sarah. Babcia zajęła miejsce po drugiej stronie taty. Na początku byliśmy tylko we czwórkę z pastorem z parafii Św. Anny. Ale kiedy zaczęliśmy śpiewać pierwszy hymn *Blżej, mój Panie, Ciebie*, dołączyły do nas inne głosy. Odwróciłam się i zobaczyłam pana Jacksona z Simonem, którzy stali przy drzwiach. A kiedy kończyliśmy drugi hymn *Wytrwajcie ze mną* (którego mama, oczywiście, nie znosiła), drzwi otwarły się z trzaskiem. Stała w nich, dysząc ciężko, Caroline Black, w przekrzywionym kapeluszu i z włosami w nieładzie. Tata zeszywniał.

— Cholera z nią! — mruknął.

Caroline Black zajęła miejsce gdzieś pośrodku. Zdołałam jeszcze skinąć jej głową, kiedy spojrzałam przez ramię. Czułam, że tata aż gotuje się ze złości, i uśmiechnąwszy się lekko, wysunęłam do przodu brodę, jak to robiła mama w chwilach buntu.

Cholera z tobą, pomyślałam. Cholera z tobą.

Kiedy wszystko już się skończyło — kiedy trumnę złożono w grobie, a Simon ze swoim tatą zaczęli ją miarowo zasypywać w lejącym deszczu, i kiedy odwróciłam się, by jechać do domu — Caroline Black złapała mnie za rękę. Dopiero wtedy wreszcie się rozplakałam.

DOROTHY BAKER

To zbrodnia, że zmarnowało się tyle jedzenia. A ona nawet nie przeprosiła — po prostu powiedziała, że zmieniły się plany i że na stypie będą tylko cztery osoby. A ja przygotowałam potrawy na pięćdziesiąt!

Wyszłam stamtąd i nigdy nie wróciła, gdyby nie panienka Maude. W ciągu tygodnia straciła matkę, Jenny, a jeśli wierzyć służącej

Waterhouse'ów — to również najlepszą przyjaciółkę. Tylko jej tego trzeba, żebym ja też odeszła.

SIMON FIELD

O tym, co dziś się stało, nigdy nie powiem Maude. Być może nikomu. Po pogrzebie pani Coleman zaczynamy z naszym tatko i Joem zasypywać grób. Głównie piaskiem, wienc nawet w deszczu trudno nabrać go wiecej na łopate. Zawsze trudniej jest kopać w takiej glebie. Gliniasto trzeba przecinać, ale potem trzyma się równo i nie opada.

Kopaliśmy tu naprawdę ostrożnie, bo zaraz obok jest grób Ivy May. Dziura sienga dwunastu stóp, tak żeby starczyło miejsca dla Maude, jej taty i babci. Wzmocniliśmy dodatkowo brzegi i sprawdziliśmy, czy deski porzondnie pasujo. Piasek może zabić, jak się na niego nie uważa. Zasypujemy go już od jakiegoś czasu i grób zapełnia się do połowy. Tak leje, że jesteśmy cali mokrzy. A potem czapka naszego tatki spada do grobu.

— Zaraz po nio złażę — mówię do naszego tatki.

— Nie, synu. Sam to zrobię. — Nasz tatko skacze do grobu jak młody chłopak. Londuje prosto na czapce i zaczyna się śmiać. — Prosto w cel. Jesteś mi winny kufel piwa.

— Skond mam wzić piwo? — śmieje się. — Trzeba by po nie daleko iść.

Jedyny pub w okolicy, gdzie wpuszczają grabarzy, to „Duke of St Albans” przy końcu Swain's Lane, ale nasz tatko ma tam zakaz wstempu, od kiedy upił się tak, że próbował pocałować żonę właściciela, i jeszcze zniszczył krzesło.

A potem słycać trzask i puszczało wzmocnienia od strony grobu Ivy May. Ziemia się osuwa, a nasz tatko może tylko się skulić, żeby nie dostać desko w głowę.

To musi dziać się szybko, ale wcale na to nie wyglonda. Wy-

daje się, że długo widzę, jak tatko patrzy w górę, jakby usłyszał piorun, a potem czeka na następne uderzenie. Wydaje mi się, że wzdycha; „Och!” A potem ziemia opada i grzebie go aż po pas. Następuje przerwa, ale chyba krótka, bo nawet nie zdążyliśmy się poruszyć z Joem, czy powiedzieć choć słowo.

Nasz tatko widzi mnie przez sekundę i mam wrażenie, że się do mnie uśmiecha. A potem ziemia zupełnie go zasypuje.

— Człowiek pod ziemią! — staram się przekrzyknąć deszcz. — Człowiek pod ziemią!

Nikt tutaj nie lubi tych słów.

Ziemia ciągle się porusza, jakby była żywa, ale nie widzę już naszego tatki. Jakby go tam nie było. Miotamy się z Joem dookoła, starając się zapobiec dalszemu osypywaniu. Grób wypełnił się w trzech czwartych. Potrzebujemy jakiejś drabiny albo belki, żeby go nad nim położyć, ale niczego takiego nie ma w pobliżu. Mieliśmy drabinę, ale ktoś ją pożyczył. Kiedy kogoś zasypie, nie ma na co czekać. Nasz tatko umrze za parę minut bez powietrza. Skacze do dziury, chociaż nie powinienem, landując jak kot, na czworaka. Patrzę i patrzę, i w końcu widzę — to nasz tatko mnie tego nauczył. Z ziemi wystaje palec, ledwie jego drżący koniuszek. Pamiętał o tym, żeby wyciongnąć w górę rękę. Zaczynam drzeć pazurami ziemię dookoła. Boję się robić to szpadłem. Kopie tak mocno, że za paznokcie dostaje mi się piasek i czuje ból.

— Trzymaj się, tatko — powtarzam. — Zaraz cię wyciongniemy. Mam już palce. Zaraz cię wyciongniemy.

Nie mam czasu nawet na to, żeby spojrzeć w górę. Ale gdybym to zrobił, zobaczyłbym Joego, jak stoi bezradnie na skraju grobu. To wielki chłop i może godzinami kopać, ale z myśleniem u niego gorzej. Nie nadaje się do delikatnej roboty. Lepiej, że tam został.

— Joe, zacznij liczyć! — krzyczę, nie przerywając kopania. — Zacznij od dziesięciu. — Zakładam, że kopie już dziesięć sekund.

— Dziesiąc — mówi Joe. — Jedenaście, dwanaście...

Jak dojdzie do dwustu, a mnie nic uda się odkopać twarzy naszego tatki, będzie za późno.

— Trzydziści dwa.

— Sześćdziesiąt pięć.

— Sto dwadziścia jeden.

Czuje coś nad głową i patrzę w górę. Nad grobem pojawiła się drabina. Jeśli ziemia znowu zacznie się osypywać, będzie mógł ją złapać. A potem ktoś skacze do grobu. To pan Jackson. Obejmuje rękami kupe ziemi, którą wykopałem. Nie wiedziałem, że jest taki silny, ale udaje mu się przesunąć ziemię, żebym miał trochę miejsca. Robi to, co trzeba, chociaż nic mu nie mówię.

— Sto siedemdziesiąt osiem.

Dotykam czegoś. To druga ręka naszego tatki. Kopie dookoła niej i podnoszę ją, żeby nie nasypać mu piasku do ust i nosa. Oczy są zamknięte i jest zupełnie błydy. Przykładam ucho do jego nosa, ale nie czuje oddechu.

A potem pan Jackson odsuwa mnie i przykładą swoje usta do ust naszego tatki, jakby go całował. Wdmuchuje mu parę razy powietrze do ust, a potem widzę, że pierś tatki zaczyna się unosić.

Patrzę w górę. Wokół grobu stoją milczący ludzie — grabarze, ogrodnicy, kamieniarze i nawet chłopcy do pomocy. Wieści rozniosły się szybko i wszyscy tu przybiegli. Mimo deszczu zdejmowali czapki i czekają, patrząc.

— Dwieście dwadziścia sześć. Dwieście dwadziścia siedem. — Joe wciąż liczy.

— Możesz przestać, Joe — mówię, ocierając twarz. — Tato oddycha.

Joe milknie. Ludzie na górze zaczynają przestępować z nogi na nogę, pokaszływać. Mówią to, co do tej pory chcieli zatrzymać dla siebie.

Niektórzy nie lubią naszego tatki za to, że zagłonda do butelki, ale nikogo nie cieszy widok zasypanego człowieka.

— Daj nam szpadel, Joe — mówi pan Jackson. — Mamy jeszcze sporo roboty.

Nigdy wcześniej nie byłem w grobie z panem Jacksonem. Nie jest tak dobry w kopaniu jak ja czy inni grabarze, ale chce ze rano wydobyć stonę naszego tatki. Nie mówi też czekajoncem, żeby wracali do pracy. Wie, że chce zobaczyć, jak to się skończy.

Z przyjemnością z nim pracuje.

Odkopanie naszego tatki zajmuje dużo czasu. Musimy uważać, żeby nic zrobić mu nic złego. Nasz tatko przez jakiś czas ma zamknięte oczy, jakby spał, ale potem je otwiera. Mówię do niego, kopionc, żeby się nie przestraszył.

Nasz tatko nic nie mówi, tylko patrzy w niebo, chociaż deszcz zalewa mu twarz. Zachowuje się tak, jakby tego nie czuł. Zaczynam mieć złe przeczucia, ale nic nie mówię, bo nie chce nikogo straszyć.

— Popatrz, tatko — mówię, chcąc, żeby się odezwał. — Popatrz, to pan Jackson. Nie myślałeś pewnie, że go zobaczysz, jak kopie.

Nasz tatko ciongle milczy. Powoli przestaje być taki blady, ale czegoś wciąż brakuje w jego oczach.

— Chyba będzie ci musiał postawić to piwo, tatko — dodaje przerażony. — I nie tylko ja. Może nawet pozwoli ci się napić w „Duke of St Albans”. Może beńdziesz mógł nawet pocałować żonę właściciela.

— Daj mu spokój, chłopcze — mówi delikatnie pan Jackson. — Przecież dopiero go odkopaliśmy. Może mirionć trochę czasu, zanim dojdzie do siebie.

Pracujemy wienc w milczeniu. Kiedy w końcu udaje nam się wykopać naszego tatkę, pan Jackson sprawdza, czy nie ma złamanych kości. Potem bierze naszego tatkę za rence i podaje go Joemu. Ten kładzie go na wozie do wożenia kamieni i dwóch ludzi ciongnie go do bramy. Wychodzimy z panem Jacksonem z grobu. Obaj jesteśmy ubłoceni. Pan Jackson rusza za wozem. Stoję w miejscu, nie bardzo wiedząc, co robić — grób jeszcze nie zasypany, a przecież to moja robota. Ale dwóch innych grabarzy chwyta za szpadle. Nic nie mówio — po prostu pracujcie razem z Joem.

Biegnę za panem Jacksonem. Kiedy go doganiam, chce mu podziękować, powiedzieć coś, co by nas zbliżyło. Przecież niemal stykaliśmy się w grobie pani Coleman. Wienc mówię to, co wiem o nim i o niej, żeby zrozumiał, co nas wionże i jak bardzo jestem mu wdzieczny za uratowanie naszego tatki.

— Przykro mi z powodu dziecka, proszę pana — mówię. — Jestem pewny, że ona też żałowała. Nigdy już nie doszła do siebie, prawda? Obraca się i patrzy na mnie ostro.

— Jakiego dziecka? — pyta.

Dopiero wtedy dochodzi do mnie, że nic o tym nie wiedział. Ale już jest za późno, wienc mówię mu wszystko.

maj 1910 roku

LAVINJA WATERHOUSE

Gdy tylko usłyszałam dzwony, pomyślałam, że mama w swoim stanie może się zaniepokoić z ich powodu. Ale przecież zawsze wołała królową Wiktorię od jej syna. Oczywiście to bardzo smutne, że umarł, i współczuję biednej królowej Aleksandrze, jednak ta śmierć nawet się nie umywa do tej sprzed dziewięciu lat.

Otworzyłam okno, żeby się rozejrzeć. Powinno padać albo przynajmniej być mglisto, ale oczywiście nie było. Przywitał mnie słoneczny i miły majowy dzień. Pogoda nigdy nie potrafi dostosować się do sytuacji. Bicie dzwonów przepelniało powietrze. Ich ton był tak żałobny, że się przeżegnałam. A potem zastygłam. Po drugiej stronie Maude również otworzyła okno i wychyliła się w swoim białym szlafroku. Patrzyła wprost na mnie i wyglądała tak, jakby się uśmiechała. Omal się nie cofnęłam, ale byłoby to bardzo niegrzeczne, ponieważ już mnie dostrzegła. Zostałam więc przy oknie i nawet skinęłam jej głową, z czego byłam bardzo dumna. Maude odwzajemniła ten gest.

Nie rozmawiałyśmy od prawie dwóch lat — od pogrzebu Ivy May. Zdziwiająco łatwo udawało mi się jej unikać. Nie chodzimy już do tej samej szkoły, a na ulicy po prostu jej nie widziałam. Czasami na cmentarzu, kiedy widziałam ją przy grobie matki, musiałam poczekać, aż sobie pójdzie.

Tylko raz spotkałyśmy się twarzą w twarz na ulicy. To było ponad rok temu, Ja byłam z *Maman*, a ona ze swoją babcią, więc nie mogłam tego uniknąć. Babcia Maude składała kondolencje *Maman*, co trwało dosyć długo, a my po prostu patrzyłyśmy bez słowa na swoje buciki. Czułam się wyjątkowo niezręcznie. Udało mi się jednak zerknąć na nią parę razy i zauważyłam, że

już na co dzień upina sobie włosy i nosi gorset! Byłam do tego stopnia zaszokowana, że chciałam jej zwrócić uwagę, ale oczywiście nie mogłam. Zaraz po tym spotkaniu zaciągnęłam mamę do gorseciarza. Nigdy nie mówiłam mamie o końcu mojej przyjaźni z Maude. Wie, że się pokłóciłyśmy, ale nie ma pojęcia dlaczego — byłaby zbulwersowana, gdyby się dowiedziała, że poszło również o nią. Sama uważa, że postępujemy niemądrze. Być może ma rację. Nie przyznałabym się do tego, ale brakuje mi Maude. W Sainte Union nie spotkałam nikogo, z kim mogłabym się tak zaprzyjaźnić. Prawdę mówiąc, dziewczynki w tej szkole są dla mnie okropne, pewnie dlatego, że jestem od nich znacznie ładniejsza. Tak śliczna twarz może być ciężarem, chociaż z drugiej strony — wołałabym ją zachować.

Sądzę, że moje skinięcie w stronę Maude to gest wybaczenia.

Zeszłam na śniadanie w szlafroku, robiąc smutną minę z powodu śmierci króla. Jednak *Maman* zachowywała się tak, jakby wcale nie słyszała dzwonów. Brzuch ma tak duży, że trudno jej siedzieć przy stole, więc jadła grzanekę z marmoladą, leżąc na szezlongu, a *Papa* czytał jej gazetę. Nawet kiedy przeszedł do części informacyjnej, *Maman* uśmiechała się do siebie, trzymając dłoń na brzuchu.

— Taka smutna wiadomość — powiedziałam, całując ich na powitanie.

— Witaj, kochanie — powiedziała *Maman*. — Chcesz poczuć, jak dziecko kopie?

Doprawdy, miałam ochotę wyjść z pokoju. To dobrze, że *Maman* tak się cieszy z tego dziecka, zwłaszcza w jej wieku, i że nareszcie trochę zaróżowiły jej się policzki, ale nie powinna zapominać o biednej Ivy May.

Papa uśmiechnął się, jakby mnie zrozumiał. To z jego powodu zostałam i zjadłam owsiankę, chociaż wcale nie byłam głodna.

Kiedy wróciłam do swojego pokoju, żeby się przebrać, przez dłuższy czas zastanawiałam się, co na siebie włożyć. Oczywiście-

cie coś czarnego z powodu króla, ale sam widok mojej starej sukienki przyprawil mnie o mdłości. Być może gdybym miała tę śliczną jedwabną od Jaya, mogłabym ją nałożyć, ale spaliłam ją rok po śmierci Ivy May. Nie należy trzymać stroju żałobnego — w ten sposób tylko kusi się Los. Poza tym miałam ochotę nałożyć niebieską sukienkę. Ma ona dla mnie specjalne znaczenie — wkładałam ją tak często, jak mogę, zwłaszcza po tym, jak okazało się, że *Maman* jest w ciąży. Chcę mieć braciszka. Wiem, że to niemądre, ale mam nadzieję, że ten kolor może okazać się pomocny. Nie chcę jeszcze jednej siostry — przypominałaby mi tylko o tym, jak bardzo zawiodłam Ivy May. O tym, że puściłam jej rękę. Włożyłam więc niebieską suknię. Jest przynajmniej ciemnoniebieska — z daleka może wydawać się czarna.

Dzisiejszy dzień jest smutny nie tylko z powodu śmierci króla, ale też dlatego, że wraz z nim odchodzi epoka jego matki. Gdyby to ona zmarła, bez wahania wybrałabym czarną suknię. Ostatnio czuję się tak, jakbym tylko ja uważała ją za przykład dla nas wszystkich. Nawet *Maman* patrzy w przyszłość. Powoli czuję się zmęczona tym, że płynę pod prąd.

MAUDE COLEMAN

Leżałam w łóżku i próbowałam zgadywać, który dzwon pochodzi z którego kościoła: tego pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny na jednym wzgórzu, ze Św. Michała i ze Św. Józefa na wzgórzu Highgate czy naszej św. Anny na dole. W każdym odzywał się tylko jeden dzwon i chociaż wszystkie dzwoniły inaczej i w różnym tempie, nie mogłam ich odróżnić. Nie słyszałam takiego hałasu od śmierci królowej Wiktorii. Wysunęłam głowę za okno i zobaczyłam żegnającą się Lavinie. Zwykle, kiedy widziałam ją w ogrodzie lub na ulicy, czułam się tak, jakby ktoś mnie uderzył. Ten obcy gest tak mnie jednak zaskoczył, że zapomniałam o swoich uprzedzeniach. Musiała nauczyć się, jak robić znak krzyża, w szkole Sainte Union. Przypomniałam sobie, że parę lat temu bała się chodzić do alei odszczepieńców, gdzie znajdowały się groby katolików, i uśmiechnęłam się. Zabawne, jak wszystko się zmienia.

Właśnie wtedy mnie zobaczyła i po chwili wahania skinęła mi głową, że dostrzegła mój uśmiech. Ten uśmiech wcale nie był dla niej przeznaczony, ale uznałam, że muszę zrobić to samo.

Następnie odeszliśmy od naszych okien, a ja przez chwilę wahałam się, co na siebie włożyć. Suknia z jedwabiu wisiała na swoim miejscu, ale musiałabym ją najpierw dać do przeróbki. Bardzo się zaokrągliłam w ciągu tych dwóch lat, a poza tym noszę teraz gorset. Po śmierci mamy chodziłam ubrana na czarno i po raz pierwszy zrozumiałam, dlaczego się to robi. Ten kolor nie tylko odzwierciedla uczucia osoby w żałobie, ale też pozwala nie myśleć o tym, w co się ubrać. Bardzo długo z ulgą myślałam o tym, że nie muszę wybierać żadnej sukienki. Co rano miałam w szafie gotową odpowiedź. Nie chciałam włożyć ni-

czego innego ani w ogóle przejmować się swoim wyglądem. Dopiero kiedy zapragnęłam kolorów, zrozumiałam, że powoli dochodzę do siebie. Czasami zastanawiałam się, jak Lavinia radzi sobie z tak długim okresem żałoby. Sześć miesięcy po siostrze, chociaż podejrzewałam, że przedłużyła to do roku. Teraz zaczęłam myśleć o tym, co włoży po śmierci króla.

Znowu spojrzałam na moje suknie. A potem mój wzrok padł na tę szarą, która należała do mamy, i pomyślałam, że powinna na mnie pasować. Babcia nie lubi, kiedy wkładam suknie mamy, ale po ataku apopleksji ma problemy z mówieniem, a ja nauczyłam się nie zważać na jej niechętnie spojrzenia.

Myślę, że częściowo chodzi jej o tatę, dlatego staram się nie nosić przy nim tych strojów. Widzę teraz, jak pali w ogrodzie. Mama zawsze mu tego zabraniała, ponieważ rzuca niedopałki na trawę. Zeszłam na dół w szarej sukni i wymknęłam się, zanim zdążył mnie zauważyć.

Na Swain's Lane było pełno gazeciarzy wykrzykujących najświeższe wieści o zgonie króla, a niektóre sklepy przystrojono już czernią i fioletem. Nikt jednak nie malował krat na czarno, jak to było po śmierci królowej. Nie wszyscy też włożyli żałobne stroje. Ludzie rozmawiali ze sobą normalnie, anie przyciszonym głosem. Wymieniali uwagi na temat śmierci króla. Pamiętam, że kiedy zmarła królowa Wiktoria, wszystko dookoła zamarło — nikt nie pracował, zamknięto szkoły i sklepy. Zabrakło nam wtedy chleba i węgla. Jednak teraz wcale się na to nie zanosilo — piekarz dostarczy nam chleb, mleczarz mleko, a węglarz przywiezie węgiel. Byłam pewna, że gdybym wybrała się do Heath, jak zwykle w sobotę zastałabym tam dzieci puszczające latawce.

Chciałam zwrócić książkę do biblioteki, ale jednak była zamknięta.

Niewielka karteczka na drzwiach informowała o śmierci króla. Niektórzy pozostawali wierni tradycji. Spojrzałam na cmentarną bramę po drugiej stronie ulicy i przypomniałam sobie białe sukno, które wiatr zwiął na trumnę, a także pana Jack-

sona i pannę Black. To wszystko wydawało się takie odległe, a mimo to czułam, że straciłam mamę tak niedawno.

Nie chciałam wracać do domu, więc weszłam na cmentarz i skierowałam się ku jego głównej części. Po drodze spotkałam ojca Simona, który siedział na płycie nagrobnej, oparty o celtycki krzyż. Jedną rękę położył na kolanie i patrzył w dal, jak mężczyźni, którzy wypatrują czegoś na morzu. W jego oczach odbijał się błękit nieba, więc trudno mi było powiedzieć, na co patrzy. Byłam pewna, że mnie nie spostrzegł, ale i tak się zatrzymałam.

— Dzień dobry.

Rozejrzał się, ale sprawiał takie wrażenie, jakby mnie nie zauważył.

— Dzień dobry — powiedział.

— Szkoda naszego króla, prawda? — dodałam, czując, że powinnam nawiązać rozmowę.

— Szkoda naszego króla — powtórzył ojciec Simona. Dawno go nie widziałam. Kiedy przychodziłam do Simona, jego ojca właśnie nie było przy grobie — szukał drabiny, liny albo taczki. Kiedyś widziałam go, jak spał, oparty o grób, ale pomyślałam, że odsypia nocne pijaństwo.

— Czy wie pan, gdzie mogę znaleźć Simona?

— Znaleźć Simona.

Położyłam dłoń na jego ramieniu i zajrzałam mu głęboko w oczy.

Chociaż patrzył na mnie, to wcale nie poznawał. Był jakby ślepcem, który może widzieć. Coś się stało. Coś takiego, że nie mógł dalej pracować.

Zaczęłam się zastanawiać, co mu się przydarzyło.

Ścisnęłam jego ramię.

— Nieważne. Miło mi było znów pana spotkać.

— Znów pana spotkać. Ruszyłam dalej, mając łzy w oczach.

Staralam się trzymać z daleka od naszego grobu i włóczyłam się po cmentarzu, oglądając krzyże, kolumny, urny oraz milczące i lśniące w słońcu anioły. W końcu jednak okazało się, że idę dobrze znajomą alejką.

Ona czekała już na mnie przy grobie. Miała na sobie czarną sukienkę, ale kiedy podeszłam bliżej, okazało się, że jest niebieska — taka, jaką mama ku powszechnemu zgorszeniu włożyła po śmierci królowej Wiktorii. Uśmiechnęłam się na ten widok, ale kiedy Lavinia zapytała mnie, dlaczego to zrobiłam, miałam na tyle rozumu, żeby nie zdradzić jej prawdy.

SIMON FIELD

Siedzo każda na swoim grobie, tak jak kiedyś. Dawno ich nie widziałem razem, chociaż nie chciały powiedzieć, co się między nimi popsuło. Za dużo się pewnie wydarzyło jak na ich lata.

Nie widzo mnie — dobrze się schowałem.

Nie są już takie jak dawniej — nie trzymają się za ręce i się nie śmieją. Siedzą dość daleko od siebie i rozmawiają uprzejmie. Słyszę, jak Maude pyta;

— A jak tam twoja mama? Livy robi śmieszno mine.

— Już niedługo urodzi dziecko.

Maude jest tak zaskoczona, że omal nie parskam śmiechem.

— To wspaniale. Tylko myślałam... myślałam, że jest już za stara, żeby mieć dzieci. I po Ivy May...

— Ale nie jest.

— Cieszysz się?

— Oczywiście — odpowiada Livy. — W końcu życie toczy się dalej.

— Mhm.

Obie patrzą na swoje groby — na płyty Ivy May i pani Coleman.

— A jak twoja babcia? — pyta Livy.

— Ciongle jest u nas. Parę miesięcy temu miała atak apopleksji i nie może mówić.

— Ojej.

— Tak jest lepiej. Łatwiej z nią mieszkać.

Obie chichoczą, jakby Maude powiedziała coś, czego nie powinna.

Wychodzę zza grobu, szurając nogami po ziemi, żeby mnie usłyszały.

Obie podskakują.

— Witaj — mówi Maude.

A Livy dodaje:

— Gdzie byłeś, łobuziaku? — Jak za dawnych czasów. Kucam przy grobie dziadka po drugiej stronie alejki, biorę dwa kamyki i pocieram je między palcami.

— Skond wiedziałeś, że tu jesteśmy? — pyta Maude. Wzruszam ramionami.

— Wiedziałem, że przyjdziecie. Przecież król umarł, no nie?

— Niech żyje król — mówio razem, a potem uśmiechajo sie do siebie.

— Jaka szkoda — dodaje Livy. — Jeśli *Maman* urodzi chłopca, beńdzie musiała go nazwać George. Osobiście wole Edward. Mogłabym nazywać go Teddy. Zdrobnienie Georgie nie jest tak miłe.

— Brakowało mi twoich niemondrych uwag — śmieje sie Maude.

— Daj spokój — mówi Livy.

— Simon, widziałam twojego tate — mówi nagle Maude. Kamyki wypadajo mi z renki.

— Co sie z nim stało? — pyta bardzo cicho.

— Wypadek. Maude milczy.

— Zasypało go w grobie. Udało sie go wykopać, ale... — Znowu wzruszam ramionami.

— Bardzo mi przykro — szepcze Maude.

— Mnie też — dodaje Livy.

— Chciałbym cie o coś prosić — mówię do Livy.

Patrzy na mnie. Założę sie, że myśli o tamtym pocałunku sprzed paru lat. Ale nie o to mi chodzi.

— Pamientasz, że oznaczałem groby w tej okolicy? Już wszystkie poza tym. — Pokazuje anioła Waterhouse'ow. — Pamientasz, zaraz po śmierci królowej powiedziałaś, żebym tego nie robił? Teraz jednak chciałbym. Dla Ivy May. Żeby pamientać.

— Co tu pamientać? — mówi Livy. — Zostały po niej tylko kości. To okropne!

— Nie, nie, żeby pamientać, że wcionż tu jest. To prawda,

że cześćciowo zgnije, ale kości zostano tu bardzo długo, może dłużej niż kamienie. Setki lat. Dłużej niż mój rysunek. To właśnie jest ważne, a nie sam grób i pomnik.

Maude patrzy na mnie jakoś tak dziwnie. Widzę, że ona też do tej pory nie rozumiała, po co rysuje trupio czaszkę, chociaż jest mondrzejsza od Livy. Livy przez chwile milczy.

— Dobrze — mówi w końcu.

Wstaje, żeby pójść za grób. Kiedy zaczynam skrobać nożem, one powracają do swojej rozmowy.

— Wszystko mi jedno — mówi Livy. — Ten anioł zupełnie mi zubożentniał od czasu tamtego upadku. Ciongle czekam, że znowu spadnie z cokołu. I patrzę przede wszystkim na wyszczerbiony nos i szyje.

— Nigdy nie lubiłam naszego grobu — mówi Maude. — Kiedy na niego patrzę, w ogóle nie myślę o mamie, chociaż jest na nim tablica z jej nazwiskiem. Czy wiesz, że chciała, żeby jo spalono?

— Co? I wsadzono do kolumbarium? — Livy jest przerażona.

— Nie, chciała, żeby jej prochy rozsypano wśród kwiatów. Tak przynajmniej mówiła. Ale tata nie chciał tego zrobić.

— Ja myślę.

— Czuje sie fatalnie, patrzonc na ten grób, ale jak mówiłaś

— życie toczy sie dalej.

Kończę rysunek i składam nóż. Mam wrażenie, że w końcu pozbyłem sie jakiegoś zestarzałego strupa. Byłem to winny Ivy May. Wychodzę z za grobu i kiwam im głowo.

— Musze wracać do roboty. Joe zaraz zacznie mnie szukać.

— Milczę przez chwile. — Beńdziecie tu do mnie przychodzić, prawda?

— Oczywiście — odpowiadają.

Nie wiem, dlaczego o to spytałem, bo przecież znam odpowiedź i to inno, niż mi podały. Dorastają i już nie bawio sie na cmentarzu. Maude upina wysoko włosy i coraz bardziej przypo-

mina swojej matkę, a Livy, cóż, Livy... Jak skończy osiemnastkę, wyjdzie za męża, pewnie za jakiego wojskowego.

Wyciongam renkę do Maude. Jest zdziwiona, ale ją przyjmuje.

— Żegnaj — mówię. Wie, dlaczego, bo ona też zna prawdziwą odpowiedź.

Nagle podchodzi do mnie i całuje w brudny policzek. Livy natychmiast całuje mnie w drugi. Śmieje się, a potem bierze za ręce i biegnie w stronę bramy.

Tam, za grobem ivy May, przyszedł mi do głowy jeszcze jeden pomysł. Słuchajcie Maude, myślałem o grobie jej mamy i o tym, jak zasypało w nim naszego tatę. Zawsze wydawało mi się, że to znak, że nie chce tam być pochowana. Czasami mam wrażenie, że pan Jackson też tak myśli. Widziałem jego minę, kiedy spuszcza trumnę do grobu.

Chce się z nim spotkać. Jest w biurze i rozmawia z jakąś rodziną, która przyszła w sprawie pogrzebu, więc muszę poczekać na zewnątrz.

Ludzie z taczkami bez przerwy jeżdżą w stronę śmietniska. Nawet śmierć króla nic tu nie może zmienić.

Pan Jackson wyprowadza klientów, a ja chłonkam znaczonko.

— Chciałbym chwilę porozmawiać, panie. — O co chodzi, Simon?

— Wolałbym w środku. Na osobności. — Pokazuje ludzi z taczkami.

Patrzy na mnie ze zdziwieniem, ale wpuszcza do biura i zamyka drzwi.

Siada za biurkiem i poprawia księżkę, do której wpisywał kolejny pogrzeb — jego datę, godzinę, miejsce, a także głębokość grobu i rodzaj pomnika.

Pan Jackson jest dla mnie bardzo dobry. Nie narzeka, że nasz tata przestał kopać. Nawet mu płaci tak jak dawniej i daje mi z Joem więcej czasu. Niektórzy grabarze nie są z tego zadowoleni, ale on nie pozwala im szemrać. Czasami patrz na naszego tatę i widzę, jak się wzdrygają.

— Jezus Maria — szepczą. — Tylko nie to.

Nie rozmawiają ze mną i z Joem. Jakbyśmy byli przekleńci.

Ale bendo musieli ze mno wytrzymać. Nigdzie sic stond nie ruszę. Chyba że beńdzie wojna, co czasami mówi pan Jackson. Wtedy pewnie bendo potrzebować grabarzy.

— O co chodzi, Simon? — pyta pan Jackson.

Jest zdenerwowany. Zastanawia sie, jakie jeszcze niespodzianki kryje w zanadrzu. Ciongle żałuje, że powiedziałem mu o dziecku pani Coleman. Trudno mi wydusić z siebie to, co mam do powiedzenia.

— Byłem przy grobie Colemanów — zaczynam w końcu, — Razem z Maude i Lavinio.

Pan Jackson zostawia ksionżke i kładzie dłonie na biurku.

— Maude mówiła, że jej mama chciała, żeby jo spalić. I że jak patrzy na ten grób, to wcale nie myśli o mamie.

— Tak powiedziała?

— Właśnie. I tak myślę...

— Za dużo myślisz.

Chce dać spokój, bo pan Jackson wyglonda bardzo kiepsko. Ale coś, co łąnczy mnie z nim i panio Coleman, nie pozwala mi na to.

— Powinniśmy się tym zająć — mówię.

Pan Jackson patrzy na drzwi, jakby sie bał, że zaraz ktoś wejdzie. Wstaje i zamyka je na klucz.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Simon? Wienc mu mówię.

Przez chwile milczy, patrzonc na swoje rence. A potem zaciska je w pieńści.

— Najwienkszy problem stanowio kości — mówi. — Trzeba beńdzie dłużej utrzymać żar. Przydałby sie jakiś lepszy wen-giel... — Urywa. Nic nie mówię.

— Trzeba czasu, żeby to przygotować.

Kiwam głowo. Mamy czas. Wiem, kiedy to zrobić — kiedy wszyscy bendo patrzeć w inno stronę.

GERTRUDE WATERHOUSE

Kiedy Livy wróciła, nie powiedziałam jej nic na temat niebieskiej sukienki. Rano w ogóle jej nie zauważyłam. Chociaż byłam zdziwiona, zdołałam to ukryć, paplając coś o dziecku. Mam nadzieję, że ubierze się na czarno przynajmniej w dniu pogrzebu króla. Podobno ma się odbyć za dwa tygodnie.

A może to jednak dobrze, że Livy nosi się na niebiesko. Nie zniósłabym chyba teraz tego jej dramatyzowania w czasie żałoby. Kochana Ivy May byłaby zniesmaczona tym, że siostra bardziej przejmuje się nią po śmierci niż za życia.

Brakuje mi jej. Wiem już, że to nigdy nie minie. Ani poczucie winy — chociaż w końcu zdołałam sobie wybaczyć.

Być może jestem niesprawiedliwa dla Livy. Bardzo wydorosłała w ciągu zeszłego roku. I powiedziała, że pogodziła się z Maude. To dobrze.

Niezależnie od tego, co się zdarzyło, bardzo siebie potrzebują.

— Wiesz, mam, że Colemanowie mają już elektryczność? —

powiadomiła mnie przed chwilą. — Maude twierdzi, że jest fantastyczna.

Myślę, że też powinniśmy ją zamówić.

Nie słuchałam jej jednak. Poczułam coś, co nie było kopnięciem niemowlęcej stopy. To był początek.

ALBERT WATERHOUSE

Przyznaję, że sporo wypilem. Najpierw były toasty za zdrowie Trudy, potem pil ismy za zmarłego króla, a potem za pomyślność nowego, więc się tego nazbierało. A siedziałem tam od popołudnia. Więc kiedy Richard przyszedł, trzymałem się już baru w „Buli and Last”.

Zachowywał się jednak tak, jakby w ogóle tego nie zauważył. Kiedy dowiedział się o Trudy, postawił mi jeszcze kufel piwa i zaczął mówić o tym, że z powodu śmierci króla trzeba będzie odwołać mecze krykieta. A potem zadał mi dziwne pytanie. Prawdę mówiąc, do tej pory nie wiem, czy powiedział to naprawdę, czy zacząłem mieć jakieś zwidy.

— Maude chce studiować na uniwersytecie.

— Co takiego?!

— Poprosiła mnie dzisiaj, żebym zapisał ją do szkoły z internatem, która przygotowuje ją do egzaminów w Cambridge. Jak myślisz, co powinienem zrobić?

Omal się nie roześmiałem — Richard zawsze miał problemy ze swoimi kobietami. Ale te kobiety już takie są. Przypomniałem sobie, jak odprowadziłem pod ramię Kitty Coleman, jej śliczne kostki u nóg, kiedy jechała na rowerze, i śmiech uwiązał mi w gardle. Nagle zachciało mi się płakać. Spojrzałem na pianę na swoim piwie.

— Pozwól jej — odparłem.

I właśnie wtedy przybiegła nasza służąca z wiadomością, że mam syna.

— Bogu dzięki! — wrzasnąłem i zamówiłem kolejkę dla wszystkich w pubie.

RICHARD COLEMAN

Maude usiadła przy mnie w ogrodzie, kiedy paliłem papierosa, Potem
zawołała ją pani Baker i zostałem sam. Spojrzałem na dym, który snuł się
między moimi palcami, i pomyślałem: „Będzie mi jej brakować, kiedy
odejdzie”.

DOROTHY BAKER

Nie powinnam była czekać tak długo. Ale skąd miałam o tym wiedzieć? Staram się pilnować własnych spraw. No i nie mogłam nic powiedzieć Maude, kiedy to jej babka prowadziła dom. Ten atak był prawdziwym błogosławieństwem dla nas wszystkich. Panienska rozkwitła, kiedy tylko zamknęły się usta jej babki.

Nie mówiłam też nic zaraz po apopleksji — wyglądałoby na to, że jawnie występuję przeciwko starszej pani. Jednak list, który wysłałam do Jenny zaraz następnego dnia, powrócił z adnotacją: „Adresat nieznany”.

Oczywiście ktoś go otworzył i ukradł monety. Wysyłałam jej czasami parę szylingów, jeśli udało mi się coś zaoszczędzić. Próbowałam pomóc. Wiedziałam, że jest jej bardzo ciężko z matką i Jackiem. Teraz wyglądało na to, że nie mogła sobie pozwolić na czynsz.

Później, kiedy omawiałam posiłki na przyszły tydzień z panienską, postanowiłam w końcu przerwać milczenie. Być może powinnam zadbać, żeby wypadło to bardziej naturalnie, aleja tak nie potrafię. Kiedy skończyłyśmy, zamknęłam książkę.

— Coś złego dzieje się z Jenny — mruknęłam. Maude wyprostowała się na swoim miejscu.

— To znaczy? — Nigdy nie rozmawiałyśmy o Jenny, więc była zdziwiona.

— Mój Ust wrócił. To znaczy, że musiała się wyprowadzić.

— To jeszcze nic takiego. Może znalazła sobie... lepsze miejsce.

— Na pewno by mi o tym napisała. Poza tym nie ma pieniędzy. —

Panienska nic nie wiedziała o jej sytuacji. — Jenny miała sporo kłopotów, od kiedy babka panienski zwolniła ją bez referencji.

— Bez referencji? — powtórzyła, jakby mnie nie zrozumiała.

— Bez referencji nie ma szans na to, żeby znaleźć pracę jako służąca.

Jenny pracuje w pubie, a jej mama zarabia praniem. Z trudem starcza im na utrzymanie.

Panienska spojrzała na mnie z przerażeniem. Wciąż nie wie, jakie jest życie. Nie chciałam jej mówić, do czego prowadzi praca w pubie.

A potem mnie zaskoczyła.

— Jak może w ten sposób utrzymać dziecko?

Do tej pory nie miałam pojęcia, że wie o synu Jenny. Powiedziała to jednak tak spokojnie, jakby o nic jej nie oskarżała. Wzruszyłam ramionami.

— Musimy ją odnaleźć — dodała Maude. — Jesteśmy jej to winni.

— Ale jak? Londyn jest bardzo duży. Sąsiedzi daliby listonoszowi nowy adres, gdyby go znali.

— Simon ją odzyska — stwierdziła panienska. — Znają. Na pewno ją znajdzie.

Chciałam coś powiedzieć, ale była tego tak pewna, że nie chciałam niweczyć jej nadziei.

— A jeśli nawet ją znajdziemy, to co? — spytałam. — Nowa służąca jest bardzo sumienna. To nie byłoby sprawiedliwe.

— Sama napiszę referencje nowej służącej.

To zadziwiające, jak szybko można dorosnąć, kiedy jest to konieczne.

SIMON FIELD

Kiedy Maude mówi mi, że mam znaleźć naszą Jenny, o nic nie pytam. Czasami nie muszę wiedzieć wszystkiego. Okazuje się, że nie jest to takie trudne — Jenny była u naszej mamy, która mówi mi, gdzie jej szukać. Kiedy tam ide, od razu widzę, że nie mają ani odrobiny jedzenia — Jenny dała wszystko, co miała, naszej mamie. Zabieram je do jadłodajni — Maude dała mi pieniądze na jedzenie. Jack i babcia zjadają wszystko, ale Jenny tylko trochę. Ma szaro twarz. — Źle się czuje — mówi. — To minie - mówię tak, jak nasza mama tym wszystkim kobietom. Kiedyś Jenny nie chciała mieć z nim nic wspólnego, ale teraz dużo się zmieniło. Wie, co to znaczy, kiedy dziecko głoduje. To wystarczyło, żeby zmieniła zdanie. Nic jednak nie mówię. Tylko tego jej trzeba, żebym zaczął gadać o takich rzeczach. Trzymam buzie na kłódkę, podsuwając jej trochę zupy. Chyba zdonżyłem w ostatnim momencie.

LAVINIA WATERHOUSE

Sama nie wiem. Naprawdę nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Maude często powtarza, że powinnam się pozbyć uprzedzeń, i chyba właśnie przyszedł taki moment. Ale jest mi bardzo trudno. Teraz muszę przed nią ukrywać jeszcze jeden sekret.

Przed chwilą wróciłam z cmentarza. Wygląda na to, że całe nasze życie kręci się wokół niego. Poszłam sama na nasz grób. Chciałam to zrobić przed pogrzebem króla. *Ma man* oczywiście wciąż leży w łóżku i zajmuje się Georgiem. Kiedy wychodziłam, oboje spali. To dobrze, bo nie musiałam zostawiać jej samej z Elizabeth. Nie ufam jej, jeśli idzie o dziecko — z całą pewnością kiedyś je upuści. *Papa* poszedł do pracy, chociaż mówił, że nic tam nie ma do roboty — wszyscy w ponurym nastroju czekają na pogrzeb króla.

Mogłam poprosić Maude, żeby ze mną poszła, ale wczoraj spędziłyśmy cały dzień w Whitehall, w kolejce do trumny króla, i ucieszyłam się, że przez chwilę mogę być sama.

Najpierw położyłam świeże kwiaty na grobie Ivy May. Później zajęłam się pieleniem zarówno naszego grobu, jak i Cole-manów. Niestety, wcale o to nie dbają. A potem na chwilę usiadłam, ciesząc się miłym i słonecznym popołudniem. Czułam, jak wszystko wokół mnie rozkwita — trawa, drzewa i kwiaty. Myślałam o nowym królu, Jerzym V. Nawet parę razy powtórzyłam jego imię — łatwiej mi go teraz zaakceptować, kiedy mój brat nosi takie samo.

A potem wpadłam na pomysł, żeby odwiedzić wszystkie anioły. Dawno ich nie widziałam. Zaczęłam oczywiście od naszego, a potem liczyłam kolejne. Jest ich teraz więcej niż kiedyś, ale szukałam tylko tych, które znałam z dzieciństwa. Czułam się tak, jakbym witała się z dawno nie widzianymi przyjaciółmi.

Doliczyłam się trzydziestu, ale w żaden sposób nie mogłam znaleźć trzydziestego pierwszego. Znajdowałam się właśnie w odległym, północno-zachodnim zakątku cmentarza, kiedy usłyszałam dzwonki na zamknięcie. Wtedy przypomniałam sobie
O śpiącym aniele i pobiegłam do egipskiej alejki. Dopiero kiedy zobaczyłam go, leżącego ze zwiniętymi skrzydłami, stwierdziłam, że mogę wracać.

Pobiegłam alejką w stronę wyjścia. Zrobiło się naprawdę późno. Wokół nie było żywej duszy i bałam się, że brama jest już zamknięta. Mimo to zajrzałam jeszcze na nasz grób, żeby pożegnać się z Ivy May.

I właśnie tam zastałam Simona, Joego i pana Jacksona, jak podważali płytę na grobie Colemanów! Byłam tak zaszokowana, że tylko stanęłam z otwartymi ustami. Przez chwilę myślałam, że Maude też umarła. A potem Simon mnie zobaczył

I wypuścił szpadel. Joe i pan Jackson też zostawili płytę. Mieli tak niepewne miny, że od razu zrozumiałam, iż coś się święci.

— Co, na miłość boską, tutaj robicie?! — krzyknęłam. Simon zerknął na pana Jacksona i powiedział:

— Usiońdźmy na chwile, Livy. — Wskazał miejsce pod naszym aniołem. Posłuchałam go niechętnie — od czasu, kiedy anioł spadł, nie mam do niego zaufania.

Simon wyjaśnił mi wszystko. Na początku nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Ale kiedy odzyskałam głos, zwróciłam się do nich:

— Chrześcijański obowiązek nakazuje mi przypomnieć wam, że to niezgodne z prawem i niemoralne.

— Wiemy — powiedział prawie radośnie Simon.

— Ale właśnie tego chciała — dodał cicho pan Jackson.

Spojrzałam na niego. Wystarczyłoby słówko, a straciłby pracę. Razem z Simonem. Gdybym poszła z tym na policję, zniszczyłabym jego i Simona, a także bardzo zmartwiła Maude wraz z jej ojcem. Gdybym...

Ale nie odzyskałabym Ivy May.

Patrzyli na mnie ze strachem, jakby wiedzieli, o czym myślę. —
Powiecie Maude? — spytałam.

— W swoim czasie — odparł pan Jackson.

Chciałam potrzymać ich jeszcze chwilę w niepewności. Na cmentarzu
zrobiło się bardzo cicho, jakby wszystkie groby zastygły w oczekiwaniu.

— Nikomu nie powiem — stwierdziłam w końcu.

— Na pewno?—spytał Simon.

— Czy sądzisz, że nie potrafię dochować tajemnicy? Nic przecież nie
powiedziałam Maude o jej matce i... dziecku. Zupełnie nic.

Pan Jackson wzdrygnął się i poczerwieniał. Spojrzałam na niego i po tylu
latach nareszcie zrozumiałam, co się stało. O dziwo, zrobiło mi się go żal.
Jeszcze jeden sekret. Nie, nikomu nie powiem. Zostawiłam ich przy
płytcie nagrobnej i pobiegłam do domu, starając się o tym wszystkim nie
myśleć. To wcale nie było takie trudne. Gdy dotarłam do domu, chciałam
już tylko wziąć na ręce mojego maleńkiego brata i popatrzeć na jego
śliczną buzię.

MAUDE COLEMAN

Był o już sporo po północy, kiedy dotarliśmy z tatą na szczyt Parliament Hill. Byliśmy w nowym obserwatorium Towarzystwa Naukowego Hampstead, żeby popatrzeć na kometa Halleya, i wracaliśmy przez Heath do domu.

Widok rozczerował nas — księżyc świecił tak jasno, że komety prawie nie było widać, chociaż jej warkocz rzeczywiście robił duże wrażenie. Ale tata uwielbia obserwatorium — tak bardzo się starał, by je zbudowano — i nie chciałam mu psuć wieczoru narzekaniem na księżyc. Byłam tam jedną z niewielu kobiet i starałam się zachowywać bardzo cicho.

Jednak teraz, kiedy księżyc trochę się obniżył i kometa była lepiej widoczna, poczułam się swobodniej niż pod kopułą z tymi wszystkimi mężczyznami pijącymi brandy i palącymi cygara. Na wzgórzu wciąż było sporo wpatrzonych w niebo ludzi. Ktoś nawet grał *To, co ci się podoba* na akordeonie, chociaż nikt nie tańczył. W końcu parę godzin temu pochowano króla. To dziwne, że kometa pojawiła się na niebie dzień przed pogrzebem. Lavinia zrobiłaby z tego nie wiadomo co, ale ja wiedziałam, że to tylko przypadek — a te mają zwykle swoje logiczne wytłumaczenie.

— Chodź do domu, Maude — powiedział tata, rzucając niedopałek na trawę.

Kątem oka dostrzegłam jakiś błysk. Spojrzałam na kolejne wzgórze od strony Highgate i zobaczyłam wielkie ognisko, które oświetlało stojące dokoła drzewa. Miałam wrażenie, że wśród tańczących gałęzi dostrzegłam cedr libański na cmentarzu.

To ognisko z pewnością nie było przypadkowe — ktoś rozpałił je na cześć króla. Uśmiechnęłam się. Uwielbiam ogień. Poczułam się tak, jakby zapalono je specjalnie dla mnie.

Tata zniknął w ciemnościach przede mną, ale ja stałam jeszcze chwilę w miejscu, patrząc to na kometę, to na ogień.

SIMON FIELD

To zabiera dużo czasu. Siedzimy tam cała noc. Miał racje z tymi kośćmi. Później, kiedy wstaje już słońce, przynosimy wiadra i napełniamy je do połowy piaskiem. Mieszamy go z prochami i rozrzucamy po całym trawniku. Pan Jackson planuje posadzić tam polne kwiatki, tak jak chciała. To przynajmniej będzie coś innego niż te wszystkie wypielengnowane rabatki.

W moim wiadrze zostaje trochę piachu. Dlatego idę pod róże dziadka i tam go wyrzucam. W ten sposób będę wiedział, gdzie jest przynajmniej cześć z niej, gdyby Maude mnie kiedyś zapytała. Poza tym spalone kości to dobry nawóz.